

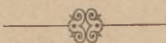
Kochanej p. S. w dniu
14 kwietnia na
pamiątkę

Łosia K.

Z SIÓŁ, PÓL I LASÓW.

155910

Z SIÓŁ, PÓL I LASÓW.



ZBIÓR NOWEL

PRZEZ

Adolfa Dygasińskiego.

Tom I.

JAZDA ZE ZIURDANKĄ.
 NA ZWĘOKACH ZWIERZĘCIA
 ŻĘRTY CHEOP.
 PODWÓRZOWE DRAMATA.
 NA NIEBIE I NA ZIEMI.
 ZŁODZIĘJ LEŚNY,
 DEMON.

WARSZAWA.

Druk Braci Jeżyńskich (dawniej J. Ungra),
Nowolipki Nr. 9.

1887.

L

155910



L-P

299548 L

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Июля 1887 г.

JAZDA ZE ZIURDANKĄ.

Z siól, pól i lasów.

JAZDA ZE ZIURDANKĄ.



Wielka była uroczystość 15 Kwietnia 1870 r. w Szezurkowicach; dnia tego bowiem panna Eugenia Nogietkiewiczówna ukończyła lat siedmnaście, otrzymała od matki w darze pierwszą długą suknię, od ojca—złote bransolety, a w wigilią dnia tego, punktualnie o szóstej godzinie po południu, odbyła ostatnią w życiu lekcję z guwernantką francuzką. Panna, raczej stara panna, Żaneta Jourdan, coś z dziesięć lat była w Szezurkowicach; przybyła zaś tutaj z Grzybienic, gdzie była także z dziesięć lat u innych państwa Nogietkiewiczów i tam pozyskała sławę, ponieważ wychowała panienkę również do długiej sukienki. Francuzka zestarzała się w Polsce, mówiono, że nawet zapomniała właściwego francuzkiego języka, a przynajmniej—mówiła tak jakoś dziwnie, iżby jej żaden rzetelny francuz nie zrozumiał. Była to osoba wiecznie cierpiąca na fluksyą i wzdychająca, aby mogła wrócić do ojczyzny; tymczasem w r. 1870, jak sama mówiła, nie posiadała jeszcze tyle pieniędzy, iżby mogła pędzić we Francyi

spokojny żywot. A przecież napracowała ona się ciężko na obezyszenie; napracowała się i nikogo niczego nie nauczyła! Po wykończeniu edukacji panny Eugenii francuzka miała zamiar pozostać jeszcze pięć lat w Polsce i przeto przyjęła obowiązki lektorki w Sadelku, w domu siostry pana Nogietkiewicza ze Szczyrkowic, u stariej panny, która właśnie przyślepa, ogłuchła, a nadzwyczajnie lubiła czytywać francuzkie romanse. Wyjazd ze Szczyrkowic do Sadelka przypadł na 16 Kwietnia, zaraz po urodzinach Gieńci.

Nikt się nie smucił z odjazdu guwernantki, bo jej tu nikt nie kochał; państwo z niej zwykle żartowali, często bardzo uszczypliwie, i nazywali ją Żurdanką; służba zaś i w ogóle chłopstwo ze wsi każdój nauczycielce dawali nazwę Ziurdanki albo Ziurdanicy.

W nocy z 15 na 16 Kwietnia różni ludzie w Szczyrkowicach spali niespokojnie. Panna Jourdan marzyła o zmianie miejsca i pozycyi; Gieńcia rozmyślała o swém wystąpieniu na świecie w długiej sukni; pan Nogietkiewicz dumiał przy lampie, jak tu napisać list do siostry. Co wyjął ze szuflady éwiartkę listowego papieru, to ją zespsuł i listu w żaden sposób ułożyć nie mógł.

Trzeba wiedzieć, iż siostra pana Nogietkiewicza mieszkała niedaleko Pińczowa, on zaś — niedaleko Pilicy. Stosunki rodzinne były pomiędzy nimi dosyć rzadkie, głównie z powodu złej drogi, a także i całorocznych zajęć rolniczych. A jednak

wypadało utrzymywać koniecznie owe stosunki, gdyż wiedziano dobrze, iż stara panna musi umrzeć i majątek swój komuś zapisze. Komu? W tém był sęk. Więc wszyscy, jacy byli na świecie Nogietkiewiczowie starali się wraz z swojemi żonami oraz dziećmi o względy panny Salomei, dziewczki Sadełka. Niby to pan Błażej Nogietkiewicz ze Szczurkowie miał najwięcej sperandy: on w całej rodzinie, licząc sześciu synów i trzy córki, był najmłodszy. Nawiasem mówiąc, o starym nieboszczyku Nogietkiewiczu krążył po okolicy dowcip; mianowicie upatrywano pomiędzy nim a patryarchą Noem tę różnicę, iż Noe miał jednego tylko Chama, on zaś—sześciu. Otóż, panna Błażeja przyzwyczajono się jeszcze za życia rodziców pieścić, a przez pieszczotę nazywano go Błahem, Błażkiem, Błażątkiem, błazenkiem i t. d. Ci wszyscy Nogietkiewiczowie rozeszli się po świecie. Jedni mieszkali aż pod Częstochową, drudzy pod Kielcami, inni—za Suchedniowem; jeden z nich wyniósł się pod jakąś Mławę, tak że zupełnie zginął z oczu całej rodzinie. Tylko więc Błażus i Salusia ciągle byli sobie najbliżsi; przeto najżywsze, o ile można, uczucia wymieniały Szczurkowie ze Sadełkiem, a Sadełko ze Szczurkovicami. Wymiana taka przynajmniej pięć lub sześć razy w roku miała miejsce, gdyż i dla tych serc, płonących ogniami rodzinnéj miłości, ciężką do przebycia była blisko ośmio-milowa przestrzeń, bardzo błotnista zwykle.

Szkoła wyższa realna w Kielcach miała za-
szczyt wychowywać wszystkich potomków płci
męskiej rodu Nogietkiewiczów. Ale skałą, o któ-
rą się rozbijały intelektualne wysiłki tych fila-
rów społecznych, była trzecia klasa, a w trzeciej
klasie—tak zwana *reguła trzech* oraz podobień-
stwo, proporcjonalność i symetryczność figur ge-
ometrycznych. Niektórzy z nich w drugiej już
klasie zapuszczali brody i wąsy, a przeto nie po-
trzebowali trzeciej klasy, aby w niej dojrzewać.
Błażus wszakże wykazywał wyższe zdolności i po
sześciu latach mozolnych studyów nad realiami
wyszedł z trzeciej klasy, unosząc na łono rodzi-
ny cenzurę, w której, oprócz nauki religii, ry-
sunków i kaligrafii, w reszcie przedmiotów oka-
zał postępy *małe* i *mierne*.

Nie należy się też dziwić, iż w nocy z 15 na
16 Kwietnia pan Błażej miał kłopot z napisa-
niem listu do siostry. Według starego programu
nauki, trzecia klasa traktowała składnię, a dopię-
ro czwarta — stylistykę. Bądź-że tu mądrym ze
składnią, gdy przyjdzie napisać list prawdziwie
obywatelski!... Z tém wszystkiém dziedzie Szczer-
kowie zaczął kaligrafować: „Najdroższa Siostrzy-
czko!... Ale naraz okropne wątpliwości powstały
w jego głowie, co się tyczy ortografii wyrazów:
najdroższa i *siostrzyczka*... Wziął świeżą ćwier-
tkę papieru listowego i napisał poprostu: „Uko-
chana Siostruniu!”

Ale co dalej pisać?... Wielkie są ciepienia płodzącego umysłu!

Niech słyńie pan Błażej Nogietkiewicz, który, choć się nigdy nie uczył stylistyki, napisał do siostry list wcale dobry. Boć stylistyka—to także éwiek... List brzmiał:

„Bóg Najlepszy udziela nam tu zdrowia. Posyłam Ci wanienkę z karpiami własnego chowu i wyborną szynkę, którą można jeść na surowo. Marylka, oprócz serdecznych uścisków, przesyła Ci dwa garnce suszu i półtrzecia wianka grzybów prawdziwych; chciała Ci posłać i słoik marynowanych rydzyków, ale zwietrzały. Gięńcia całuje rączki Najmilszej Ciotuni i przesyła dwa roczne kotki: Bielusię i Czarnusia. Przytém jedzie do Ciebie nieoszacowana Żurdanka, której wszysey prosimy i zalecamy, ażeby tak w dzień, jak w nocy, czuwała nad zdrowiem Ukochanej Siostruni.”

Nareszcie autor listu podpisał się zamasyście, posypał swoje skrzydlate słowa popiołem z papierosa i szczęśliwy z czynu udał się na spoczynek.

Rano, jeszcze ciemno było, a już ekonom kręcił się około dwornu, karbowy znowu około stodół, podczas gdy fornał, Łukasz Stokłosa, wytoczył z wozowni jakąś landarę, grat starożytny, i drapiąc się w głowę, nad czémś rozmyślał.

We dworze odbyła się narada między dziedzi-

cem a ekonomem, panem Jabłuszko, którą to naradę pan Błażej tak zakończył:

— No, to niechże Jabłuszko każe Łuce czempędzėj konie zakładać do landary i przed dwór zajeżdzać... Nim oni tu wszystko upakują, zejdzie dobra godzina i gotowi na noc nie dowlec się do Sadełka... Ale, ale!... Zapowiedz też, mój kochany, ostro Łuce, żeby mi się w drodze nie upił, bo wygonię łajdaka na cztery wiatry.

Jabłuszko nacisnął czapkę na uszy, pospieszył pod stajnię i zaczął rozmowę od łajania Łuki:

— Czemuż ty jeszcze nie zaprzęgasz, fanfaronie? Nie widzisz, kanalio, jaki czas!...

— Nie śtuka zaprzęgać, ino jak się dowlec tym kocimbrykiem, choćby do Jędrzejowa, a zmiarkować, coby się nie roztelepa!— rzekł fornal, nie spiesząc się bynajmniej.

— Głupiś cymb...! Nie twoja rzecz się w to wdawać! Chłop powinien słuchać, nie rozprawać!

— Tać bez urazy wielemoznemu panu pedam, tać słucham... Tyło co potém syćko na mój łeb się zwali, żeśli ta buda kajniebądź na drodze roztrzaśnie i jesse tę Ziurdankę na wiek kaléką ucyni... I škapy mi téż takie kazują sprzęgać, co się już rychtyk w kieracie rusiać nie mogom...

— Cicho!... — krzyknął Jabłuszko. — Duchem, gajgiem zaprzęgaj i zajeżdżaj przed ganek! A pały mi w drodze nie zaléj gorzała, bo ze służby

wylecisz! — I odszedł ekonom zprzed stajni, a idąc pod stodołę, sam do siebie mówił: — Elegant, bułoński piesek!... Nowy powóz mu będą dawali w tyłą drogę!... Czy to dziedziczka jedzie, czy co?...

Swoją drogą Łuka markotny warczał coś pod nosem, a drapiąc się nieustannie w głowę, nalał dował worek obrokiem i wraz z dużą wiązką siana przytroczył do powozu. Potem konie wyprowadzał ze stajni po parze i zaprzęgał je, klnąc okrutnie:

— Nastąp, psia jucho, łogawa!.. Prrru! A gdzieżesz znalazł, maszyno!.. Chlać mi zakazuje, ciego?.. Któż mi to da na gorzałkę?.. Cy to jadę z jaką ślachecianką? Abo się może ochlam za dwadzieścia groszy strawnego?.. Niedoczekanie wasze!

Nareszcie Łuka zaprzęgał konie, splunął sobie w ręce, zatarł, wziął bicz, śmignął na próbę, i usiadłszy na kozle, zajechał przed ganek dworu, trzasnąwszy parę razy z bata.

— Pakować rupiecie prędzej! — krzyknął Nogietkiewicz na lokaja, a potem znów zawołał na dziewczynę, uwijającą się po sieni: — Ruszaj do Żurdanki, powiedz jej, że już zajechali!

Poczęto układać rozmaite paki, kufry, walizy, pudła i zawiniątka.

Z tyłu przywiązano wielki tłumok z pościelą, na koziel wstawiono fernalowi w nogi duży kufer, a na siedzenie kozła włożono niemniej dużą walizkę; wewnątrz także całe zapechano.

Atoli nie można było już zmieścić sporój wanienki, napehnionėj do połowy wodą, w którėj pływało z dziesięć sztuk żywych karp. Lokaj więc zameldował dziedzicowi:

— Jaśnie Wielmożny Panie, te ryby nijak się nie zmiejszczą!

— Muszą się zmieścić, rozumiesz!.. — Muszą! — wołał pan Błażej.

— Ha, jak muszą, to muszą! — powiedział sobie lokaj i począł z fornałem na nowo wszystko przepakowywać.

Pudelka oraz zawiniątka porozwieszano w powozie po bokach i u góry, wanienkę zaś z rybami wstawiono guwernantce w nogi. Nareszcie przybyła i panna Jourdan; była blada, a twarz podwiązaną miała białą chusteczką, widocznie trapiła ją fluksya. W ganku żegnała się jeszcze guwernantka z panem i z panią domu, ścisłała serdecznie uczenicę, a ocierając łzy, wsiadła do powozu i przesyłała ręką ukłony.

Łuka był cały w pocie, świeciły mu się nos i czoło, gdy skończył pakowanie; wtoczył teraz na głowę wielką białą magierkę z różnokolorową cętą, przeżegnał się, siadł na wierzchu walizy, jak na wieży, zawołał: „wio, wio!” i ruszył z miejsca. Za ledwie landara dojechała do bramy dziedzińca, kiedy naraz pan dziedzic przypomniał sobie, że brakuje smarowidła do młocarni, więc wysłał lokaja, z blaszaną garncówką i z pięciu złotymi, aby to wręczył fornałowi. Jednocześnie

wpadła szafarka, błagając dziedziczki, aby w Jędrzejowie kupiono nafty oraz cykoryi, ponieważ w domu zabrakło.

— No, to niechże jeszcze kupi i bułek za dwa złote!—rzekła pani Nogietkiewiczowa.

— Moja mamusiu, i landrynow' za półtora złotego! — odezwała się z boku Gieńcia w długiej sukni.

Z tymi nowymi obstalunkami pobiegła za landarą pokojówka. Łuka obojętnie odbierał wszystkie polecenia.

— Mamo, mamol... Oni kotki zostawili!.. — zawołała znowu Gieńcia.

Dwa koty swawoliły, wyskakując po stołkach w jadalnym pokoju.

— Błaziu! Wyobraź sobie, oni nie zapakowali kotów, które Gieńcia chce posłać Salusi! ubolewała pani Maryla Nogietkiewicz.

— A ślamazary, mazgaje jedne!.. Pieszol już powozu nikt nie dopędzi... Zawołać mi tu ekonoma!

Jabluszeko właśnie przechodził koło okna, więc dziedziczka puknęła nań palcem w szybę.

— Mój Jabluszeko, wsadź-no Maćka na Wilczatkę, niech leci za Łuką i odda te koty Żurdance do powozu; rozumiesz, do powozu!..

Skończyło się nareszcie wszystko; Łuka palił z bata, a panna Jourdan ponieważ miała dużo kłopotu ze swawolnymi kotami, przeto wsadziła je do ręcznego koszyka na robótki kobiece, gdzie

zwierzęta owe z początku spały bardzo spokojnie, później zaś poczęły miauczeć przeraźliwie i pazurami drapać po wieku oraz po ścianach koszyka.

Droga była dosyć ślizka, gdyż w nocy spadło nieco deszczu; pod górę konie lazły z trudnością, wlokąc za sobą ciężką landarę, ze wszystkich stron pozamykaną. Z góry za to fornal dał szkapom swobodę i pędziły też bardzo rażno. Atoli szybki ruch powozu sprawił, że woda w waniencie poczęła gwałtownie belkotać, czém się mocno zaniepokoiły karpie, gdyż fale rozbijały je nieustannie o boki naczynia. Ryby pluskały w górę i wodą opryskiwały francuzkę, która w obawie o fluksyą ciągle się musiała ocierać. Fornal w rozpędzie wjechał na jakiś kamień, czy na kłoc drzewa, co wstrząsnęło teraz landarą tak potężnie, iż fala wody wylała się z wanienki na kolana panny Jourdan. Nie dosyć na tém, bo jeden karp, trwożliwszej czy niespokojniejszej natury, chciał się uwolnić z naczynia, sprawiającego mu istną torturę, — wypłynął przeto na powierzchnię wody, przebijając się między spłoszonymi towarzyszami, i dał takiego susa, że wskoczył aż na głowę guwernantki; stamtąd spadł jój za plecy na poduszki siedzenia i bił ogonem tak silnie, że panna Jourdan poczęła wydawać okrzyki przerażenia. Właśnie Łuka zjechał już z górki i zwa wo popędził konie po równej drodze, kiedy guwernantka z wielkim trudem podniosła się wśród

mnóstwa pakunków, a pochyłona nad wanienką wzywała fornała:

— E, e! Furman, écoutez!

Łuka spojrział ze swojej wieży wewnątrz powozu, zobaczył przerażoną twarz kobiety i odrzekł z głupowatą miną:

— I co ta pani Ziurdance do tego, cy kunie kute, cy niekute?... Tać im wezora kowal zabił w kopyta hufnale ze łbami tyłósnymi co kocie.

Karp, zmęczony podskakiwaniem, uspokoił się wreszcie, a wtedy francuzka własnymi rękoma włożyła go napowrót do wanienki.

W jakiś czas po téj małej przygodzie landara wpadła w ogromne wyboje i mocno się przechyliła na jedną stronę.

— Klopa! klopa!... — wołała francuzka. — Mon Dieu, mon Dieu!...

Na ten krzyk Łuka znowu zajrzał wewnątrz powozu, poważnie rozpatrzył sytuacją i rzekł fle-gmatycznie:

— Pani Ziurdanka pedają jacy, co je klapa-nina na drodze!... Ta jest klapa, ino bywa jeszcze gorsza...

Sam zaś do siebie mruknął:

— Pierońska taka mowa; ledwo człek conie-bądź rozumie, kiój taki cudak gadać pocznie!

Z wanienki znowu się wody nieco ulało na kolana guwernantki; ale ryby były już spokojniejsze; czasem tylko któraś wypływała pod wierzeh wody, szeroko otwierała usta i prędko dawała

nura. Naraz Łuka, jak szalony, zeskokczył ze swego siedzenia, zamotał zlekka lejcę na żelaznym pręcie, stanowiącym poręcz kozła, i puścił się w drogę, którą landara już przebyła, a kłął ogromnie i wygadywał:

— Takie ci teraz psiewiary rzemieślnicy, iż nico po rozumie nie zrobią... Szukajże tu podkowy, nikić wiatru po świecie, a nie znajdziesz, to ci ciarach ze zasług wytrąci.

Guwernantka nie rozumiała, co się stało; nie mogła pojąć, dlaczego Łuka zostawił ją samą w powozie i odbiegł koni, które zwolna poczęły się zbliżać do rowu, porośłego młodą trawką. Za lejcowymi końmi poszły dyszlowe; jedność dążności ożywiła tę czwórkę i powóz potoczył się nad brzegi rowu. Niebawem zsunęła się z kozła waliza, służąca Łuce za siedzenie: upadła najprzód na wielki kufer, odbiła się od niego i z łoskotem grzmotnęła na ziemię. Ten wypadek przeraził francuzkę, ale nie zwrócił uwagi koni, z zajęciem szczypiących trawę; lejcowe weszły teraz w rów, gdzie była obfitość pokarmu; dyszlowe zdawały się zazdrościć lejcowym i łby eheiwie w rów skierowały. Łuka tymczasem zupełnie skrył się za górą, poszukując zgubioną podkowy.

Naraz dyszlowe konie poskoczyły w rów, a lejcowe, wyparte stamtąd, wdarły się na brzeg przeciwny; za dyszłowymi końmi atoli wpadł przodek landary i z kolei wyparł na górę dy-

szłowe konie, podczas gdy tył powozu pozostał jakby zawieszony nad przepaścią. Wskutek gwałtownego spadku kół przednich panna Jourdan doznała wstrząśnienia, o mało głową nie wpadła w wanienkę. Kobieta zmiarkowała jednak, co się święci, odemknęła drzwiczki landary i wyskoczyła, wrzeszcząc przeraźliwie:

— He, klopa!... He, klopa!... — Co miało znaczyć: „Hej, chłopie, bywaj!”

Może z powodu tego krzyku, a może i nie, konie poczęły wyciągać powóz, tak, że przód landary ukazał się na przeciwnym brzegu, a tył wpadł do rowu. Dopieroż biedna guwernantka oddała się rozpacz, a lamentowała w niebogłosy.

Łuka snadź znalazł nakoniec podkowę, bo z biczem w ręku ukazał się na górze; zobaczył zdaleka straszne rzeczy, więc pędził czemprowadź i wyrzekał po drodze:

— Nie dał mi okumon wziąć mojej fornalki, ino kazali oto sprzedaż luzaki od kieratu... Cóż taka gadzina może rozumieć?... Wygłodzone bestyje rwą się do ziarcia, jako świnie... A ja mam tęgi używantes, zgłębę i desperacyją.

Panna Jourdan pobiegła naprzeciwko fornala i żywymi gestami ukazywała mu to na landare, to na zwałoną w błoto walizę, wykrzykując:

— Mon Dieu! Mon Dieu!

— Et, będzie mi tu pani jeszcze łeb zawracała takowém śwargotaniem, co rychtycki sły-

cham ino, jakby kto dzwonkiem dyndał wele uszu...

Potém Łuka niezwłocznie wskoczył na kozieł i zaczął konie nielitościwie batem okładać.

Szkapy wywlokły powozisko na pole, ale przy wyjeździe z rowu landara się mocno przechyliła; pociekła woda z wanienki, powypadały karpie, pudła, zawiniątka oraz koszyk z kotami. Bielusia i Czarnuś ujrzały się na wolności, wybiegły na pole, poczęły miauczeć. Fornal nareszcie okolił, przebył rów w dogodnym do przejazdu miejscu i wyjechał na gościniec, gdzie się był powóz poprzednio zatrzymał. Teraz należało pozbierać rzeczy, uronione z powozu, czego też Łuka dopełnił ze skrupulatnością. Ale najgorsza sprawa była z kotami: za jednym z nich puścił się fornal w pole; Czarnuś lekko sadził po zagonach, podczas gdy chłopu w ciężkich butach przychodziło to z trudnością; kot co chwila przysiadawał, ale gdy do niego podchodził zacierzewiony Łuka, zmykał coraz dalej. Nareszcie Czarnuś dotarł do drzewa i w mgnieniu oka wdrapał się na wierzchołek. Ciskał nań Łuka bryłami, kłął — nie to nie pomogło: kot się przyczaił na gałęzi i spokojnie w dół spoglądał. Wlaził więc i fornal na drzewo, lecz kiedy miał już pochwycić kota za kark, ten dał susa, skoczył na inną gałąź, potem mignął tylko ogonem w powietrzu, spadł na ziemię i poszedł... Drugi kot biały, snadź łagodniejszej natury, siedział na wierzchu zagona,

i obserwował, co się dokola niego działo. Łuka, nie mogąc pojmać Czarnusia, chciał przynajmniej Bielusię złowić. Podchodził więc z czapką w ręku, przemawiając pieszczośliwie: „Kiziuś, kizia, bieluśki!“ A gdy się już dostatecznie do zwierzęcia zbliżył, cisnął magierką tak zręcznie, że kota nakrył i ogłupiałego dostał w ręce. Kiedy go jednakże przyniósł do powozu, kot zręcznie się jakoś wywinął i znowu uciekł w pole.

— Bodajes zdechl, zatracony kociurze, za tyle mojej mordegi, cobym jej z kuniem nie zażył!.. — zawołał rozgniewany fornał.

— Pani ziezica (dziedziczka) gniewać na kłopa, na fornał!.. — powiedziała francuzka.

— O! rany Jezusowe!.. Dyć una oczywiliście mnie nazywa klapą!

I tu Łuka począł się śmiać serdecznie.

— Nie śmiać, nie śmiać!... Pani gniewać kłopa.

— Kajbym się nie miał śmiać, skoro mnie na przezwisko Stokłosa, a pani Ziurdanka mię po frajcuzku nazywa kłopa... O jurzenie się dziedziczki i dziedzicówny niema nijakiego strachu, bo ja na te koty potrafię zaraić: Chycę kajniebądź kociura i po szytkiemu.

Łuka wlażł teraz na kozieł i mówił sam do siebie:

— Skaranie boskie z takowymi odmieńcami na świecie!... Cóż wart taki naród bez mowy...

I landara znowu sunęła po drodze.

W odległości więcej niż dwóch mil od Szczur-

kowie stoi na gościńcu karczma nazwiskiem Gajówka; każdemu chłopu ślinka do ust płynie, gdy tędy przejeżdża, a trzebaby już dużej wstrzemięźliwości, żeby na Gajówkę nie wstąpić. Nasz powóz zajechał prosto przed karczmę. Łuka dał koniom przetrącić kłak siana i postanowił je potem napoić. Kiedy zaś szkapy przegryzały, fernal podszedł do landary, skłonił się i rzekł.

— Mozeby pani Ziurdanka na śnaps co ochfiarowała...

— Comment?... Co klopa keieć?

— Niecha ta już i kłapa, tylo widzi pani, kiej się do karczmy zajężdża, to trzeba napoić i śkapska i ludzi.

— Nie rozumieć—rzekła guwernantka, potrząsając głową.

— Dy tutaj rozumu cale nie potrzeba... Ino dać i kuniec!

Guwernantka ciągle potrząsała głową.

— Kwarde sobaka ma serce!.. Taka frajczuka baba, to nikić żydowica; drugaby zara na rękę wytrzęsła z pół złotka.

Stał Łuka przed powozem i natrętnie wpatrywał się w pannę Jourdan. Naraz przyszło mu do głowy, żeby przemówić z żydowska, przeto rzekł:

— Ništu geld, ništu śnaps, ništu kuraż!..

— Geld? Courage? — zapytała francuzka zdziwiona.

— Juścić: geld, geld!.. Coby wypić na kuraż.

I pokazał ręką, jak się pije.

Guwernantka dobyte sakiewki i dała fornałowi dwadzieścia groszy.

— Taka to pewnikiem i rachować po naszemu nie umie... Kieby się tak omelila, a z parę złotych dała w łapę, — myślał sobie Łuka; poczem wziął ofiarowane sobie pieniądze i poszedł do gospody.

W karczmie spoglądano dosyć ciekawie na chłopca, podróżującego aż zpod Pilicy. Fornal z początku nie nie mówił, tylko wypił wódkę i zapalił fajkę.

— Skądżeście wy, człowieku? — zapytał szynkarz.

— Skądżeby, dyć nie z tamtego świata! — odparł lekceważąco Łuka, a potem dodał: — Ze Szczurkowie.

— Aha, ze Szczurkowie! Z dziedziczką jedziecie?

— Kaj ma być z dziedziczką — mówił fornal i zamilkł, lecz go język świerzbiał, żeby się wygadać; przeto po chwili tak zaczął: — Jedzie a to frajeuczka, czy coś takiego... Ziurdanką była do dziedzicówny naszój. Straśnie dziwotnie gada, a ludzkiej mowy ani krzty nie rozumie.

— No, widzicie, ludzie! — odezwało się chórem parę bab obecnych w karczmie.

— Wielga dziwota!... — zawołał jakiś chłop zpod Wolbroma, który tu także z furką na popas zajechał. — Tać u nas las zakupili ludzie z ta-

kiego narodu, co tam puno ciągiem tylko pływają... Ni to niemcy, ni żydy... Jakieś olendry, czy jangliki.

— A no, to i ta moja Ziurdanka nijak ludzkiego przezwiska nie wymówi. Calušką drogę woła na mnie kłapa, chociem jěj pedział, iże się zwę Stokłosa, nie kłapa. Nieco z żydowska musi także bele co zatraća...

Zdumienie w karczmie było tak wielkie, że zgromadzeni poczeli wylegać przed ściany, aby na własne oczy zobaczyć kobiétę, która mówi kłapa zamiast Stokłosa. Chłop zpod Wolbroma z powagą zauważył, że owi ludzie, co las zakupili w jego stronach, nie potrafiliby powiedzieć nawet „kłapa.“

Łuka napoił konie, okielznał, sprzątnął resztki niedojedzonego siana, zapłacił w karczmie najprzód za jeden półkwaterek, potém wypił jeszcze drugi, wsiadł na kozieł, znowu się przeżegnał, strzelił z bata i ruszył.

Kiedy się już byli znacznie oddalili od Gajówki, fornal powstrzymał konie, zlązł z kozła, podszedł do drzwiczek landary, otworzył je i, wydobywając jakiś przedmiot zpod sukmany, rzekł do francuzki:

— No, widzi pani, mam tu setnego kociura; będzie tyłośny, co hańte oba... Już psianoga odchowany i pewnikiem mądrzejszy, niżli une młodziaki, co od człeka stroniły.

Z temi słowy Łuka podał pannie Jourdan ogromnego czarnego kota.

— Kotka! kotka! — zawołała francuzka.

— Czy ta jakuratnie kocica, tegom nie przepatrzył, inom uchycił bestyjnika w stajni na Gajówce... Musi jest łowny i cujny, bo warował przy dziurze; no i wzionem, coby mi dziedzice nasi łba nie molestowali, iże się tamte kajsik zatraciły.

Kot był przerażony, wyglądał dziko, podrapał nawet fornala po rękach... Ale Łuka trzymał go silnie za kark i wpakował do koszyka. Uwięziony kot począł się rozbijać i wyskakiwać, tak, iż panna Jourdan musiała ręką przytrzymywać wieko, ażeby się jeniec nie wydobył.

Łuka zamknął troskliwie landarę, popatrzył na kota, pokiwał coś głową z niedowierzaniem i znowu się wgramolił na swoją walizę. Po dwóch półkwaterkach gorzalki chłop uczuwał w umyśle jakąś wielką ochotę, chciało mu się pędzić, jak na skrzydłach; więc walił konie, strzelał z bata i wykrzykiwał ciągle:

— Wio kara!... Wio gniady!... Wio maluśkie, wio!...

Wiosenne słońce przygrzewało atoli i tak jakoś piekło chłopca po łbie, że mu się naraz gwałtownie oczy kleić poczęły; na wysokości swojej kiwnął on się kilkakrotnie i o mało nie spadł pod koła; znowu się cucił, znowu naglił konie do biegu i znowu usypiał.

W drodze spotkała się landara z żydowską bryką, za którą biegło kilka przywiązanych koni, na bryce zaś jechało z pięciu żydów, widocznie handlujących końmi; wszyscy oni, nie wyłączając furmana, spali; ten ostatni drzemał z fajką w zębach. Łuka miał prawdziwą fantazyą, — pragnienie wykonania jakiegoś nadzwyczajnego czynu, co jest właściwe każdemu podochoconemu chłopu; przeto rozwinął szeroko swój bicz, śmignął nim i trzasnął tuż nad głowami śpiących izraelitów. Wszyscy się obudzili z wielkiem przerażeniem... Ale koniec fornalskiego bata okręcił się około cybucha fajki furmana i fajkę wyciągnął z ust żydowi... Łuka świsnął biczem i fajka, jakby z procy wyrzucona, poleciała gdzieś na pole.

Na żydowskiej bryce powstało ogromne zamieszanie; furman zeskoczył natychmiast i począł ścigać powóz; ale Łuka, rad ze swego dzieła, uśmiechnął się do siebie, zaciął szkapy i pędził tego, tak, że landara aż jęczała, podskakując po wybojach. Panna Jourdan musiała się teraz obiećma rękami trzymać siedzenia, ażeby głowy nie rozbijać o ściany powozu, albo nawet nie dosięgnąć w podskoku sklepienia. Podczas téj szalonej jazdy czarny kot wyskoczył z koszyka i począł się rzucać po zamkniętym powozie, a wreszcie przycupnął za wanienką, mrużąc gniewnie. Francuzka krzyczała, lecz Łuka nie słyszał, czy słyszeć nie chciał,—pędził ciągle, podniecając ko-

nie do biegu. Wjechali w las, gdzie na drodze były straszne korzeniska; landara wyskakiwała, huczała, trzeszczała, niby potwór apokaliptyczny. Naraz coś zgrzytnęło i powóz nachylił się ogromnie, Łuka zaś, pełen zapału, wraz z walizą, na której siedział, spadł na ziemię wśród niezmiernego stuku. Panna Jourdan, wanienka, kot oraz rozmaite pakunki, — wszystko skupiło się w jednym kącie powozu. Wewnątrz landary dały się słyszeć jęki przerażenia, zewnątrz Łuka miał przekleństwa:

— A bodaj was choroba cisnęła z takim gratem... syćkie ziobra człowiek może na drodze ostawić...

Jednakże fornał mężnie zniósł ten pocisk losu; niebawem powstał, otworzył drzwiczki powozu i rzekł:

— Niechże pani Ziurdanka wylezie a to na drogę, bo się koło złamało u tego zatraconego kocibryka.

Ale kiedy zajrzał wewnątrz powozu, spostrzegł przerażający obraz: w waniencie wody tu nie było wcale, karpie tłukły się po naczyniu, podskakiwały po powozie, jakby w mękach konania, a czarny kot trzymał w zębach jedną rybę, chrupał ją żarłocznie, pomrukując i ciskając iskry ze świecących oczu.

Biedna guwernantka, zmoczona, pomięta, z trudem wydobyła się na drogę; Łuka zaś zrobił najprzód jaki taki porządek w powozie: obił kota,

odebrał mu zamordowaną rybę i wypędził na cztery wiatry „zaciezonego szkodnika.“ Dalsze zadanie fornala polegało na tém, aby naprędce urządzić jaki surrogat koła i dotrzeć do karczmy, Kamień zwanój, gdzieby można było przeprowadzić radykalniejszą reparacyą landary.

Zapúścił się więc w las Łuka, upatrzył brzózkę, która mu się wydała dość „śwarną“ i począł ją od dołu nacinać kozikiem; pracował długo, wreszcie nagiął drzewo, złamał, obciął gałęzie i przywlókł do powozu. Teraz przytroczył zepsute koło z tyłu na wiązce siana, brzózkę zaś podsadził zamiast koła i tak ją utwierdził, ażeby się landara utrzymała na właściwym poziomie.

Już miał ruszyć z miejsca, kiedy z lasu wyszedł jakiś człowiek w zielonój czapce, ze strzelbą na ramieniu; ten zbliżył się do Łuki i rzekł:

— Skąd ty jesteś, człowieku?

— A na co to panu wiedzieć? — powiedział fornal, nie patrząc nawet na przybyłego.

— Na to, że za ścięcie drzewa w lesie musisz sztraf zapłacić; inaczéj stąd cię nie puszcę.

Łuce zrobiło się w oczach ciemno, jednakże nie tracił miny i udał, że nie słyszy.

— Za ścięcie brzozy zapłacicie dziesięć rubli! — zawołał znowu człowiek w zielonój czapce.

— Juści... Będę ta panu płacił, kiej nie mam.. Czym to ja kogo obdarł z pieniędzy, żebym je po drodze rozrzucił?

-- Nic nie pomoże; zaaresztuję ci konia! Las

należy do księcia Głupskiego-Głupeckiego, który wydał rozkaz do straży leśnej, aby surowo ściagała wszelką kradzież i przestępców oddawała sądowi.

— A i cóż ta znaczy taki rozkaz!... Niby to ludzie w Szczurkowicach wiedzą, co tu u was przykazane. A żeby las należał nawet do króla, to i tak kunia brać nie pozwoli.

Człowiek w zielonej czapce śmiało przystąpił do czynu i począł wyprzegać konia.

— Ej, niech pan nie zartuje! — krzyknie Łuka — i nie ciąga mnie do grzechu, pókim dobry!

Nieznajomy przestał wyprzegać szkapę, podszedł do chłopca i powiedział, drwiąc:

— Cóż ty sobie myślisz, głupi parobku?... Ja ciebie mogę do kryminału wsadzić za złodziejstwo!...

— Dzisz go, co to plecie! Kryminału mu się będę bojał! Czy ja to sobie ukradłem tę krzynę brzeziny? Tać ślacheć z naszego dwora znać się musi z panowym, to uni sobie oczu nie wykoła. Bez cóż chłopca za syćko winować? Możem ja krzyw temu, że mnie dziedziec ze Szczurkowie wysłał i kazował przewieźć do Sadelka Ziurdankę w takowej marnój landarze?...

Powiedziawszy to, Łuka podszedł do panny Jourdan, która już się w powozie rozsiadła, i mówił:

— Niech no pani wyźry, co się święci; dyć nam kunia fantują!

Francuzka potrząsnęła głową, a kiedy jój fornal palcem począł ukazywać stan rzeczy, wyjrzała z powozu i przestraszyła się widokiem człowieka, uzbrojonego w strzelbę.

— Mon Dieu — jęknęła. — Quel malheur?...

Może mu pani co naśwargoce, to psia para odeńdzie!... — I gestem pokazał francuzce, jak się liczy palcami pieniądze. — Geld!...

Przestraszona kobieta dobyteła ze sakiewki parę złotych i oddała je Łuce, który podszedł do nieznanomego, wcisnął mu w rękę pieniądze i powiedział:

— Niechże będzie zgoda!... Ma tu pan zapłatę, coby już nie było wydziwiania ludziom po drodze o belejakie rzeczy.

Człowiek w zielonej czapce bez wahania przyjął pieniądze, popatrzył na nie, schował w kieszeń i niebawem zniknął w lesie.

— Taki paliwoda to tyło przewąchuje, kajby co wydrwieć z człeka — mruczał Łuka. — Zarazem zmiarkował, że jemu nie o tę brzezinę chodzi!... Zwyczajnie kuźdy drze łyka, kiej może.

Landara ruszyła w dalszą drogę na trzech kołach oraz na drągu. Jazda owa była niezmiernie uciążliwa, fornal zmuszony był nieustannie drąg poprawiać, podwiązywać.

Nad samym wieczorem zajechano przed karczmę, równie słynną i znaną wszystkim furmanom jak Gajówka. W téj karczmie, nazwiskiem Kamień, każdy przystaje z chęcią: pasie i poi

konie, sam też podje, podpije, bo kamieńska wódka na okolicę słynie z tęgości i smaku, a tujejsza woda koniom bardzo lubuje. Jest też na Kamieniu i kuźnia, którą prowadzi niejaki Michał Robota, znany pospolicie pod nazwiskiem Michałka, człowiek łączący w swój osobie fach kowala z fachem kołodzieja.

Łuka powziął poważną myśl zrestaurowania tutaj landary, zwłaszcza że mu na rękę było dłużej zabawić na Kamieniu, gdzie znał dobrze Michałka, a zawsze też zwykł był w tej karczmie spotykać różnych znajomych. Więc nie zajechał już przed karczmę, lecz wjechał do obszernej stajni, przyczem zawadził w bramie i oberwał drzewiczki od powozu; potem wyprzągł konie, dał im siana, następnie napił, zasypał w żłób obrok i zajął się dziełem naprawy uszkodzonego powozu.

Z Michałkiem nie było co mówić, dopóki nie wychylił kubasa, czemu też Łuka nie omieszkał zadosyć uczynić. Po napitee zabrano się do oględzin powozu. Robota rozpatrywał uważnie rozklekotaną landarę, dotykał jej ręką w różnych punktach, obmacywał, badał szrubki i spoidła, a ciągle potrząsał głową; wreszcie rzekł:

— Musicie tu nocować; do Sadełka będzie jeszcze półtoręj mili z ogonem, koniska nie dowłoką takowej starzyzny. Noc też ciemna teraz; uchowaj Boże zostać w szczerém polu bez nijkiego ratunku.

— Dyc prawdę pedacie, Michale!... Obeźreli-

ście tego grata, nikiój dochtór kalékę... Ale bo to okumon w Szezurkowicach da czléku jaką wiarę? jemu psiaduszy ino zawsze w głowie bele ludziom naswarzyć, a przed dziedzicem nagadać, nałgać...

— Tać znam tego obieżyświata! — rzekł Robota. — Może to taki mieć jakowe rozumienie!

Panna Jourdan nie opuszczała powozu, cierpiała biedaczka na fluksyą. Łuka podszedł do niej i po swojemu namawiał, ażeby zaszła do karczmy, gdzie w stancyi propinatora może się rozgrzać; obiecywał jój nawet sam urządzić „śwarne” posłanie, ale francuzka ruszyć się nie chciała, obdarzyła tylko fornala nowym datkiem „na śnapsa.”

W stajni na Kamieniu, jakkolwiek urządzenie było bez porównania wygodniejsze, aniżeli w innych karczmach, jednakże wespół z końmi podróżnych odbywały tu nocleg krowy propinatora, kury, gęsi, prosięta i pies Burek.

Noc zapadła i znużona guwernantka zasnęła nieco pomiędzy temi różnemi zwierzęty, chociaż z szynku dochodził jój uszu donośny gwar chłopstwa, chociaż od żłobów słychać było głośnie chrupanie sieczki, a także pisk myszy i szeurów. Krowy legły pokotem dokoła powozu. Opodał stado gęsi używało wywczasu, a pod landarą położył się pies Burek. Były téż w téj stajni liczne wozy oraz bryki, a tu i owdzie odzywało się na nich chrapanie chłopa lub żyda.

Trzeba było zdarzenia, iż podczas owéj nocy jakiś koń urwał się od żłobu i, jakby lunatyk, rozpoczął po stajni przechadzkę, zakłócającą sen jéj mieszkańcom: Rozpedził gęsi, poruszył spokojne krowy, rozbudził nawet Burka. Panna Jourdan spała twardo, jakkolwiek emigracyjny ruch zwierząt odbywał się na całej przestrzeni stajni. Gęsi z krzykiem wpadły pod powóz i wyrugowały stamtąd Burka, który, ponieważ drzwiczki powozu były oderwane, wskoczył wewnątrz landary i ułożył się na nogach francuzki, gdzie właśnie leżała szynka obwiązana w serwetę. Pies był widocznie głodny, przeto, miasto zaspakając potrzebę snu, począł obrabiać zębami szynkę. Niebawem atoli w drzwiczkach powozu ukazała się rogata głowa jałówki, która najprzód ryknęła zlekka, bocząc się na Burka; ta okoliczność sprawiła, iż pies z szynką zreiterował pod powóz. Jałówka, włożywszy zaś głowę wglęb landary, poczęła tu gospodarzyć. Dobrała się jakoś do zawiniątka z suszonemi gruszkami, śliwkami i jabłkami; kiedy zaś spożyła wszystko, zwęszyła jeszcze zawieszzone na ścianie powozu wieńce prawdziwych grzybów. Po spożyciu grzybów jałówka wyciągała szyję jak mogła najdłużej, plondrując dalsze wewnątrz; podczas tych badań przypadkiem jakoś liznęła szerokim językiem twarz panny Jourdan, śniącój właśnie, że już wróciła do ojczyzny i wita się z różnymi znajomymi. Co innego sen, co innego rzeczywistość!...

Francuzka, zbudzona wyciągnęła rękę przed siebie i pod palcami poczuła twardej jakiś łeb, uzbrojony w twardsze jeszcze rogi... Krzyknęła okrutnie przerażona, w skutek czego jałówka umknęła natychmiast od powozu pomiędzy bydło. Teraz panna Jourdan poczęła wrzeszczeć w niebogłoso, a wspólnie z nią darły się gęsi, w górze zatrzepotały kury i koguty pięć poczęły. Na zgiełk taki powychodzili z karczmy ludzie, a między nimi Łuka. Wśród ogólnego podziwu przeprowadzono guwernantkę do izby gospodarza, gdzie już spokojnie przepędziła resztę nocy.

Nazajutrz około godziny dziesiątej z rana przed dworem w Sadelku stanęła landara. Ale z darów, które kochający brat Błazuś wymienił w liście, piśanym do najmilszj siostruni Salusi, doręczono jěj zaledwie kilku zdechłych karpi.

Takie wypadki mogą niekiedy mieć wpływ na ostatnią wolę, wyrażoną w testamencie.



NA ZWŁOKACH ZWIERZĘCIA.

Na zwłokach zwierzęcia.

Gdy Dodona przestała ludziom starczyć strawy,
Ceres ich nauczyła żyć z gruntów uprawy.

Virgil. Georg.

Syn pana Jana Nepomucena Kobiąlkiewicza nie dostał jednego roku promocyi z trzeciój klasy. Cenzura szesnastoletniego Wicusia mało sprawiała trudu temu, kto ją pisał, a na odczytanie téż tego dokumentu nie potrzeba było wiele czasu; ojciec rzucił tylko wzrokiem i ujrzał wszystkie przedmioty szkolne zakreślone klamrą, co się w matematyce nawiasem zowie, a za klamrą wypisano dużemi literami—*maty*. Na ten widok stary chwycił zapalczywie wyrostka za ucho, zaprowadził go do izby, gdzie przy drzwiach wisiała kropielniczka ze święconą wodą, a nad nią na haku klucze od śpichlerza oraz bat z twardego rzemienia, i tutaj batem tym wyliczył mu tyle plag, ile tylko mógł, dopóki bijąca ręka nie osłabła. Potem wyrećzał się pan Jan synem przy gospodarstwie, a kiedy nadszedł koniec feryj nie po-

słał już chłopaka do szkoły, lecz go zatrzymał przy sobie w domu. Wicusowi w to graj! Dozował w stodole i na niwie, woził snopki, stawiał brodła, orał, pławił w rzece konie, był parobkiem, karbownikiem, polowym. W takiej szkole twardej uczył się z większym powodzeniem, aniżeli w gimnazyum i został téż twardym rolnikiem. Po śmierci ojca odziedziczył pięciowłokowy folwark Dziobaków, gdzie, jak dzień długi, bardzo ciężko pracował. Był to człowiek szorstki, którego głos miał donośność trąby, a fizyognomia nosiła piętno surowości. Przyjemności jego życiowe ograniczały się do używania wierzchowej jazdy na narównych koniach i do chowu roślących a bardzo złośliwych psów. Pan Wincenty przez jakiś czas miał się ku żeniacze, gdyż potrzebował w Dziobakowie gospodyni; ale go nie chciała żadna panna w okolicy, podobno z tego powodu, iż był zawsze tak przejęty końskim potem, że niepodobieństwem było przydłuższe z nim obcowanie. Żył przeto i umarł w celibacie. W roku 1859 dziedzie Dziobakowa liczył pięćdziesiąt lat życia i był bardzo krzepki; chował on w on czas siedmiu psów, z których trzech najenergiczniejszych kazał więzić na łańcuchach; miał dwóch wierzchowców, lecz prawdziwą słabość czuł do kasztana. Koń ten nieustannie i jakoś nerwowo kręcił krótkim ogonem a łbem ciągle kiwał, przytém wierzgał, kwiczał, umiał wyciąć w górę szczupaka wszystkimi czterema nogami, sadzić hop-

ki i t. d.; biodra miał sterczące, bokami robił silnie, do biegu rwał się namiętnie, wyglądał jak podkasany. Pan Kobiałkiewicz zaręczał, że nie ma na świecie drugiego konia równie zwinnego, jak jego kasztan.

Było to w czerwcu po południu, dziedzie Dziobakowa, ubrany w ciężkie buty z cholewami za kolana, w krótką szarą kurkę i w granatowy wypłowiały kaszkiet z lakierowanym daszkiem, wziął z kąta izby kij sękaty, wyszedł na ganek swego dworku i przeciągle gwizdnął. Wiadomo każdemu, iż psy przyzywa się w taki sposób.

Na ten sygnał z kilku bud, ustawionych około śpichlerza, wyjrzały psie głowy i żywo a z zaciekawieniem spoglądały ku białemu dworkowi, gdzie stał był Kobiałkiewicz. Widocznie atoli gwizdnięcie nie stosowało się do psów na łańcuchach uwieczonych, a nawet psy owe zdawały się rozumieć tę prostą logikę, że, skoro je przywiązano, to dlatego chyba, aby leżały w budach. Sygnał zwrócony był do jakichś innych psów, chodzących sobie swobodnie; ale z tych żaden jakoś nie stawił się na wezwanie. Pan dziedzie gwizdnął drugi raz, jeszcze silniój, co wszakże było także bezskuteczne. Począł się tedy uważnie rozpatrywać dokoła, gwizdnął raz jeszcze, a nareszcie donośnym głosem jął nawoływać:

— Zagraj!.. Na tu, na tu!... Płatek, Druchna!.. Tu, tu, tu! Na tu pieski!..

Ani żywy duch się nie pokazał. Tylko łańcu-

chowe psy z bud powyłaziły, poczęły otwierać gęby, ziewać przeciągle, skomlić, wyć, merdać ogonami, łańcuchami potrząsać, rwąc się z ciasnych obroży. Zgiełk ten pobudził przedewszystkiém puszącego się na dziedzińcu indyka, który począł teraz straszliwie bełkotać, jakby psom na przekorę. Gdzieś w oddaleniu odezwał się paw na strzesze. Porwały się czemprędzej w górę płochliwe gołębie i, kłapiąc skrzydłami, zataczały obszerne koła. Kury, spokojnie dotąd wygrzebujące barłóg, z kogutem na czele, zagdakały, ucho-dząc na wszystkie strony i rzucając się na płoty a przykopy. Wreszcie najcierpliwsze ze wszystkiego drobiu gęsi pojęły snadź także, iż musiała zajść jakaś katastrofa, skoro cały świat zwierzęcy pełen jest wzruszającego niepokoju. Przestrach ścisnął tedy gęsie serca i zwierzęta one wyciągnęły najprzód swe długie szyje, zadarły się krótkim urywanym głosem trwogi, następnie rozwinęły skrzydła, a lecąc tuż nad ziemią, odbyły podróż do poblizkiej kałuży. Kiedy zaś tam zapadły, narobiły gęganiem rozgłośném dużo gwaru, jakby się cieszyły dzielnością swego lotu. Awanturnicze ukazanie się gęsi było niespodzianką dla kaczek, które w kałuży wzorowo pracowały; niektóre z nich, wystawiwszy ku górze kupry, badały stan rzeczy pod powierzchnią wody; inne, będąc widocznie w pożądanym żołądkowym dobrostanie, spokojnie zasypiały na brzegu. Jedne i drugie, na widok wzburzonych gęsich umysłów,

porzuciły pracę i oddały się bezcelowym rozruchom.

Kobiałkiewicza podrażnił mocno taki nieporządek, niejako brak karności we własnej jego armii: nietylko psy nie stawiały się na wezwanie, ale wszystko inne uciekało przed nim po dziurach, nie pojmując porządnej komendy. Za takie rzeczy we wszelkiem kolektywném życiu ktoś musi być odpowiedzialny przecie. Więc też teraz nie nawoływał on już psów, nie gwizdał na nie, jeno, natężywszy głos, huknął tak, aż mu się oczy zaczerwieniły i policzki nabrzmiały:

— Kaśka!... Do kroćset tysięcy dyabłów!...
Kaśka!...

I to nie pomogło, nikt się nie ukazał. Tylko psy nanowo zawyły przy budach, tylko gołębie jeszcze klapały skrzydłami, zastanawiając się, czy nie pora już usiąść gdzieś na dachu. Jedynie dotrzymujący placu, choć nieuwiązany indyk, sierznił i jurzył się, przedrzeźniając wołanie pana:

— Glau-blau!.. Gul-gul!..

— A bodaj-żeś pękł parszywce! — mruczał Kobiałkiewicz pod nosem.

I znowu krzyknął donośnie:

— Kaśka! Hej, psia noga, Kaśka! Bywaj!..

Indyk zuchwale zerknął na dziedzica zpod swoich fioletowych brwi, potrząsnął długim zbakierowanym nosem, zaorał po ziemi tęgimi skrzydłami i z całej siły znowu naklął gburowato panu

Wincentemu. Teraz dopiero wylazła z kuchni jakaś kwadratowa baba, ubrana, jak to mówią, z waszecia, bo miała końce od chustki na głowie w tył puszczone i na sobie kraciastą barchanową jupkę; trzymała ona w ręku olbrzymią warzechę i od progu odezwała się basem:

— Na kogóż znowu jegumosc tak straszecznie swarzy? Dyc wszystko z domu pouciekalo!..

— Jak to ja nie mam swarzyć? Tyle pysków żywie przy sobie, a psiego ogona nie mam pod ręką, kiedy mi trzeba posłużyć!

— A juści, juści, tak się jegumosci zdaje... Przecie tu pyski darmo strawy nie biorą, ino kuźdy swoje robi.

— Oho, moje malowane lale! Robicie wy, robicie; niech was sęk trzaśnie!

— No, może się oblizujemy?... I bez cóż tak znowu wyklinać? Któż to nie robi — może ja? Może oto i teraz nie szoruję garnków po obiedzie?... A któż nawarzył jedzenia, żeby napchać tyle brzuchów w całym domu? Czy to do doju nie chodzę? Czy kur i świń nie pilnuję może— hę?...

— Eee! Co tam gadać; niech się Salomeja lepiej nie chwali!... Kaški oto wołam od godziny i nie mogę się dowołać. Psa żadnego w domu niema!

— Także dziwota. I bez to drzeć się po próznicy... Kaškem przecie posłała, a psy za nią dyrdnęły.

— Gdzież ją znowu Salomeja posłała?

— Juści nie na zaloty!.. Krowa oto na pastwisku dostała paskudnika, wydeła się pono strasznie i zdycha. Skotak przysłał po pomoc do dworu, a jegumość tak chrapał, że się dobrać nie mogła, choć targałam setnie za nogę, za ręce. Więc też posłałam Kaśkę i bez to nie bywa w domu.

— Co wy ludzie mówicie? O rany boskie!.. Krowa zdycha? Któraż znowu?

— Którażby, ino Biedrawa, beskurcyja najzierniejsza ze wszystkich; wleciała pewnikiem w okunieczynę i tera zdycha.

— No, nie mam ja też racyi przeklinać tego narodu?... Żeby się człowiek na zmrúzenie oka uchylił, zaraz masz upadek: wół, koń, krowa, cielę!... Oj, wyjdę ja z tego Dziobakowa z torbami chyba!

— A to po cóż jegumość przesypia południe? Od kiedy to ta już fornale w polu! Któż będzie pilnował? Wiadome rzeczy, że kuźden taki prosty człowiek na szkodę ino robi. Bo czy to ma jakie wyobrażenie?..

Z temi słowy Salomeja poważnym krokiem wtoczyła się znowu do kuchni, gdzie zasiadła na ziemi, ustawiła sobie między kolanami wielki, żelazny sagan i rękami, zakasanemi po ramiona, przy pomocy wielkiego noża wyskrobywała przywarki od kaszy, które troskliwie odkładała na bok dla faworyta wieprzka.

Dziedziec Dziobakowa porwał tymczasem narzędzie do puszczenia krwi z żył chorych zwierząt, skoczył do stajni, sam sobie osiodłał kasztanka, dosiadł go i popędził na pastwisko. Kiedy tutaj przybył, było już za późno; martwa Biedrawa leżała, wyciągnąwszy ku przodowi racice, a nokoło stali: zgryziony wypadkiem skotak, zakłopotana Kaśka, pomocnik skotaka Adamek, chłopak dziesięcioletni w jednej koszulinie tylko, przez wpeł przepasany rzemykiem, na którym wisiął kozik. Malec nie miał nawet czapki na głowie, w rękę trzymał witkę, otworzył szeroko usta i wytrzeszczył oczy. W tém towarzystwie znajdowały się téż trzy psy, pożądliwie węszące trupa, a opodał, o jakie dwadzieścia kroków, dawał się widzieć jeszcze czwarty pies bez ogona; ten nie miał widocznie śmiałości przystąpić do grona, złożonego jakoby z wybrańszych osobników.

Kobialkiewicz rwał na kasztanie lotem strzały; skoro przybył na miejsce, koń się strachnął na widok zwłok krowich, strzygnął uszyna i wpadł bokiem pomiędzy psy, potrącając je dosyć bezwzględnie energiczném kopytem. Kopnięta w udo Druchna odskoczyła, kulejąc i wykrzykując żałośliwie: „Aa, aa, aa!”

— No, cóż się tu dzieje? — zapytał dziedziec, zeskakując z brykającego podjezdka.

— Ha, cóż się ma dzieć! Nic osobliwego, pomorek mamy, bydlę oto zdechło. A szkoda, bo

krowisko było cnotliwe! — odrzekł skotak, zdejmując czapkę i skrobiąc się flegmatycznie po głowie.

— Ale z czego zdechła? Toć to najpiękniejsza krowa w całej oborze! Tydzień temu kładli mi za nią na stół siedmdziesiąt pięć rubli gotowego grosza!—powiedział pan Wincenty.

— A cóżby kłaść nie mieli, krowa taka, kieby stodoła... Ale kto ta wie, z czego zdechła. Drugie bydłę legnie i nie wstanie. Bo czy to człowiek, żeby pedziało, co mu brakuje?

— Et, szelmy jedne, zabiliście mi zwierzę! Niedozór, niedozór, brak dbałości! Niezawodnie wlazła w młodą koniczynę, zdechła na wydęcie, widzę.

— W okuniczynie jój ta nikt nie widzioł. Jak, się obzarła to na południe; ale żadnego wydęcia nie było, mléka ino wywaliła ze siebie ze trzy garnce... Co za gadanie; gdzie się zaś miała wydąć? A bo to nie przechodzą różni ludzie wele drogi? Oziorał kto, jucha, i kuniec. A może téż czyrwia jakiego chyciła do flaków, albo ziele jakie, co ją struło? Któż ta krzyw temu?... Żeby jeszcze na podorędziu jaka pomoc była, możeby się co i zaraiło; ale przyleciało ze dwora głupie oto dziewczysko, cóż tu z taką gadać?... Rozdziawi japę i patrzy, jak głupia. Ja jój mówię: Ciągnij za ogon, ciągnij mocno! A ona się stracha albo jój się z psami gzić zachciewa. To ten

głupi chłopak, Adamek, więcej ma wyrozumienia od takiej dziewczuchy.

— Co mi tam baje pleciesz!... Wszyscyście łajdaki, skórę z was drzeć w pasy, bo niczego nie uszanujecie!... Jak co dworskie, to już można kraść, zaniedbywać... Wiem ja, wiem! A po chwili wzburzony dziedzic zawołał:

— Kaśka, ruszaj mi zaraz do domu i psy ze sobą zabierz! Potem zaś zwrócił się do Marcina skotaka, mówiąc:

— A ty zdejmij porządnie skórę z tego bydła! Żebyś nie był taki głupi, tobyś przynajmniej był dorzynał krowę, sprzedałoby się mięso na wieś, chociaż po parę groszy za funt... A tak, trzeba wszystko stracić!

— Miałem dorzynać — czémże? Kozikiem, czy co? Bydłę też ryczało tak miłośernie, że aż mi się dusza ścisnęła. Myślałem, że jeszcze ozdrowieje, a ona wzięła i zdechła. Ale z takiej pięknej krowy, to ludzie przecie i tak mięso rozbiorą.

— Zdechliny nie wolno sprzedawać! — rzekł krótko a stanowczo Kobiałkiewicz.

— A kto ta, proszę jegumości będzie wiedział. Niech się ino zwiedzą, to zarazik rozkupią, zeżrą i po syćkiemu; kuźden gębę obetrze i jeszcze panu podziękuje. Ja sam zaraz zabiorę łeb i wątrobę, to mi jegumość za nie z zasług potrać, a bebechy, to prawie już psom cisnąć.

— Słyszysz, ośle, mówię ci wyraźnie, że sprzedawać tego mięsa nie wolno!

— To i po cóż jegumość mówi? Kto ta zabroni, kiedy miso łakome rzeczy? Kto się ta boi niby ziandara!...

— To nie jest żadne mięso, rozumiesz! Pádli-na! Mogła być zaraźliwa choroba.

— Więc się téż dobrze wygotuje, lebo wypie-cze a posoli i opieprzy, to ta nikomu nie zaszkodzi. Jak jeszcze gorzałki z tłustém wypije, kaj-by ta baczył na chorobę.

— Powtarzam ci, cymbale, że nie wolno! Odpowiedzialność ogromna; musiałbym w dodatku jeszcze karę zapłacić... Mało mi już jednej straty?—mówił dziedzie.

— Jak pan nie chce, to nie! Niéma czego na człowieka wydziwiać...

— Więc pamiętaj skórę ściągnąć, potem wygrzeb dół i resztę zakopiesz!

— Tyło darmośna robota!... Niby to ludzie i w dole nie przewąchają... Żebym ja tak miał tyle szczęścia, co już we wsi naszój zdechliny zeżarli... — mruczał Marcin.

Kobiałkiewicz wskoczył na kasztanka i popędził z powrotem do domu. W drodze spotkał on Kaśkę z psami: biegła, figlując z nimi. Zdaleka tylko postępował pies bez ogona, zatrzymując się co chwila i bacznie obserwując idące przed sobą towarzystwo.

— Cóż ty, głupia małpo, wyrabiasz z psami

po drodze? Nie można ci, próżniaku, psów nawet oddać w opiekę?—zawołał pan Wincenty.

— Cóżem ja krzywa, że mię Płatek ciągle napastuje? Psia wiara taki rozpustny, raz po raz na mnie wyskakuje.

Płatek był to pies młody i głupi, cały srokaty. Słyszając wymówione swoje imię, przystanął, nadstawił uszy, spojrział jakoś figlarnie, a potem poskoczył i uchwycił dziewczynę za spódnicę.

— A nie pójdziesz ty sobie, zacieczony! Nie słyszysz, czy co, że się jegomość gniewa? — powiedziała Kaśka i pogroziła Płatkowi patykiem; ale Płatek odskoczył niby to na bok w zgrabnym susie, figlarnie przyczaił się na przednich łapach i nagle ni stąd ni zowąd, skoczył na Kaśkę. Dziewucha wlaźła właśnie w wyboje na zły drodze i, nie spodziewając się napadu psa, wpadła do dołu, gdzie sobie potłukła rękę.

— Sobacza jedna, zbereźnik! — kleła Kaśka, krzywiąc się i chromając.

— Czegóż znowu psa przeklinasz, oślisko? Leżesz, jak martwa; któż winien żeś upadła?

Tymczasem Druchna, piękna czarna suka, jakby niezadowolniona z postępowania swojego syna Płatka i z wynikłego stąd zatargu pomiędzy Kaśką a dziedzicem, odeszła na bok, gdzie się spotkała z psem bez ogona, odstrychniętym od całego towarzystwa. Chude to psisko na wysokich nogach, miało nazwę Bukiet. Barwa jego była czarna, miał tylko białą przepaskę naokoło

szy i takąż smugę przez nos oraz czoło, a końce odnoży były także białe. Bukiet niedowierzająco spoglądał na zbliżającą się ku niemu Druchnę i sprawiał wrażenie nędzarza, którego pozdrowia możnowładca. Kiedy już atoli nie podleżało wątpliwości, że tłusta i połyskliwa na sierci suka tuż obok niego się znajduje, wtedy uznał on za właściwe zrobić jój parę psich komplimentów. Więc najprzód merdnał kilkakrotnie krótkim ogonkiem, potem wystawił nos i począł swoją towarzyszkę subtelnie obwąchiwać, na co jednak Druchna zdawała się wcale nie zwracać uwagi. Dopiero, kiedy suka puściła się w pole, obwąchując bruzdy i zagony, Bukiet pędził za nią, podnosząc jak mógł najwyżej swój kawałek ogona; wyraźnie chciał on jój asystować. Ona—hul w kartofle, on za nią i sadzili na wyścigi — jedno obok drugiego. Tymczasem Zagraj, pies rośły, karny, mający w sobie trochę krwi buldoga, trochę—harta, bury, pręgowany, jak tygrys, stanął na pagórku i baczniem okiem rozważał owe psie swawole w kartoflach. Wszystko mu się zdawało, że dziedzic karci tego rodzaju pohulancki, przeto od czasu do czasu spoglądał téż i w stronę Kobialkiewicza, który właśnie co tylko ze wspinającego się kasztana zrobił Kaśce wymówkę za niezręczność. Pan Wincenty nie miał już co rozmawiać ze skwaszoną dziewczuchą, więc ją wyprzedził i wjechał na punkt więcej wzniesiony, ażeby się rozpatrzeć po polach, czy mu cha-

my szkody gdzie nie robią. Płatek swoją drogą kusił się jeszcze, aby z Kaśką pofiglować; ale ta kopnęła go bosą nogą w żebra, mówiąc nawpół z płaczem:

— Jeszcze bez ciebie, zatracony, muszę słuchać pańskiego swarzenia!

Zrozumiał widać Płatek argumentum ad canem, bo teraz pędził co żywo przed Kaśką, opuściwszy ogon do saméj ziemi.

Kobiałkiewicz przystanął na wzniesieniu, przyłożył rękę do czoła i ujrzał, że mu coś w oczach miga między kartoflami, niby para ludzi, może dwie baby ze wsi wykradające kartofle; łeb bowiem Bukieta, widziany zdaleka, robił wrażenie głowy w białej chustce. Zaintrygowany dziedzie Dziobakowa przypuścił na kasztanku i podjechał miedzą.

— Psy oto, juchy!—mruknął.

Ale właśnie w owéj chwili Druchna i Bukiet z całym pędem oraz z rozgłośném naszczekiwanem wypadły z kartofli i rzuciły się w jęczmień.

— O bestye przeklęte! Na nic mi stłoczą zboże!... Dam ja wam, łajdackie nasienie!

I z temi słowy na ustach pomknął, jak wiatr, po miedzach.

Kiedy to Zagraj ujrzał na własne oczy, że i pan dziedzie bierze udział w psiéj gonitwie, jak się nie puści na przelaj przez żyto, przez grykę, przez owies, aż zdala furkanie było słychać.

Dopiero kiedy nie poczną wszyscy troje grać w jęczmieniu swój tercet, a wyskakiwać do góry za zmykającym szarakiem! Schwycił się Kobiałkiewicz za głowę, puszcza kasztanka pełnym galopem, dociera do jęczmienia i wrzeszczy, jak szalony:

— Na tu, psiakrew Druchna!... Na tu, Zagraj!... Do nogi, do konia! Psie, łajdackie dusze!... Tu, tu, tu!...

Pomogły te krzyki, uciszyła się wreszcie psiarńia; dwa psy pokornie podeszły do konia, a czolągając po ziemi, spoglądały w górę na zapłonione gniewem lica pana Wincentego. Nie było żadnej awantury z batem, bo człowiek ten kochał psy swoje, jak dzieci.

Ale Bukiet na wezwanie nie przybył, nie usłuchał polecenia, harcował dalej po jęczmieniu; wpadł w koniczynę, z koniczyny w łąkę, z łąki w pszenicę, o zgrozo, i gnał het, het za zajęcem. Była to harda, buntownicza psia dusza. Rygor kija wszyscy na nim praktykowali, a on nigdy nie słuchał nikogo. Bywają tacy.

Spoglądał wściekle Kobiałkiewicz za rozszalonym Bukietem, mrużąc gniewnie z zaciśniętymi pięściami:

— Nauczę ja ciebie po kościele gwizdać!... Łajdaku, basy cię nie miną, jak Bóg na niebie!

Kiedy pan dziedzic odjechał z pastwiska, skotak ściągnął skórę z nieżywej krowy i począł się namyślać, jak tu resztę trupa zabezpieczyć.

— Jadamek! — krzyknął na swego pomocnika i bratanka — dymaj gajgiem do domu, przynieś mi łopatę i siekiérę; powiedz gospodyni, żeby ci to wydała, bo muszę Biedrawę pogrześć.

Jadamek się skrzywił, ale musiał usłuchać rozkazu zwierzchnika oraz opiekuna, więc co tchu popędził do dworu. Nie długo się bawił i wrócił, dźwigając topór a rydel.

Marcin kopał trzy doły, umyślił sobie bowiem, aby najlepszą część zachować dla siebie w jednym dole; w drugim pragnął pomieścić to, co przeznaczał dla dobrych przyjaciół — karbownika i dwóch fornali; resztę zaś miał zamiar rozdać różnym ludziom ze wsi, z którymi go nie łączyły bynajmniej jakieś serdeczniejsze stosunki, lecz zwykła życzliwość porządnego obywatela.

Miało się już ku wieczorowi i jaskrawa kula słońca staczała się pod widnokrąg; fakt ów przyrody rozumiało bydło, które téż w skupionój gromadzie podchodziło do skotaka, jakby znieczepiwione, iż ten nie myśli coś o powrocie pod strzechę. Krowy, opchane trawą, szły tedy ciężkim krokiem, pomrukując niewyraźnie, chłoszcząc się po bokach ogonami i językami mieląc podczas przeżuwania. W środku téj poważnej rzeszy szedł buchaj łaciasty, nizki, ale gruby jak becz-

ka; na samym zaś końcu kroczyło kilkoro cieląt podrosłych—byczki i jałowice.

Marcin właśnie w oddaleniu kopał ostatni dół na grób dla obdartej już ze skóry krowy, kiedy nagle idąca przodem Smolicha zobaczyła czerwone mięso bratniego sobie trupa, a tuż obok — rozciągniętą skórę niedawno żywej jeszcze Biedrawki. Więc podniosła ona ogon i, zestraszona, poczęła po ziemi wachać. Przyszły inne krowy i czyniły to samo. Wszystko bydło ustawiło się rzędem i zaczęło ryczyć przeraźliwie.

— A weź-że, Jadamek, mego batoga i rozpędź to utrapione bestyjstwo!—zawołał skotak, a chłopiec zrobił, co mu polecono. Rzucił on się pomiędzy bydło, smagając je biczem; atoli Smolicha wydała ryk straszliwy i poskoczyła w pola ze wzniesionym do góry ogonem; ryknął też buchaj basem najpoważniejszym, a zawtórowały im różne Kwiatule, Brzezule, Łysule, Wiśniochy; odezwały się beki cieląt i cały ten hufiec, jakby oplakujący skon istoty bliżniej, gnał na wyścigi. Były to przecież tylko zwierzęta, którym zwykliśmy i uczuć i rozumu odmawiać.

— O Matko Boska, święty Jantoni!... Co się dzieje! Ratujeie, stryku, ratujecie! Dyć te zacieczone rychtyk w jegumościnę pszenicę poleciały!—wołał zziajany Adamek.

— A nie mogłeś to, gawronie, zaskoczyć i zgnać? Pokrako jakiś, świnię ci pasać, nie bydło! — krzyknął skotak, wyrrywając bicz z rąk

chłopaka i rzucając się w pogoń za rozhukaném bydłem.

Został się więc Adamek sam na pastwisku, gdzie jeszcze się była pasła gromada świń, obojętnych na fakta, tak namiętnie podniecające rogaciznę. Chłopiec podszedł do krowy martwój i rozmyślał:

— Żeby tak schować kawałek mięsa z tój Biedrawy... Kaśka upieklaby w kuchni na wiecezerze!...

Miał Adamek przy sobie lichą koziczyne, więc uzbroiwszy nim rękę, wsunął ją w usta martwego zwierzęcia i z trudem urznął nim krowie język. Specyał ten wielce jest ceniony przez wszelkie mięsożerne, przeto go Adamek ukrył za pazuchą, a potém, jakby nigdy nie, wygwizdując, pobiegł pomiędzy świnię, które począł do kupy spędzać.

Aliści ni stąd ni zowąd z gęstego zboża wynurzył się krasy łeb Bukieta; pies był zmęczony, wywiesił zaśliniony język i strasznie ziajał; w pogoni za szarakiem przybył on znowu w tę okolicę, gdzie go zaleciała miła woń zdechłego bydlęcia. Co do pożądlivego apetytu na mięso, Bukiet nie był gorszym od Adamka i Marcina; więc popatrzył na padlinę, a potém przystąpił śmiało i począł najprzód lizać mięso po wierzchu, następnie szarpać zębami.

Kiedy Marcin napędził już bydło do porządku i dał biczyskiem dobrą naukę za robienie re-

wolucyi przodownikom stada — Smolisze i buchajowi, zabierał się niebawem do pogrzebania trupa. Spojrzy, a tu zwłoki drgają ruchem, bo Bukiet tak się wgryzł w brzuch krowy, że tylko na widok publiczny wystawił tył swego ciała, lekko zaledwie przyozdobiony kawałeczkiem ogona.

— Cie go!... Złodziejskie plemie, jak to zaraz zwąchał! — wrzasnął Marcin, do psa się rzucając z zapalczywością. Rychtyk dla ciebie, jucho, bał nagotowali!

I począł walić Bukieta z całej siły biczyskiem, aż się strzaskało. Przerażony pies wyskoczył z krowy, miał jednak tyle przytomności umysłu, że w zębach uniósł jeszcze flak jakiś, z którym począł teraz zmykać, ile mu sił starczyło. Marcin popatrzył za uchodzącym, pokiwał głową, mówiąc pod nosem:

— No, moi ludzie, nie skaranie boże! Toć ta psiakość wygryzł najpiękniejsze flaki i jeszcze mi wątrobę zabrał!...

Ale jakież było zdziwienie skotaka, kiedy spostrzegł, iż krowie brakuje i języka w gębie.

— To ci parsywiec, delikatek! Jak to taka sobaka wie, co dobre!... Wyżarł mi ozór i wątrobę.

Naciąwszy gałęzi, Marcin wysłał niemi trzy doły, w których rozlokował krowę, podzieloną na trzy części. Mądrze uczynił chłop ten, bo ilekroć się ludzie łupem jakimś mają podzielić, zawsze

stąd wynika zwada, a bezwarunkowo wszyscy są niezadowolnieni.

Teraz nakrył skotak mięso gęsto gałęziami i w celach konserwacyi zlekka przyrzucił darniną.

Wzięto się do zaganiań bydła ku domowi. Na przedzie biegł Adamek ze świniami, które nie szły, lecz pędziły, wpadając co chwila impetycznie w różne zboża to na prawo, to na lewo. Zaledwie atoli jakaś sztuka owój trzody zdołała co ukąsić, już do niej przybiegał świniarczyk, a klnąc jej i wymyślając od ostatnich, bił, gdzie się przytrafiło. Ze świniami tak się zwykle robi. Stąd kwik na drodze był niemały i panowało niezadowolnienie, wyrażane przez wielorakie modulowanie głosu, jakkolwiek niektóre mniej wrażliwe świnie z Eierpliwoscią znosiły i ciosy i obelgi. W takim to szalonym pędzie wbiegała cała trzoda na dworski dziedziniec w Dziobakowie, gdzie się znowu wszystkie sztuki rozpraszały; jedne z nich wpadały niespodziewanie do kuchni, inne—do stodoł, a jeszcze inne — do ogrodu; niektóre poprostu przez ciekawość zaglądały do stajen, do obory i t. d. Adamek zaś z wywieszonym językiem, okrutnie spocony, zaganiał jedną po drugiej do chlewa, a wszystkim im ćwiczył skórę bez miłosierdzia. Właśnie w tej chwili był tak zajęty, iż nie uważał weale, że mu się krowi język zza pazuchy wysunął i na wierzch wyglądał poprzez otwór u koszuli.

— Hej, ty pędraku! — krzyknął pan dziedzic, rozpatrujący na dziedzińcu cały ruch gospodarski pod koniec dnia. Pójdź-no tu!... Co ci to wi- dać z rozporoka?...

A kiedy się pomieszany Adamek przybliżył, Kobialkiewicz ujął we dwa palce widzialny ko- niec krowiego języka i wyciągnął go chłopako- wi z za koszuli.

— Czy ty nie jesteś świnia, większą od tych świń, które pasasz? Pocóżeś wyciągnął zdechłe- mu bydłciu ten ozór? I nie bić tu za to, aż dech z ciała wyjdzie?...

Chłopak zatrząśł się febrycznie i zbladł na twarzy.

— Kundlu jeden! — wrzasnął pan Wincenty. Ruszaj teraz do świń, bo szkody narobią, a potem ja się z tobą rozmówię! Z temi słowy Kobialkie- wicz kopnął chłopaka piętą w tył ciała, tak że malec odrazu padł na czworaki; ale w mgnie- niu oka powstał i rzucił się na będącego najbli- żej wieprzka, któremu począł skórę garbować.

— Druchna sa tu!... Zagraj tu na, tu na!... — krzyknął dziedzic na ulubione pieski, a gdy przy- były, rzucił im na pastwę krowi język.

Adamek spędził do chlewa nierogaciznę, zam- knął ją na kołek, posłuchał chwilkę niesfornych kwików i mruceń niezadowolnienia, poczem szedł pomagać skotakowi przy zakładaniu krowom za drabiny grynfitru do doju. Właśnie przed oborą stała przygotowana fura świeżo skoszonej lucer-

ny. Malec wlażł na furę, wyładował ogromny kosz i już miał go ponieść do krowiarni, kiedy się zbliżył tutaj Kobiałkiewicz, trzymając w ręku opuszczony ku dołowi, na sarniej nóżce oprawny, cięty i twardy batog; tém narzędziem zamierzył się pan dziedzie i po trzykroć wyciął chłopaka, nie zaniehbując moralnej nauki słowem:

— A nie tykaj zdechliny, skoro ci ludzie zakazują!

Adamek wydał rozpaczliwy jęk boleści, prze-giał się w tył, wlażł pod furę, wypadł stamtąd, pobiegł ku kałuży; ale i psy, widząc, że się pan ich gniéwa, poskoczyły téż za nim gniewnie. Adamek przeto zawrócił i wpadł do krowiarni, gdzie na progu spotkał stryka, Marcina.

— Czegóż ty znowu dudy stroisz, mazgaju? — spytał ostro skotak.

— Nie mam płakać, kiedy mi jegumóść plecy batem strasznie nabili!

— Dobrze ci tak, to ta pewnikiem nie było darmo!...

O jakże twardą jest szkoła wychowania chłopca!

Chłopak zgoryczony i ze zbolałym grzbietem wpadł teraz pomiędzy cieleta, gdzie się zagrzebał w kącie grudzy pod barłogiem.

— Słyszysz, stary! — wołał znowu Kobiałkiewicz na Marcina. Pilnuj mi tego chłopaka, bo to niepoń, urwis, bisurman! Przeparzyłem go tu batem, bo—słychane rzeczy—język wyrwał zdechłej krowie i przyleciał szubienicznik z nim do dworu!

— No, widzicie, jaka to psia para! Taki zbe-reżny bachur! Myślałem, że to ten guzy Bukiet, a tu drugie dziecko od psa gorsze!—A potem do-dał:—O dam ja jemu, psia nodze, uśmiercę chy-ba... Ciągłe bestyjnikowi kładź w uszy, a bo to starszej głowy posłucha?

Adamek słyszał rozmowę z dziedzicem i po-gróżki stryka, więc się wkopał głębiej jeszcze w barłóg.

Do cielećcej grudzy przyszła Kaśka, przyniosła cielećtom przeróżnych lakoci—cieplej słonej wody dla najmłodszych, dla innych klusków, a dla in-nych jeszcze serwatki lub młodego sianka. Dzie-wucha rozmawiała z cielećtami tak jakoś miłuśko, że się i Adamkowi przyjemniej w duszy zrobiło; o mało że nie zawołał: „Kaśka! Kaśka!” Ale się wytrzymał i ani pisnął, przyczaił się, nasłuchuj-ąc, co to będzie. Kaśka wyszła, a cielećta za nią pobekiwały tęskliwie. Jedno z nich zalażło do kąta, gdzie się ukrył Adamek, i legło na chło-paku; chwycił je za ogon, ścisnął z całej siły w ręce, a cielećta zaledwie tylko mruknęło, nie ru-szając się z miejsca. Wtenczas Adamek pocią-gnął ogonek do ust i ugryzł cielaka. Zerwało się zwierzę, jak szalone, i poczęło ze strachu ska-kać po cielećtniku.

W krowiarni rozpoczął się dój nareszcie; przy-była tu gospodyni Salomeja i dziewczka Maryna ze szkopkiem na głowie, ze stołeczkiem w jednej ręce, a konewką na mléko w drugiej. W cza-

sie doju Marcin był okrutnie zły i klął ciągle, aż strach było słuchać. Adamek sobie pomyślał: „Dałby on mi, żebym mu tak popadł pod rękę!”

— A gdzież ten wasz Jadamek? — pytała Salomeja.

— Czy to ja wiem? — mruknął gniewnie skotak. — Myśli psia jucha, że mi ujdzie! Pod ziemią znajduje, a skatuję... Dam ja jemu krowiego ozora!

— Straszne rzeczy! — mówiła Salomeja, siadając uroczyście na progu krowiarni. Wychowali też urwipółcia... Toć on tego roku już drugą korszulę na drobne szmaty potargał!... Kto takiemu nastarczy? Wszystko z niego leci.

Maryna dziewczka zaś dogadywała znowu:

— Jak nie ma drzeć na sobie, kiedy się ino po drzewach, jak kot, za ptakami spina.

-- Trzeba skórę tatarować, póki czas — rzekła gospodyni.

— Wiecie wy, co on w polu wyrabia? — zawołała Kaśka, siedząc pod Smolichą, którą doila, wystrzykując z niej mnóstwo mleka. — Siada na świni i tak sobie jeździ, rychtyczek jak na kuniu! Kto ta wie, może i na krowach jeździ!...

— A to dopiéro lajdak! Żeby też niewinne zwierzęta tak umęczać! Co to z takiego będzie — dowodziła gospodyni. Wszystkie zaś te mowy doprowadzały skotaka do wielkiej zapalczywości; szczęście Adamka, że się dobrze ukrył.

Skończył się dój, a gospodyni i dziewczki opu-

ściły oborę; tylko skotak kręcił się jeszcze przez czas jakiś po krowiarni; nareszcie stanął na progu, ziewnął, przeciągnął się i stał, jakby na kogo oczekiwał. Wkrótce potem przyszedł do niego Obartel, karbownik, i pierwszy zaczął:

— Jakże ta, kumie, zakopaliście miso z Biedrawy?

— A czy ja to głupi słuchać ciaracha!... Kaj miałem zakopać; przełożyłem ino chrustem i darniną, żeby się nie zaśmieciło.

— To pódźwa! Któż jeszcze wie?

— Hano, pedziałem fernalom, boby i bez tego juchy zwąchały.

— Idźmy co żywo!... Zwarzy nam wasza juczynę dzisiaj, a moja — jutro; trzaby ino wstąpić do tego parcha Ieka, coby zakredytował gorzałki.

— Kiej się dobrze napić wódki ze sadłem i pieprzem, to co ta zaraza robi, choćby była — mówił skotak przekonywająco.

Wnet też przybyli fernali. Sciemniło się już zupełnie. Kaśka pospuszczała psy z łańcuchów i około Dziobakowskiego dworku zapanowała cisza, jakby makiem zasiał. A cisza była tém zupełniejsza, że wszystkie psy gromadą zabrały się w pole, węch zaś prowadził je prosto na pastwisko, gdzie już Bukiet pilnował placu. Pies ów mądry, jak tylko spostrzegł, że skotak, Adamek i bydło opuścili pastwisko, niebawem odgrzebał jeden z trzech dołów, wlaź wewnątrz i suto płacił sobie za długie czasy głodu.

Trzy olbrzymie psy, więzione podczas dnia na łańcuchach, były również niepospolicie głodne; albowiem pan Wincenty wyznawał teorią, że, aby psy miały należytą energią, złość i czujność, należało je bardzo skromnie odżywiać. A bał się bardzo złodziei oraz podpalaczy dziedzic Dziobakowa, bo chamów trzymał krótko, w moresie, i przeto nieraz mu się odgrażano. Więc też siedmiu aż psów strzegło jego własności, a trzech z nich było tak złych i zarazem głodnych, że każdego złodzieja niezawodnie zjadłyby one żywcem.

Przedewszystkiém cała hurma psów, świeżo przybyłych na pastwisko, uderzyła na Bukieta, który nietylko został z dołu wyparowany, ale nadto poniósł liczne obrażenia na ciele. Że atoli jeden tylko dół był dotychczas odkryty, więc w nim, naturalnie, tylu psów pomieścić się nie mogło; nastąpiła zatem walka, pełna wybuchów wściekłości, zgiełkliwa niezmiernie, a zakończona tryumfem tego, który posiadał największy zapas siły brutalnej. Zwycięzcą został Obal, pies, mający olbrzymi łeb z rybiemi oczyma bez wyrazu i wielkie muskularne cielsko. On to bez żadnego względu na płć, na stosunki koleżeństwa lub pokrewieństwa, odpędził wszystkich od padliny i po stoczonej wojnie zapełnił sobą dół z mięsem, jakby mówiąc: To moja własność, gdyż jestem mocny!

Bukiet pomiędzy psami w Dziobakowie, tak jak skotak pomiędzy ludźmi, reprezentował inte-

ligencyą; odpędzony teraz od dołu, bez żadnych uniesień poszedł spokojnie o kilka kroków na bok; powąchał, zaczął kopać i stał się wynalazcą drugiego dołu z mięsem. Ale któryż geniusz kiedy korzystał ze swoich własnych pomysłów? Zwykle pracuje się na drugich. Więc téż i w owym drugim dole napadnięto na Bukieta, sponiewierano go i wyrzucono, a w posiadanie odkrytych skarbów wszedł drugi z kolei siłacz, pies łańcuchowy Zabój. Doszło do tego, że kiedy Bukiet zabrał się do odkopywania trzeciego dołu, jeszcze był w połowie nawet nie ukończył pracy, a już, jak wściekły, rzucił się nań Śpiewak—trzeci pies łańcuchowy, i ten stoczył z wynalazcą śmiertelny pojedynek.

Atoli właśnie w chwili, kiedy Bukiet napełnił powietrze rozzwierającym krzykiem cierpienia, pojawiła się gromada ludzi, istot w wyższym stopniu rozwiniętych, a więc bardziej, niż psy, uzdolnionych do staczania o byt zaciętych bojów. Marcin skotak, zawsze dyplomata, przywykły do stosunków obcowania ze zwierzętami, uznał za stosowne powiedzieć psom krótką, lecz poważną mowę, karcącą jakoby nocne zwierzęce wybryki. Druchna i Zagraj wysłuchały go z rodzajem czei, a przechyłał się téż ku podobnemu usposobieniu Śpiewak. Kiedy wszakże ludzie przystąpili do Obala, ten okazał się być potworem: ślepie roziskrzyły mu się płomieniem, na chwilę oderwał zęby od łupu i wyszczerzył je straszliwie, przy-

tém podniósł się w górę na przednich łapach, najeżył kudły na karczysku oraz grzbiecie, tak, że skotak porzucił moralną naukę i cofnął się od dołu. Ale jakżeby człowiek, i to nie głupi, mógł dać psu za wygrane. Pochwycił przeto skotak wielką gałąź, leżącą blisko dołu, rzucił ją i nakrył w dole Obala. Ten fortel bardzo psa zaniepokoił, warknął on wściekle, porwał w straszliwe zębee ogromny gnata krowi, dumnie wyskoczył z nim z dołu i, pomrukując zuchwale, zniknął w émach nocnych. Był to dół, gdzie skotak złożył dla siebie najlepsze kąski.

Kubek w kubek tak samo postąpił sobie Zabój. Pierwsze dwa doły zdobyły psy, ostatni dopiero dostał się ludziom, a był to właśnie dół, w którym Marcin złożył najgorsze gnaty, przeznaczając je na cele dobroczynne.

Karbowy Obartel głosował za podzieleniem tych resztek na cztery równe części; fornale założyli jednak opozycyą, ponieważ téj nocy paśli konie na łące i nie mogli przeto iść do domu na ucztę. Jeden z nich, Matus, dowodził, że:

— Najlepiej oto rozpalić w polu ogień i upiec całą kabaninę!

Marcin zaś zaordynował, ażeby najmłodszy z nich, Józek fornale „skoczył na błonie po kobyłę, śmignął co żywo na wieś do Icka i przywiózł gorzałki”.

— Upieczewa i zjewa; czy to taka wielka obrada! — zakonkludował skotak.

Podczas więc, gdy na dwóch punktach pracowały oddzielnie nad utrzymaniem bytu dwa psy: Obal i Zabój,—uspołecznione istoty, dumne z wynalazku ognia i spirytusu, odbywały podobną pracę przy jedném wspólném ognisku. Tęj nocy całą Biedrawę ziedli psi i ludzie. Niedojedzone ochłapy i kości zostały rozwleczone po polach przez inne psy, dla człowieka bardziej powolne i łagodniejsze, niż owe dwa brytany. Pies bez ogona, inteligentny, zdolny, zasłużył się przez odkrycia tęj nocy dla własnego gatunku. Czemuż on nie miał sympatyj ani u psów, ani u ludzi? Prawdopodobnie nie lubiono go dlatego tylko, że nie miał ogona, jaki mają psy inne.

W nocy wyszedł Adamek ze swego ukrycia w cieletniku; wiedział on z tego, co słyszał, że przy domu niema ani skotaka, ani karbownika, ani fornala, wnet się zaś przekonał, że niema ani psa żadnego.

Być raz w życiu panem położenia — jest to ogromne zadowolenie; człowiek robi wtedy, co mu się tylko podoba, to jest — działa, jak mu każą uczucia i przekonania. Powtarzamy — jest to ogromne zadowolenie, jakkolwiekby nas przedtém przygotowano do wyznawania zasady, iż tylko przez prawa szczęście osiągnąć można.

Adamek miał dużo żalu w duszy: do dziedzica, do Salomei, do stryka Marcina, do karbownika,

Maryny, a nawet do tak niewinnéj istoty, jak Kaśka. Każdy niewolnik mści się na swoich współtowarzyszach, gdy usiłuje przeciw nim obudzić gniew pana. Jest to sposób zemsty prosty, wypróbowany w szkole życia; każdemu on na myśl przychodzi i zawodu zwykle nie sprawia. Adamek wygonił najprzód z grudzy cieleta i wypędził je het w pole; czynność ta sprawiała mu przyjemność, a swoją drogą robił na złość skotakowi. Małe pokolenie krowie rozbiegło się na wszystkie strony, załaząc w groch, kukurydzę, kapustę.

Następnie malec dostał się do szopy, którą zarządzał karbownik, i tu się różnych psót dopuścił: z wozów powymował lony, pozdejmował drabinki, półkoszki itd., a wszystko to powyrzucił za parkan, w rosnące obok szopy bujne jarzyny.

W stajni były tylko dwa wierzchowce, bo reszta koni pasła się nocą na błoniu; więc Adamek spuścił z kantary kasztanka i wypędził go ze stajni na pole. Kasztan z rozkoszą wytarzał się na dziedzińcu, potem bryknał, parsknął, zadarł ogona, zarżał i popędził w łąki. Prócz tego, chłopak, na złość robiąc fernalom, pochował w barłogu siodła oraz chomąta. Wykonawszy te dzieła, udał się do kurnika, skąd wypędził kury jako też drób wszelki. Zakradł on się i do kuchni, gdzie dziewczki i Salomeja spały jak zarżnięte; tutaj powynosił garnki, ożogi, łopaty, pomiotła,

pogrzebacze i pocioski; z niezamkniętej skrzynki Kańczynęj powydobywał szmaty i rozrzucił je po kuchni. Wszedł też do przybocznej komórki w sieni, spędził z jaj kwokę, zabrał jaja, wyniósł do ogrodu i porozbijał je o drzewa. Słowem — narobił on psót tyle, ile tylko malec taki narobić ich może w ciągu krótkiej nocy letniej. Nareszcie utrudzony pracą, poszedł do krowiarni, wlażł między krowy, legł pod żłobem i zasnął snem sprawiedliwego.

Jak tylko biesiadnicy skończyli swą ucztę, przespali się nieco w polu; poczem, skoro świt—wszyscy wracali do domu, nie wyłączając psów łańcuchowych i niełańcuchowych. Fornale przyjechali na koniach z paszy i natychmiast pierwsi spostrzegli nieobecność kasztanka, co ich przeraziło, bo—według przykazania pana dziedzica—jeden tylko powinien był paść konie na łące, drugi—nocować w stajni.

Przerażenie ogarnęło teraz umysły dziobakowskich dworaków. Tylko skotak, jedynie silna głowa na folwarku, nie stracił przytomności umysłu. Lubił on zawsze dociekać przyczynowości zjawisk i zwykł był z powodzeniem wykonywać ów proces rozumowy. Ujrzawszy teraz właśnie niewątpliwe dowody bytności złodzieja w oborze oraz stajni, pokręcił najprzód głową, potem zaczął dokoła obchodzić krowiarnią, poszukując śladów na rosie. Chodził długo, upatrywał tu i owdzie,

a ostatecznie przekonał się, że cieleta poszły w takim—nie w innym kierunku. Gdzie na ziemi nie było trawy, tam był pył lub błoto, a Marcin umiał i tu rozeznąć odciski cielecych kopytek. Atoli chodziło téż skotakowi o to, aby odnaleźć ślad ludzkiej stopy, bo ktoś musiał cieleta z grudy wypędzić; zresztą już dla samej teoretycznej ciekawości musiał on ślad taki koniecznie odnaleźć. Więc skotak nachylał się ku ziemi, obserwował, badał; ale to, co znajdował, jakoś go nie zadawałniało; spodziewał on się bowiem wykryć ślad nogi dużego chłopca w butach lub bez butów, a tymczasem trafiał ciągle na odbitą stopę dzieciaka.

Posłyszawszy, że i kasztanek ze stajni zniknął, Marcin zajął się tropieniem śladów, ze stajni wychodzących.

— Na kuniu mógł złodziej pojechać—pomyślał w duchu. Ale kantara kasztanka pozostała przy żłobie i, gdy wszyscy potracili głowy, on jeden fakta spostrzegał i nad faktami rozumował. Ślady konia znać było bardzo wyraźnie, był téż odcisk gdzie się kasztan wytarzał.

— Jeszcze ziemia w tém miejscu ciepła—mówił skotak. — Kasztan rwał galopem ku łąkom, a cioloszki poszły w zboże... Tak mi się coś widzi, jakby to nie był złodziej...

— Oj Marcinie, Marcinie!... Także z was mędrala! A cóżby było?—powiedział Matus fornal.

— No, no! — odrzekł skotak, — Mówcie wy

swoje a ja swoje. I to mówiąc, poszedł do krowiarni, wołając bardzo spokojnym głosem, jakby nigdy nie: Jadamek! Kajżeś ty Jadamek?

Na to podstępne wołanie zaspany chłopak wyłazł z pod żłobu; zapomniał on prawie o swych nocnych sprawkach. Stryk wziął go zaraz za rękę i począł oprowadzać po cielejących tropach, mówiąc:

— Widzisz ty, nieenoto raku, że cieleta wyszły z grudzy?...

Adamek nie a nie nie odpowiadał, tylko się bardzo zmieszał, a krew mu żywo uderzyła do głowy i serce prawie kłapało ze strachu.

— A widzisz ty, smyku, czyja to racica na rosie, na błocie? Nie twoje to stąpory, czy co?

I pokazał chłopakowi odcisniętą stopę, a następnie kazał mu nogę przymierzyć do odcisku; ślad i noga Adamka zgadzały się najzupełniej. Malec wobec tego skamieniał.

Marcin zaprowadził teraz bratanka swego do krowiarni, tutaj zdjął pas ze siebie, przewrócił malca na ziemię, przycisnął mu plecy kolanami i począł go strasznie okładać, tak że się zdawało, iż na śmierć bije. Adamek wrzeszczał w niebogłosy; ale w Dziobakowie nikt się takim krzykom nie dziwił, bo basarunek tego rodzaju codziennie się powtarzał. Krzątający się przeto około szopy i stajni fornale, karbownik oraz dziedzie mogli nawet pomyśleć, iż skotak sypie plagi swemu bratankowi poprostu, żeby mu dać

jakaś pamiątkę. Nikt nie wiedział jeszcze, za co Adamek odbiera karę. Marcin zaś, wytłukłszy malca uczciwie, wrzucił go do cieletnika, gdzie chłopak ryczał, jęczał, szlochał, sapał i wił się z bólu; wreszcie się uspokoił. Wówczas Marcin począł go wypędząć do dziedzica z wiadomością, że cieląt w grudzy brakuje; chłopak atoli wzbraśniał się, wiedząc, iż takie poselstwo nie jest niczem inném, jeno wyprawą po odebranie nowój chłosty.

Gdy się to działo w krowiarni, Kobiałkiewicz tymczasem chodził z karbownikiem po szopie, rozglądając się w szkodach, które rzekomy złodziej w nocy wyrządził.

— Obejrzyj-no, Obartel, uważnie, czego, jeszcze brakuje!—mówił dziedzic.

— Proszę wielemożnego jegumoscia, to tak, jakby kto bez umysł zrobił — powiedział karbownik.

— Co to znaczy?—pytał pan Wincenty ostrym i cierpkim głosem.

— Hano, kaj brakuje lona, kaj orczyka, drabinki pozabierało, półkoszki... a u tamtego hajnok woza to ci psia kość spernal ino wyciągnął!

— Gadasz, cymbale, jak na mękach! Cóż to złodziejowi się lon nie przyda, albo półkoszek?

— Jużcić przydać się przyda, wielmożny panie, ale ja i tak dokumentuję, że tę psotę bez umysł zrobiło. Po coby mu oto zepsuć ciagarę

od pluga? Albo znowu połamało oparstek, śmigle w bronie!... Krewbym wytoczył z takiego, co nie kuli użytkowi kradnie, ino byle biędę drugiemu uczynić.

— A niech was siarczyste pioruny spalą wszystkich!—wrzasnął pan Wincenty.

Wtém przybiegła do szopy Kaśka, była jakaś zentuzyazmowana i rzekła:

— Salomeja prosi, żeby jegumość kuniecznie tam przybyli!...

— Cóż się znowu stało?

— Coby się miało stać! Napsociło coś w noey po kuchni, potłukło garnki, zabrało jaja zpod kwoki i różne naczynia powynosiło.

— Ha, koczkodany jakieś, pomyjaki! Tyle was bab sypia przy kuchni i żadna ani dudu nie nie słyszała?

— Jak było słyszeć, kiedy psia para widno się po cichu sprawiał.

— Ja was wszystkich do kryminału oddam! — trząsał się pan dziedzic. Tyle szkody! Tyle szkody!.

— A bodajes z piekła nie wyźrał, zatracony! Takie urwanie głowy zrobił!—mruczał Obartel.

— Gospodaruj-że tu z takiem bydłem!—rzecze Kobialkiewicz. Okraść, oszukać, zabić cię nawet gotowi!

— Proszę jegumości, ta i mnie do półskrzynka otwarło, wszyćko obleczenie mi zacieczona po kuchni rozrzucił!—powiedziała Kaśka.

— Co ta tobie, głupia, za krzywda! — mówił Obartel. Zabrał ci ciasnochę, wielkie rzeczy!

— A juści, tak wam mówić! A jak ciasnochy niema, to téż biéda kobiécie — odrzekła Kaśka.

— Cicho! Będziecie mi tu jeszcze głowę zawracać? — krzyknął Kobialkiewicz i wyszedł ze szopy.

Kiedy podążał w kierunku teatru nowych szkód, sprawionych przez nocnego—jak mniemał, złodzieja, postąpił, że w krowiarni Marcin domaga się od Adamka, aby poszedł dziedzicowi opowiedzieć, jako wszystkie cieleta coś w nocy z grudzy wypędziło i niewiadomo, gdzie czego szukać. Chłopak nie chciał wykonać polecenia stryka; wlażł pomiędzy krowy i wyjść nie chciał, a ująć go téż było trudno, bo malec zręcznie przebiegał popod żłobem i brzuchami krowimi.

— Nie wyleziesz mi ty stamtąd, zła duszo! — wołał Marcin, składając we dwoje gruby postronek—nie igraj ze mną, bo kiej mi się w garść dostaniesz, to cię na miazgę stłukę.

— Oj, nie wyńdę, nie wyńdę, najmilejszy stryku!—wrzeszczał przestraszony Adamek.

— A nabroiłeś, psia nogo, bez całą noc i teraz jeszcze nie chcesz iść do dziedzica! Ruszaj mi zaraz!

— To idźcie sami! — wołał chłopak, śledząc bystro z pod żłobu ruchy swego stryja, który czatował tylko, aby złowić opornego malca.

— Żarliście całą noc krowie miso z fernalami i karbownikiem, piliście wódkę z tłustością, a teraz wszystko na mnie zganiacie!... Sami idźcie do dziedzica!—mówił chytry chłopiec.

— Stulisz ty gębę, raku jeden, będziesz się jeszcze śmiał na mnie wyzwierać... Czekaż-że, sobako!

I z temi słowy rzucił się Marcin za Adamkiem między krowy; ale Adamek myk pod Smoliczę, zpod Smolichy — pod buchaja, pod żłób, pod Wiśniochę i tak przeskakiwał coprędzej. Jednak skotak się zawziął i ścigał, używał podstępów takich, że nareszcie złowił chłopaka. Już się zamierzył, miał Adamka ściągnąć powrozem, kiedy w krowiarni zabrzmiał groźny głos dziedzica, który przedtém wysłuchał całej rozmowy i dowiedział się o nocnym uctowaniu swojej służby.

— Za co go chcesz bić?—krzyknął piorunująco Kobiałkiewicz.

— A no, bachur jakiś oto przekomarza się ze mną i wydziwia mi; chciałem go przeciągnąć, żeby popamiętał!...

— Ty lajdaku, dam ja tobie! Cieląt brakuje i wysyłasz dziecko do mnie, bo się sam boisz! Czemu łzesz paskudnie?

— Łgać nie łzę przecie... Sam mówię, że brakuje; ale tego bachura przygarnąłem do siebie jak sierotę, a on mi ino ciągle doskwira. Bez co pan za nim obstaje? Czy to ja nie wiem

wszystkiego? Czy to ludziom nie wiadomo, jaki on niecnota?...

— On niecnota, ale tyś łajdak skończony! Przez ciebie skradli mi cieleća, odpowiesz ty za to!

— Skradli nie skradli... Co ta kraśc mieli! Tak się byle co gada, a cieleća w polu na rosie.

— Co? Gdzie są cieleća?

— Po cóż będę gadał na próżno? Czy to nie wiem, com pedział?...

— Któż je z grudzy wypędził? — pytał dziędzie.

— A no, któżby? Chyba jegumość nie sły-szał, żem temu rakowi skórę zerznął — mówił skotak, krzątając się po krowiarni i oglądając każdą krowę po kolei. Potém zaś krzyknął:

— Ruszaj-że, leniu, po cieleća! Słyszysz, leć co żywo!

Chłopak kopnął się z miejsca, rad, że schodzi z oczu dziedzicowi, który trzymał w ręku swój cięty batóg.

— Tu się wszystko odnalezie — mówił skotak flegmatycznie—ino bez takiój gorączki, co to du-żo krzyku, a nie sprawy...

Kobiałkiewicz miał wiarę w mądrą głowę Mar-cina, czekał zatém, aż się stary powoli wygada. Jakoż skotak prowadził rozmowę tak mądrze, iż nic nie powiedział o swojej nocnej uczcie, ale wypowiedział wszystko, co napsocił Adamek.

— Jegumość za nim trzyma, a ja wiem, czém

on pachnie, jakie to ziółko! Nabroił po nocy licha, nie miałem go zerznąć! Toć i skapę on wygnał i inne téż sztuki poplątał!

Dziedzie odgrażał się okrutnie, kłął, wymyślał, tupał nogami.

Jakoż wnet potém Adamek przypędził cielećta, sprowadzono z łąk kasztana, poznajdowano lony, drabinki, gnojnice i inne rzeczy. Nic nie zginęło.

Wtedy Kobialkiewicz wziął malca za ucho, poprowadził do swój izby; tu oćwiczył go batogiem, co się tylko zmieściło i wypędził ze służby. Stryk ani mruknął, wcale się nie ujął za dzieckiem.

— Wynoś się gdzie na bez-wieś, bo cię tutok nikt już do służby nie weźmie! — powiedział surowy opiekun do łkającego dzieciaka.

Malec więc z bekiem, ciężko obity, w jednéj koszuli poszedł na „*bez-wieś*.”

Szedł i popłakiwał. Minał dwie wsi, a w trzeciéj dopióro wziął go chłop jakiś do bydła.

Lat temu trzydzieści, Adamek w twardéj szkole wychował się na porządnego parobka; żyje jeszcze, a ktoby go chciał widziéć, niech odbędzie podróż do Dziobakowa, gdzie u innego już dziedzica znajdzie skotaka Adama Rokitę, wykapanego nieboszczyka Marcina.

ŻÉRTY CHŁOP.

ŻÉRTY CHŁOP.

— Nie zlijże się Maryna, bacz na święty spokój, udobruchaj się i dej mi oto schlipać tę łyżczynę żuru. — Tak mówił Maciek Opozda fornal, który podczas przypołudnia przybył spracowany do czworaków, a zastał żonę w złym humorze.

— Będę ci się dobruchała, mam na ciebie być pamiętna, kiej człek doma nijak podołać nie może! — odrzekła Maryna, uwijając się około nalepy.

— Nie robię ja to swojego, czy co? Czegóż, kobięto, chcesz ty odemnie?...

— Robić... robisz, toć widzę, co nie próżnujesz, ino robisz; tyła syćko, co zarobisz, to i przeżresz.

— Oj głupia, głupia!... I cóżem ją temu krzyw że Imię Pan Jezus uczynił takim krzepakim do jedzenia, że mi syćko idzie na zdrowie!

— Niechby ci ta było na zdrowie, co pożywasz, bele te nasze dzieckowiny nie marły głodu przy tobie... Takie od biędzy posnać mogą.

— Baj baja, baj!... Mój pon ociec, świeć Panie

jego dusy, mieli nas w chałupie dziewięciorgo, a żadne nie zmarniało, to i onym moim zła nie będzie.

— Dyć słychałam, co was dziesięć było, nie dziewięć! — zawołała Maryna ze złością i postawiła przed mężem dwa garnki, jeden z żurem, drugi z kartoflami. — Kiejbym ja też miała tyle dzieciek, tobym się ta nie markociła, żeby ino było czém gęby pozatykać.

— A nie wiesz to, co jak Pan Bóg kogo stworzy, to go głodem nie umorzy! — powiedział spokojnie Opozda, którego otoczyła para, wychodząca z gorących potraw.

— Ludzie tak pedają kuli pocieszeniu, a nie-jeden i tak z głodu zmiera! Ja oto nieboga rady dać nie mogę w chałupie; z Józka zleciała koszulina, chłopaczysko ciałem świeci, a Jagna to już ze dwa tygodnie siedzi na nalepie bez to, co się sroma chodzić bez kiecki; abo i ten Onufer, pędzi krowę na pasternik, mający na sobie ino jedną nogawicę; no a owa namniejsza sikorka w kołysce, to ci nawet pierzynki nie doświarczyło.

— Ej, byłabyś cicho, kobiéto! Toć jensi ludzie bez nijakiej markoty po ziebrach chodzą.

— Jakbym poszła po proszalnym chlebie, to-bym już wiedziała, co mię czeka, ino kiejem poszła za chłopą za dworzskiego, to nie po to, żeby użyć desperacyi.

— Gadajże szérze, Maryna, czego tobie nie-dostaje?

— Czego? Czego?... Ty nie miarkujes... czego? Zapaska choćby, pożałuj Boże, na mnie, nikiěj na proszalněj babce; obuwia nijakiego od niepa-miętnych czasów noga moja nie widziała, a na-dolek oto wytargał się u koszuliska i nie mam go sobie za co wstawić.

— Prawda, co bięda je u nas w chałupie, ino Pon Jezus pono zsyła takowe utrapienie, coby doświarecyć cęka...—Tu Opozda westchnął i jadał dalěj obiad.

— Dałam ci, nie wymawiając, niejeden grosik dziadom i těj babce z Krzyżowěj karczmy, coby zmówili do Przemienienia Pańskiego; no sama tęż co wieczór molestuję Naświętszą Pa-nienkę o litosierdzie nad chałupą Opożdżiny. Drugi człowiek to się Panu Bogu nie uprzykrza, a wie dzie mu się na szczęście.

— Musi patronka twoja cię nie wysłuchuje skoro opacznie sytko idzie...

— Słsysz, Maciek, nie śmiěj wydziwiać na świętości! Jacy któreś z nas dwojga ma grzeszną dusę, lubo ty, lubo ja chudziaczka.

— Ja ta praw przed kuźdym świętym! — powiedział Maciek.—Dyć ciągiem ino u roboty mię widzą, odrabiam swoje, jako przykazano.

— Widzi mi się nico dobrego nie pedasz i gadanie twoje siła nie warte. Nie wiész to, iże janiół stróż, jakowego ma kuźden człowiek, nie będzie ci na ręce patrzył, ino w duszę zagląda.

— No, a cóżby on tam we mnie dozrał? Cy

ja to duszę przed nim chowam? Czym komu co ukrad, abo możem kogo zabił? Jak się patrzy, po sprawiedliwości żyję.

— Nakłębym ci za taką mowę, Maciek! Bez urazy ci powiem, co ty nijakiej sprawiedliwości nie masz w sobie.

-- Czemuż nie rzekasz, com krzyw? Bez cóż mię winujesz?

— Tać ty codzien te nase maluśkie odjadasz, jak nie ociee! Nijak ci nastarczyć nie mogę warzy! Są na przypołudnie trzy warzniczki, ty trzy zjadasz; jakby było śtyry, tobyś tako podołał równiuśko... I cóż ja nieszczęśliwa baba poczne, mający takiego źértego chłopca?

Opozda położył teraz łyżkę na bok i spojrział na żonę, nie spodziewał on się bowiem, ażeby baba robiła mu wyrzuty z powodu apetytu.

— Maryna! — zawołał. — Tak mi Panie Boże dopomóż, szczerze ci pedam, codzien z chałupy wychodzę niedojadszy, a kiejbym w polu nie poprawił rzepa, karpielami lebo w stajni pod posłaniem nie miał ulegałek z tój gruszki, co na miedzy wele gaja rośnie, tobym się zdać nie mógł do nijakiej roboty.

— Dzis, dzis go! Dyc`ja ci nie przyganiem, co potrzebujesz kupę jadła bez nijakiego upamiętania, ino te małe mizeroty przy tobie na nic skapieją, nie mający co pożywać.

— Józek! — krzyknął Opozda, spojrzawszy na sześciolatniego chłopaka, który w koszuli siedział

na ziemi.—Weźmi łyżkę i żwawo pożywaj ze mną z warzniczka zur a ziemniaki, coby matusia nie biédowali, jako cię ociec odjada!

Józek porwał się z ziemi, pochwycił łyżkę i, nieśmiało podszedłszy, począł zajadać, ale wnet potem położył łyżkę, a zbliżywszy się do matki, szepnął zcicha:

— Cie wy, matusiu, tak mi nijako z panem ojcem jadać, cobyście wy urządzili, bym jadał sam, lebo z wami, Jagną i Onufrem...

— No i cemu nie jesz, zatracony pędraku? — zawołał ojciec.

— Będiesz ty na dziecko štunderował, stary!— mówiła Opoździna.— On a to rzeka, co mu przy tobie ziemniak bez gardło przeleźć nie może... Pokrzykujesz w chałupie nikiéj w stajni abo na polu.

— Jak nie może przelykać, to mi nie gadaj, co ich odjadam i co bezemnie chudują, bom dyć nie taki...

Opozda wyjadł wszystko z obu warzniczków, dno wyskrobał starannie łyżką, włożył na głowę czapkę i poszedł do stajni dworskiéj, gdzie już inni fornale zaprzęgali konie do pługów. Był syty i rozdrażniony, szedł powoli, a po drodze dręczyła go czkawka.

— I cóż ty Maciek tak sobie dzisiaj folgujesz! — krzyknął dozorujący polowy. Do roboty czas wielki jak wół!... Spiesz się duchem!

— A cóżem to postradał ślepie czy co, żebym

nie widział, kaj słońce je na niebie? — odparł Opozda.—Ino kiej mi się cka, tom nie krzyw, co mię ktoniebaǳ sponina.

— Maja cię tam spominać, maja!... Kuźdemu człeku się cka, kiej podje jałowego żuru i ziemniaków bez omasty—wtrącił inny fernal, Franek.

Nareszcie wszyscy fornale pozaprzęgali konie do pługów i, kiwając się na koniach, z biczami w rękach, rzędem jechali drogą jeden za drugim tuż około plebanii.

Zpoza parkanu dawały się widzieć piękne, granatowe, dobrze już dojrzewające śliwki.

— Kuba! — odezwał się Opozda do jadącego przed sobą fornala.—Nie wadziłoby nam wziąć ze sobą w zanadrze coniebaǳ tych plebańskich śliwek.

— To się wié!—odrzekł Kuba. — Tyla batem na drogę strącać nie należy, bo naleci kupa gałęzi i liścia, a potém w niedzielę jegomość wypomni na kazaniu, co mu dworsey fornale psoty w sadzie narobili.

— No, słyszysz, to pofolgujwa koniom, ostańwa się na tyle, a tamci niech jada!... Rychtyk tam a to w rogu widzę naźralsze śliwy—powiedział Opozda i obaj fornale powstrzymali konie, rwące się do biegu za innymi.

— Stań-że tera śkapie na krzyżu i śliw na drzój!—mówił Opozda.

— Prrru! Prrru siwe!...—mruknął Kuba, a siwe stanęły; pocém fernal podprowadził konie z pługiem pod sam parkan, stanął na obtłuczoz-

nym grzbiecie szkapy i począł rwać śliwki, podczas gdy Maciek Opozda utrzymywał pikietę.

— Maciek, rwi że ty tera, bo ja już nikaj tkać nie mogę—powiedział Kuba, złażąc z grzbiotu szkapy. Krzywdy się ta nikomu nie robi, bo Pan Jezus latoś zwałił na drzewinę owocu, jak oblał... Rwi, a ja będę stróżował, coby cię kto nie spatrzył.

Z kolei rzeczy Opozda znowu wlażł na grzbiet konia, który stał pod parkanem spokojnie i, oganiając się od much ogonem, szczypał trawę z drugim swoim, równie cierpliwym towarzyszem. Panowała zupełna cisza koło plebańskiego sadu, czasem tylko koń uderzył kopytem o ziemię, lub dał się słyszeć stuk śliwki, spadającój na ścieżkę. Naraz zza parkanu postyszano donośny głos:

— A ty złodzieju jakiś!... I jednocześnie ktoś rzucił ogromny sękaty kostur, który ugodził Opozdę w brzuch, a potém spadł na grzbiety koni. Przestraszyły się spokojne siwe i nagle z kopyta ruszyły z pługiem w pole, a Maciek Opozda stracił równowagę, spadł pod parkan.

Kuba, jakby o niczém nie wiedział, dał koniowi łydkę i pojechał.

Tymczasem od strony sadu ktoś się wgramolił na wysoki parkan i Maciek z przerażeniem ujrzał wśród zielonych liści oraz granatowych śliwek szeroki słonkowy kapelusz oraz wygoloną, rumianą twarz księdza proboszcza. Fornal porwał się z ziemi, śliwki sypały mu się z zana-

drza na wszystkie strony, a on, przytrzymując je rękami, popędził za uchodzącymi w pole końmi. Za nim zaś szło wołanie:

— Opozda, Opozda! Marcho jeden!... Nauceż ja ciebie rwać plebańskie śliwki!...

Maciek rwał w pole i ani myślał się obejrzyć.

Atoli skutki owego przyłapania na gorącym uczynku nie zaraz dały się uczuć Opozdzie. Ksiądz proboszcz nie zaniósł skargi do gminy, ani się nawet nie pożalił przed dzieżdicem.

W niedzielę poszedł Maciek do kościoła na nabożeństwo; swoją drogą poszła téż i jego baba, zabrawszy ze sobą Józka w troskliwie wypranej i wyłataniej koszuli. Chłopak dawno się dopraszał bywania w kościele, przeto matka starannie go wymyła, głowę wyszorowała mu grochowym wiechciem, aż mu łzy w oczach stanęły; potem wytarła włosy kawałkiem słoniny i w piękny jesienny dzień poprowadziła ze sobą na sumę. Jagna, jedenastoletnia dziewczynka, warzyła tymczasem w domu obiad i dozorowała pozostałe rođenje.

Ksiądz proboszcz miał kazanie o złodziejstwie, a specjalnie o wykradaniu i niszczeniu owoców cudzej pracy w polach i ogrodach; wprawdzie nie wymienił nieczyjego nazwiska, gdy mówił, że w parafii są na nieszczęście tacy złodzieje, a przecież ludzie tręcali się między sobą łokciami; ten i ów, zerknąwszy okiem, ukazywał na Maćka Opozde.

To téż kiedy Opozdżina powracała do chałupy, Józek jój się zapytał, co jegomość mówili w kościele o tatusiu. Matka nie znalazła na to żadnej odpowiedzi; ale przybywszy do domu, miała łzy w oczach. Niedługo powrócił téż i Maciek, a żona niebawem w te słowa go przywitała:

— Oj narobiłżeś mi sromoty, narobił!... Tera na ludzi ciężko będzie oczy podnieść. Dyć jegomość w kościele mówił o złodziejstwie, a cały naród na ciebie ino poglądał i kiejem z kościoła wyszła, tom się o kęs pod ziemię nie schowała, takowy styd mięę palił!... Tożes ty pono śliwy plebańskie obdzierał?...

— Ja ta nie sam one śliwy darłem! Kuba téż nadarł, co mu się za pazuchę zmieściło, a nijakiej zgłoby nie ma z tego bez to, co go jegomość nie chycił.

— Kuba śliw nadarł, pedasz; ale na niego nikto w świętém miejscu nie spożrał, ino tobie, człeku, kóždy przyganiał... Nieszczęśliwa ja baba w mojem utrapieniu!...

— Czemuż się trapisz? Nie wiesz to ty, że ludzie mają od tego gęby, żeby przyganiałi?

— A ty Maciek myślisz, zem nieżywa, że już we mnie niema nijakiej żałości?.. Toć i ten mały rak, Józek, a i on także cuje; kiej widział, com płakała i co o tobie była mowa w kościele, to ci się bez mała nie skręcił.

— A dyć jabym go pasem przeloil, żeby mi jeszcze taka sobaka miała doskwierać?

Upłynęło parę dni, a Maćkowi nikt tak dalece nie robił wyrzutów za obdarcie plebańskich śliwek i już się zdawało, że ludzie zapomnieli o występku Opozdy. Ale kiedy razu jednego przyszedł w południe do domu na obiad, zastał Marynę splakaną i bardzo złą.

— Czegóż się mażesz?... Co ci znowu padło na wątrobę?—zapytał Maciek.

— Oj mam ja przy tobie krzyż Pański do dźwigania!—zawołała Maryna. Za one śliwki tobym cię a to stłukła na kwaśne jablko! Dyć już ścierpieć nie mogę ludzkiego pośmiewiska!..

— Cóż ci kto takiego zrobił?

Teraz dopięro Opożdżina, nadzwyczajnie rozżalona, poczęła opowiadać, jako jój „prosiątko łażiło sobie po czworakach zawraz z cudzemi świnkami; no i zalazło do izby Franka Królezyka, kaj doma nie było żywěj duszy, ino stał na ziemi cebrzyczek z ostruganymi ziemniakami. Cóż takie prosię krzywo? Zwyczajnie—boże stworzenie, zabrało się do cebrzyka i wyjadło ziemniaki. A tu Królezycka wpadła do chałupy; jak ci nie porwie żarnówki, jak nie pocznie tłuc prosiąteczka, to niebożątko tak kwiczało, nikiój dziecko ludzkie...

— No, a cóżes ty jój na to?—mruknął Maciek, którego opowiadanie żony wzburzyło.

— Toć wyleciałam z izby w złości okrutnej

i naklenam jęj setnie... A ona rozpuściła jęzór i zwołała mię jeszcze setnięj; ale mi niczém tak nie dogryzła, jak tém, co mię przewała *Śliwińską*, niby bez hańte plebańskie śliwy...

Opozda zwiesił głowę i ponuro w ziemię spoglądał, nie mówiąc ani słowa; Maryna zaś dogadywała jeszcze:

— Uważaj sobie Maciek, żebyś tęg przekłętnicy nie podarował mojęj sromoty; tać się ujmij za swoję i za oném prosiątkiem; dokumentnie jęj co powieźdz! Od czegożeś ty chłop?...

— Będę się ta z nią w rozmowy wdawał... Kiej mi pod garzść wpadnie, to złoję — odmruknął Opozda.

Jednakże wprzód przyszło do starcia z Frankiem Królezykiem, z którym powadził się o coś Maciek przy zaprzęganiu koni do pługów. Franek publicznie zwołał Opozde przy ludziach, zamierzył się na niego orezykiem i wywoływał:

— Jaki mi to wielki pan!.. *Śliwiński*... Cie go!

To już doprowadziło Maćka do wściekłości, porwał za drąg i byłby się pobił z Królezykiem, gdyby polowy nie stanął w środku pomiędzy zacietrzewionymi fernalami. Odtąd jednakże wszyscy we dworze i we wsi przezywali Opozde *Śliwińskim*, co chłopu nadzwyczajnie drażniło.

Znowu w jakiś czas po tych wypadkach, już coś dobrze pod jesień, polowy poleciał Maćkowi pokładać kawalek ugoru. W bliskości od owego miejsca znajdował się zagon rzepy, należącęj do

pacheiarza. Maciek był sam jeden w polu i tak zbobrował rzepeę, iż pacheiarz przybiegł nazajutrz do dworu ze skargą i z ogromnym lamentem.

— Trzeba będzie z tym Opozda raz zrobić koniec! — rzekł dziedzic do ekonomia. Co rusz, to skargi na niego mię dochodzą.

— Proszę pana dziedzica, najłatwiej go oddalić; ale szkoda chłopą, tęgi do roboty, niezém para koni—odrzekł ekonom.

— Tak mówisz?... Cóż kiedy szkody ludziom robi, kradnie...

— Panie dziedzicu, to się nie nazywa kradzieżą; Opozda jest tylko chłop żérty... Nie doje w domu, cóż ma zrobić? Do roboty przecież sił potrzeba takiemu parobkowi.

Dziedzic się zamyslił, poczem rzekł znowu:

— Kiedy tak mówisz, to ja żydowi tę rzepeę wynagrodzę.

— Jabym nawet radził panu dziedzicowi wziąć Maćka Opozde do dworu; potrzebujemy właśnie stróża, chłopą mocnego, co robotę za łeb weźmie. On do tego będzie jedyny. W takiej kuchni, to jak w piekle — ciągle potrzeba drzewa i wody, wody i drzewa... Rąbać drzewo i nosić wodę—robotą cięższa niż orka, a stróż musi jeszcze nocą nie dosypiać, pilnować stodół, obory, dworu...

— Ej, czy się ty nie mylisz?.. Może ten Opozda jest złodziejem! Takiego wziąć na stróża, dopiérobysmy sobie narobili!

— Ja panu dziedzicowi za niego ręczę! — zawołał ekonom. Że tam śliwek w sadzie czasem skubnie, to nie nie znaczy; ale za to dopilnuje. Poprzedni stróże sami nie kradli, lecz przy nich ciągle były kradzieże, a wszystko chłopcy zgnilki; jak i ten ostatni Marcin, przerwał się od noszenia wody i zamarł..

— Ha, kiedy tak mówisz, to zrobię go dworskim stróżem na swoją odpowiedzialność!

Jakoż niebawem Maciek zajął stanowisko dworskiego stróża, na którym ciężko było wytrzymać z powodu nawału pracy. Bo stróż — to istne popychadło w rękach dziedzica, dziedziczki, ekonoma, kucharza, ogrodnika. Napracuje się w dzień, a w nocy bierze dużą drewnianą trąbę pod pachę i odbywa straż koło dworu, choć częstokroć podczas dnia nie miał jednej chwili wolnej, ażeby się przespać.

W nocy Opozda czuwał razem z psami nad dobytkiem pańskim. W październiku rozpuściły się deszcze, lały po całych nocach, dęły też wiatry strasznie; to Maciek poszukał sobie przytułku gdzieś pod dachem kieratu przy stodole, lub zasiadał z trąbą pod wystawką starego lamusa. Schodziły się tu do niego psy, które on sam spuszczał na noc z łańcuchów i było mu na duszy raźniej, gdy miał obok siebie żyjące stworzenia. Czasem wśród tego mroku porykiwało bydło w oborze, kwiczały wieprze, powrzaskiwały gęsi, w stajniach rozlegało się niespokojne tupanie ko-

ni, piały dworskie i wiejskie koguty na grzędach; wtedy Maciek, ocknąwszy się z zadumy albo i z drzemki, ziewał głośno: „aaaau!”, przykładając od niechęcia do ust trąbę i dawał znać światu zwierzęcemu, że jest taki człowiek, który czuwa, kiedy śpią inni. Czasem téż, niewiadomo z jakiej przyczyny, rozwyły się znowu psy i wyły tak jakoś dziwnie, jakby ubolewały nad całym światem; wtedy Opozde przechodziły po ciebie ciarki, szedł między owe psy, wymyślał im od „zawytych” i rozpędzał. Jeżeli atoli psy szczekały lub ujadły, wówczas Maciek trąbił im w takt, dodając ducha. Niekiedy znowu, ni stąd ni zowąd, wypadał w nocy na dziedziniec ekonom, nąwoływał psy: „huź go! huź go!”, a na Opozde krzyczał:

— Maciek, Maciek!... Gdzieżeś ty psia nogo!..
Bywaj tu, bywaj!

Wtedy Maciek zbliżał się wśród nocnej ćmy do ekonomy, trąbiąc po drodze, co tylko tehu miał w sobie.

Opoździna, co prawda, nie była zadowolnioną z téj nowej godności swego meża i robiła mu często wyrzuty:

— Żeby nie te zapiłowane śliwki, sypiałbyś a to pod strzechą na wyrku, jak człowiek, a tak to ino poniewierasz obleczenie i zdrowie na słocie.

Jakoś w listopadzie na dworskiej kuchni do późnej nocy był ruch wielki. Pod cyganem palił

się suty ogień, a na blasze stały ogromne garnki i rondle, z których buchały kłęby aromatycznej pary. Zapewne z tego powodu i w skutek nadzwyczajnego gorąca pootwierano wszystkie okna w kuchni. Opozda siedział pod okapem lamusa, wpatrywał się w oświetlone okna i w niezwykły ruck ludzi, a przytém wachał mile zapachy, które go zalatywały od kuchni. Nareszcie powstał ze swoją trąbą, podszedł do otwartego okna i, oblizując się, rozpatrywał wewnętrzne sprawy, a cała gromada psów dworskich tłoczyła się około niego.

W kuchni robiono bulion, więc drób nie drób, zające, kuropatwy, wołowina — słowem różnego rodzaju mięsiwo warzono. Taka zaś była obfitość tego wszystkiego, że głodnemu chłopu ciągle robiła się w ustach ślinka i nieustannie jedna myśl się nastęczała: „mogliby jaki kąsek dać stróżowi, co im drwa narąbał i wody nanosił.”

Kucharz rozgotowane mięso wygniatał w workach, a po wygnieceniu pozostawały sérki, które psom rzucał.

— Panie kucharzu! — odezwał się Maciek. — Dalibyście oto i stróżowi taki sérek... Jak zjem na Wielkanoc ociupinę kiełbasy, to już potém, jak rok długi, mięsa nie widzę.

— Mięso dla panów, — rzekł kucharz. — Dla chłopu prawie groch, kapusta, krupy; ale, jeśli masz ochotę na te wytłoczyny, bierz, ile ci się podoba. Tego już nikt jeść nie będzie.

— Cóżbym nie miał ochoty, dyć to miso! — zawołał Opozda uradowany.

— Mięso, i to porządne mięso! Drób, zwierzyna... mięso delikatne! — To mówiąc, kucharz podał Opoździe cały sérek bulionowych wytlóczyn.

Maciek począł zajadać z namaszczeniem: zaledwie jednak połknął parę kąsków, rzekł z rozczarowaniem;

— Nijak nie mogę przełykać niesolonej warzy, zaraziłki mi się ekliwo robi.

— Co?... To ci jeszcze nie słone? — rzekł kucharz i, wzięwszy garść mialkiej soli, podał Opoździe. — No, masz!

Stróż posolił sobie sérek, przemieszał go palcami i znowu mówił:

— Bez chleba to i miso nie ma smaku, jak się patrzy. Mnie nieo bez chleba nie lubuje...

Kucharz snadź w dobrym był humorze, bo otworzył przyboczną szafkę, wydobyl bułkę pięknego białego chleba i położył przed Opozdą, który na ten widok aż się oblizal, mówiąc:

— Białego chleba tom nie jadł, jak pięć roków temu będzie, kiej mię ze dwora posłali z listem do Linowa. Nieboseka dziedzicka nasza w on czas zmarła, a w Linowie był jēj zięć i ponoś tak się scieszył z jēj zmarcia, co mi do krydensu przysłali setną pajdę bieluśkiego chleba, kieliszek wódki i dwa kumplety ze słodziuśkim sosem... Jakem się chycił, tom za pół pa-

cierza zmiotł sytko do czysta, aż się lokaje śniali...

— Nie mieli ci w Linowie dać kotletów, kiedy po nieboszczce dostali pięćdziesiąt tysięcy rubli gotówką—powiedział kucharz.

— Taj zmiarkowałem sobie zaraz, tyła za takie pieniądze mogli mi dać lepiej; a uni mi wysłali potém jeszcze dwa złotka przy liście i kazali, cobym na całą noc dymał do domu z odpowiedzią.

— No, a jakże ci smakują te sérki teraz? — pytał kucharz.

— Nie mają smakować, kiej rychtyk une kumplety w Linowie... Żeby ino było trochę gorzałki, toby się człek tego skrzepił.

— Daj tu kurze grzędę! — rzekł kucharz. — Bierz cię licho, użyj jak pies w studni!—I z temi słowy wydobył znowu z szafy butelkę wódki, a napiwszy się sam, dał téż stróżowi kieliszek.

— Z przeproszeniem pana kucharza — rzekł Maciek.—Kiej ma być używantes w jedzeniu, to ni w czém taki kieliszek!... Jak chłop ino krzepki, półkwaterek wypić musi.

— Ej, Maciek, szelmo, ty mię dzisiaj durzysz!—powiedział kucharz. — Ale pal cię sześć, masz jeszcze półkwaterek wódki!

— Grzeczny z pana kucharza człowiek — mówił Opozda. — Półkwaterek wódki nie je nijakie pijaństwo; dyć ja nie ułamek i pół kwarty mię téż nie zmoże!

Kucharz nalał Maćkowi wódki w jakieś blaszane naczynie i podał. Stróż wyciągnął wszystko co do kropli, poczem rzekł:

— Pókim żyw, nie zabaczę panu kucharzowi onój łaski.

Dopiero teraz zabrał się Opozda do jedzenia i zjadł dwa spore sérki bulionowych wytlóczyn; jednakże trzeciego nie zdołał już dokończyć i resztkę schował w kieszeń, mówiąc:

— Rada będzie moja, jak jój jutro do chałupy przyniosę tę krzynę misa, uraczy ano i tych małych bąków.

Niebawem wszakże porwało Maćka straszne jakieś bolenie; odszedł on od okna kuchni i czuł w sobie, jak gdyby kamień połknął. Porwał za trąbę, dał w nią z całej siły, co mu atoli nie przyniosło żadnej pomocy; ból wewnętrzny wzmagął się potężnie i sięgał aż w okolice klatki piersiowej.

— O święty Macieju, mój patronie! — mówił Opozda sam do siebie. — Ratujże mię téż, kiej okrutna cierpota na mnie idzie.

Cierpienie się wzmagalo; stróż noeny nie mógł ustać na nogach, a zimny pot wystąpił mu na czoło. Szedł więc pod stajnię, gdzie wraz z wolarzami zasypiali rataje, a usiadłszy tutaj pod drzwiami, począł stękać i jęzcć. Obudził się któryś z wolarzy, przetarł oczy, wyszedł przed stajnię, a ujrawszy Maćka, tak mówił:

— Cóż wam takiego, Opozdo, czemu tak jęczycie?...

— Oj jej jej!... Matko Boska Częstochowska ratuj!..., Okruteczne parcie mam w sobie i do rana chyba już nie strzymam!... — odpowiedział Opozda głosem stłumionym.

— Kajbyście znowu nie mieli strzywać, toć z was chłop... kloc setny...

— Jak Pana Boga kocham, nie strzymam, straszeczna duszność mię a to chyciła i gniecie... Oj gwałtu, gwałtu!... Już mi księdza ino trzeba, a nijaki dochtór nie nie zarai...

— Juści dochtór nie zarai, ino wam oweczarza trza zbudzić, to będzie kuniec po sytkiemu...

— Szymku, ratujcie!... Ratuuj, kto w Boga wierzy!... Oj lećcie po oweczarza, lećcie... Okrutne mam parcie w dołku!

Szymek wolarz zabrał się czémprędzej, pobiegł do oweczarni i rozbudził oweczarza, który był nawet kumem Opozdy. Kiedy lekarnik ten przybył, stróż zaledwie już oddychał.

— Cóż wy oweczarzu myślicie? — pytał oweczarza Szymek wolarz. — Będzie z nich co jeszcze?

— No, cóż mam myśleć? Dyć ostatek ducha z siebie zieją, ino to nie je żadna choroba; zwyczajnie... padło na nich nagle, jak na bydło...

— To dajwa wnetki znać choćby do okumona, możeby im gorącej herbaty dali.

— Ej, jak ja mu nie zaraję, to na nie się nie zda i herbata...

— Rany boskie, rajcież w te pędy, coby bez mitręgę dech z człowieka nie uleciał!..

— A macie wy tu we wolarni jakową łopatę lebo widły?—pytał owczarz.

— Byłoby bez łopaty i bez widel?.. Tać są.

— Zbudźcież jeszcze którego niebądź rataja, coby pomagał w ratunku i przynieście tu dwie łopaty.

Szymek z pośpiechem wpadł do stajni, rozbudził jednego z chrapiących towarzyszków, chwycił parę łopat do wyrzucania nawozu i przybył ratować Opozde. Teraz owczarz tak komenderował:

— Odwalcie-no gnój, wykopcie tu jamę, coby w niej człowieka pogrześć można...

Wolarze w mgnieniu oka wykopali obszerną jamę w kupie nawozu, leżącego przed stajniami.

— Weźta go tera lekuško pod pazuchy i posadźta w kucki do onego dołu, obłóźta gnojem, coby ino głowa na wierzchu ostała, to musi bydłęcy gnój z niego wyciągnie to bolenie...

Niebawem polecenie owczarza zostało spełnione.

— Myślałem, co się człowieka do gnoju sadza ino w on czas, kić pieron weń trzaśnie!—mówił Szymek.

— Sadza się w kóždy nagłym razie—odparł owczarz. Ino ty wiedziéc nie możesz takowych rzeczy; prachtyk to wić, jaki gnój z człeka wyciąga eć niejakie choroby: inaczéj lubuje koński, a inaczéj bydłęcy lebo owczy.

— Słychałeś ty Szymek — odezwał się drugi wolarz—dyć moję na bezrok tłukło okrutecne zimno i na nie mi kobietę sponiewierało; dopiéro kićj uni jěj naraili okadzanie kurzym gnojem, to jakby ręką odjął...

— Cóżbym nie wiedział znowu! — odparł Szymek. Toć ano i Opozda, ino poczuł gnój koński na sobie, a już wneteki dech puszczają... Słyszycie jako dyma, nikićj kowalskie miechy... Niech mu ta będzie na zdrowie!

— I z czego on téż tak zaniemógł? Nie wiecie wy tego owczarzu?—pytał kolega Szymka.

— Nie pedam to — nadleciała taka planeta i zwała z nóg chłopa—odparł spokojnie owczarz.

— Musi w chmurach coś źle dla niego stojało—mruknął Szymek.

— Pewnikiem skaranie o te plebańskie śliwy; pamiętacie, dyć się cały naród trzął w miejscu świętém, kićj jegumość gadał kazanie o takich, co kradną po sadach—rzekł towarzysz Szymka. Teraz owczarz przystąpił do chorego, zagrzebanego aż po szyję w nawozie i tak mówił:

— Macieju, kiej wam się krzyne żelży, odmówcież koronkę do Przemienienia Pańskiego, a tera to ino westchnijcie szczerze do świętego Mikołaja, co je patron od pomorku na bydło, a nie zdryga się takoz od opieki nad grzesznym człkiem! Na południe będziecie zdrowy jak kuń... Ja pójdę spać, bo jak nie dośnie, tom do niczego, psubym ogona nie zawiązał.

I owczarz odszedł do owczarni, a dwaj wolarze pozostali z Opozdą do świtu; siedzieli oni na progu, gwarząc z zakopanym w nawozie Maćkiem.

Jakoż nazajutrz polepszył się znacznie stan zdrowia Opozdy, jednakże odleżał jeszcze parę dni w domu i przez ten czas nie miał najmniejszego apetytu.

Kiedy znowu powrócił do spełniania obowiązków stróża, spotykało go zewsząd we dworze szyderstwo; cała służba natrzęsała się z niego i drwiła. Wypadek z bulionem tak silnie oddział na wszystkich, że Maćka przezwano *Ogonem*, gdyż pierwsza płeć piękna na kuchni rozpowiadała, iż Opozda „przeżarł się ogonami z różnych zwierząt.”

Miał tutaj nasz Maciek za swoje; ale też i niejeden dostał od niego po czubie za przezwisko. Bywały zdarzenia pełne niekiedy komizmu, a inną razą nader tragiczne; kucharz zaś nie starał się bynajmniej o łagodzenie antagonizmów, lecz lubił się bawić kosztem stróża, co reszcie służby kuchennej dawało znów zachętę do prześladowania Maćka. Zdarzało się, iż zaledwie Opozda wystąpił z rana na teatr swój działalności, a już różne pomywaczki po kątach trzęsą się od śmiechu i usta rękami zakrywają, aby nie wybuchnąć. Chłop robił swoje, pracował, przeklinając jednocześnie ludzi i swe stanowisko; był on już teraz w kolizyi ze wszystkimi: nikt mu nie da-

wał dobrego słowa — ani on nikomu. Dziewki wymyślały nieraz historye o *Śliwińskim*, *Rzepce*, *Ogonie*, a wszystko to stanowiło aluzyą do Maćka i drażniło go w najwyższym stopniu.

To téż jednego dnia gorycz w duszy Opozdy wezbrała tak nadmiernie, że na dziedzińcu zaszedł drogę ekonomowi i podziękował za służbę we dworze. Zapytany, „co go podleciało,” odrzekł lakonicznie:

— Nikt nie wytrzyma z takim sobaczym narodem!..

Ekonom może i po części wiedział, co się święci, a może mu tylko żal było puszczać ze służby chłopca zdatnego do roboty, przeto czynił rozmaite przedstawienia Maćkowi; ale ten odpowiedział stanowczo:

— Nie mogę ścierpieć, żeby sobie mną lada kto gębę wycierał! Wolę być komornikiem, chodzić po zarobkach, służyć u chłopca za parobka...

I tak rozstał się Maciek ze dworem, choć go niejednokrotnie zwierzchnicy namawiali, aby się „dobrze zastanowił nad tém, co robi.” Szukał on teraz zarobku na wsi, jednakże i tu już wiedzieli się ludzie o jego przygodach ze śliwkami, z rzepą i bulionem. Jeszcze zima nie przeszła, a już w niepamięć poszło jego rzeczywiste nazwisko i Maćka nazywano naprzemian to *Śliwińskim*, to *Rzepką*, to *Ogonem*. Chłop sposepniał, zgorzkniał, obrzydło mu wszystko; jednakże ape-

tytu nie stracił, — owszem, zawsze jadł bardzo dużo i Maryna nie mogła mu nastarczyć warzy.

Nastąpiła rozkoszna wiosna. Jednej niedzieli oboje Opozdownie poszli na sumę do kościoła, gdzie ksiądz proboszcz wypowiedział bardzo pouczające kazanie o obżarstwie, jako jednym z grzechów głównych. W wymownych słowach, z wielką dosadnością, pasterz duchowny odmalował obraz życia człowieka obżartego i przedstawił smutne losy jego rodziny. W świątyni panowała cisza, ponieważ z ogromnym zajęciem słuchano tej nauki. Naraz rozległo się tu stłumione łkanie; ludzie spoglądali w stronę, skąd głos pochodził, i każdy mógł łatwo widzieć, że Maryna Opoździna ma oczy łez pełne, a stojący obok niej Józek naśladuje matkę i szlocha.

Parafianie poszeptywali więc, iż chłopak płacze nad grzechami swego ojca, iż z niego jest mądre dziecko, które wie, co się Panu Bogu podoba.

Maciek też nie był ślepy, poczuł on wyraźnie, że sprawy jego reputacyi we wsi stoją bardzo źle, że jest widocznie pośmiewiskiem ludzkim; ale najbardziej koreciła go ta okoliczność, że Józek, jego własny syn, zwrócił na siebie w kościele powszechną uwagę.

Po nabożeństwie rodzina Opozdów powróciła do domu, ojciec był okrutnie zły i najprzód bez żadnego powodu sfukał babę swoją; potem zdjął z siebie rzemienny pasek i przeciągnął nim parę razy Józka przez plecy, wołając:

— Będiesz mi ty drugi raz dudy stroił w kościele!.. A pacierz mówić, raku—pacierz!..

— Nie waż się trącać mego dziecka! — wrzasnęła Opoździna, stając pomiędzy bijącym a bitym. Nie dozwolę ci go tykać bez to, co chłopaczysko popłakiwał wespół ze mną nad tobą przed Panem Bogiem!

Pomiędzy małżeństwem przyszło teraz do zawziętego swaru, w którym Maciek zamierzył się nawet na Marynę, ale mu uszła zpod ręki. Chłop był rozwścieczony, przysięgał, iż opuści miejsce rodzinne i na dziesiątą wieś pójdzie, bo mu „życie i wszystko na świecie zmierzło.”

Pomimo téj wielkiej zapalczywości, Maciek jednak zjadł obiad, który zapłakana i zgryziona baba ze złością przed nim postawiła. Podjadłszy sobie, obtarł głowę, przeżegnał się pobożnie i, nie rzekłszy ani słowa, wyszedł z chałupy. Szedł opłotkami, szedł polem, miedzami, aż wreszcie dotarł do sąsiedniej wioski, przeszło o pół mili odległej. Kiedy się tutaj pojawił, ludzie ciekawie nań spoglądali, bo był chłop tęgi, z miłą zuchowatą; chętnie z nim prowadzono rozmowę, a on rad był w sercu, że mu nikt nie przyprawia, jak to miało miejsce we wsi rodzinnej. Opozda wypytywał się gospodarzy, czy nie wiedzą gdzie o jakiej służbie, chociażby we wsi dalszej jeszcze. Ten i ów go zbywał, ale z jednym chłopem, siedzącym przed chałupą na pogródce, Maciek rozgadał się bardzo szczerze i od gospo-

darza tego dowiedział się, że o milę drogi wśród łąk znajduje się młyn, zwany Poturała, że tam gospodynią jest wdowa zamożna, która właśnie potrzebuje do pomocy rażnego chłopca, co by wszystkim dał radę. Wypytywał się Opozda o drogę do Poturały i dokładnie mu rozpowiedziano, że powinien wyjść za górkę, kiedy zaś zobaczy rzekę, to już z jej biegiem trzeba tylko podążać, a za dobre dziesięć pacierzy stanie w Poturale. Stary fornał znał się na drodze, więc szedł prosto na sztych, jakby strzelił, i przybył do kresu swój podróży. Kiedy wszedł na terytoryum młyna, psy go tu strasznie opadły; zamówił do nich jakoś mądrze i psy zgłupiały, pospuszczały ogony, uciekając. Tuż przy młynie w łące pasła się para dzielnych szkap ze źrębiciem, a Maciek okiem znawcy przyjrzał się zwierzętom. Przed samym już młynem, szumiącym uroczyście, stało dwóch młynarczyków, którzy wyglądali, jakby ich kto cukrem posypał.

Opozda pochwalił Pana Boga na powitanie i począł się niebawem rozpytywać o gospodynią. Właśnie téż otwarły się drzwi od ogromnej izby i wyszła sama młynarka, kobieta jak łania, rumiana, z okrągłym bielutkim podbródkiem, w koralach i w stroju nawpół wiejskim, nawpół niby mieszczka. Skłonił jej się ładnie Maciek i zaraz opowiedział, jako chodzi za służbą, nie chcąc się wysługiwać we dworze, a nie mający we wsi zarobku na ciężkim przednowku.

Nuże go młynarka pocznie wypytywać, czy umie chodzić koło koni, wele bydła, czy się dobrze zna na orce, młocce, koście; Opozda tak gładko mówił, tak dowodnie przedstawiał swoje uzdolnienie, iż kobiętę natchnął przekonaniem, że wszystkiemu podołać może.

Obszedł Maciek całe gospodarstwo, obejrzał wszystko uważnie, potem się ugodził o zasługi i postanowił już zostać w młynie na Poturale. Obey ludzie tak go cenili, byli dla niego tacy dobrzy, że gdy sobie wspomniał, jakie to prześladowanie znosił od swojaków, aż go mrowie przejmowało.

Nazajutrz najpilniejszą robotą było sianożęcie; zrobiwszy o świtaniu ład około domu, Maciek wziął kosę, torbę z oselką i poszedł na łąkę. Za parę godzin przybył tu do niego młynarczyk, przynosząc mu w kobiałce dobre śniadanie.

— Jeszcze tu takiego pracownika jak wy, Macieju, nie było w tym młynie — powiedział młynarczyk.

Opozda był wewnątrz siebie dumny, że wykonał robotę za trzech, i młynarczykowi na tę pochwałę nie odpowiedział; za to z największą skwapliwością sprzątał śniadanie. Już prawie wypróżnił dwójaki z kartoflami i mlékiem kwaśnym, kiedy mu ni stąd ni zowąd przyszła myśl do głowy:

— Co téż tam robi w chałupie Maryna?

Przypomniał sobie, że ją wczoraj odszedł za-

plakaną i tak jakoś dziwnie chwycił łyżkę pełną kartofli, że sobie okrutnie przygryzł język. Jadł już teraz uważnie; ale mu w myśli stanął Józek, a potem Jagna, Onufer i jeszcze najmłodsze dzieciątko w kołysce. Nie wyskrobał nawet dwojaków, jak to zwykł był robić, nie przeżegnał się, tylko porwał kosę, jak szalony, i co się nią zamierzył, to zwałił całą ścianę trawy. W uszach szumiały mu ciągle: „szu, szu, szu, szu,” wydawane przez padające pod kosą pokosy; ale w głowie kręciła się Maryna i dzieci. Stanął wśród łąki, wydobył osełkę ze skórzanej torebki u pasa; ale wprzód nim kosę nią poostrzył, machnął kilkakrotnie ręką około głowy; chciał odpędzić myśli, jak się odpędza muchy. Spojrzał w stronę rodzinną wioski i widział tylko zielone łąki a łąki; w trawie opodal stał bocian i podejrzliwie spoglądał na Maćka, a Maćkowi się zdawało, że to jego Józek w białej koszulinie. Mimo woli szepnął:

— Rozpustna psia para, inoby się gził ciągiem...

Bocian porwał się na skrzydłach i odleciał w stronę rodzinną wioski Opozdy.

— A może to ten sam, co u nas ma gniazdo!— pomyślał Maciek.

I począł teraz znowu myśleć o tém, jak bocian przylatuje do gniazda, jak klekoce, jak głodne małe wyciągają do niego dziobki.

— Takie pisklaki, to nikiem człowiecze dziecięta...—mruknał; ale mu się jakoś bardzo przykro zrobiło, bo sobie wspomniął, że Maryna miała już tylko miarkę kartofli w domu, kiedy odchodził.

— Czém oni tam będą żyli?..

Począł kosić ze strasznym zapalem, tak zamaszycie, że mu się kosisko w rękach gięło, a kosa wydawała jęk, który Maćkowi wydał się być podobnym do płaczu maleńkiego dziecka.

— Takie maluśkie, to ta skwirczy i skwirczy samo nie wie czemu...

Ale i on nie wiedział, dlaczego mu się serce dziwnie jakoś ścisza.

— Musi przeżarłem się hańtém śniadaniem... i tak pre wele dołka—pomyślał.

Srebrna rzeka wiła się, szumiąc, stada modych jętek gonily na wyścigi, skowronek nucił w górze, pokrzykiwały czajki i rozlegał się pianissimo chór pieśni pasikoników. Opozda z kosa w rękę, w koszuli, przepasany rzemieniem, wyglądał jak olbrzym na téj wspaniałej widowni przyrody. Spojrzał na niebo, słońce dobiegało najwyższego punktu; westchnął, bo sobie przypomniał, że na południe nie wróci do swojej chałupy.

— Ej, krzepkim ja w nogach, Panie święty! Jakbym się kopnął, tobym jak nie do nich doleciał...—pomyślał sobie i zdawało mu się, że już jest w chałupie.

Słońce dogrzewało nadzwyczajnie, koszula Maćka była mokra na plecach, jak gdyby ją w wodzie umaczano.

Było już prawie południe. Opozda spojrział w kierunku młyna i zauważył, że przy młynie panuje jakiś zamęt, ruch niezwykły. Widział, że chłopcy młynarscy pędzili jak oparzeni gdzieś w pole, a razem z nimi gnały psy jak szalone; konie znowu i cieleta pozadzierały w górę ogony i w nadzwyczajnych susach biegly na łąki. Maciek oparł się o swoją kosę i przyglądał się temu widowisku, rozmyślając w duszy, coby to wszystko mogło znaczyć. Ale niedługo potem ujrzał, że z młyna wypadła młynarka z córką, spieszenie przez łąkę zdążając ku niemu.

— Osobliwy jakiś trafunek... — pomyślał, a wzięwszy kosę na ramię, szedł naprzeciwko kobiet.

Przerażone baby opowiedziały Opoździe, że się pszczoły wyroiły naraz z kilku ulów i poosiadały w młynie, na drzewach i pod okapami stajni,— że są okrutnie złe, tną bez litości ludzi oraz zwierzęta.

— Ta nie nie wadzi — rzekł Opozda. Na pszczołach znam się też, a miód sam ogromnie lubię... Potrafię syćko uładzić.

Jakoż śmiało podszedł do młyna, okręciwszy się płachtą, zbadał stan rzeczy; później gołą ręką zgarniał pszczoły w sito i poprzenosił roje do nowych ulów. Podebrał też w starych ulach

miód, wyłożył liczne plastry na przetaki i oddał gospodyni. Przy tych czynnościach zniknęły z duszy jego niemiłe uczucia, które nim miotały na łące. Młynarka była z radości w siódmém niebie, że trafiła na chłopa tak zręcznego do wszystkiego.

Atoli Maciek, kiedy zasiadł do obiadu i już znaczną część jego spożył, znowu sobie przypomniał chałupę.

— Utrapione te moje małe bąki!.. Dyć mi to bestyjstwo ze łba wyleźć nie może... — myślał sobie.

Obiad w młynie był bardzo wykwintny w porównaniu z warzą, którą Maćkowi w chałupie podawała jego Maryna.

— Jakoś mi tu strawa nie pachnie—mówił do siebie—musi mają nowe warzniczki i nie sparzyli ich wrzącą wodą, albo li téż woda na téj Poturale nie lubuje człeku z naszój wsi...

Kiedy skończył obiad, przeżegnał się z nadzwyczajną uroczystością i na głos odmówił: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego—amen.” Ale nie wiedział sam, co robi i co mówi.

Później opamiętał się, a idąc ku stajni, rzekł do siebie głośno:

— Rany boskie, toć mi się we łbie wierci; ja się tu widzę skręcę.

Zajrzał do stajni i począł mówić do koni:

— Ej ty, siwa, miluśkie boże stworzenie!... Nastąp-że, paro!.. I pogładził siwą po karku.

Podleciało do niego źrebie i zarżało cieniutko: „hi, hi, hi!” Opozda chwycił je obiema rękoma za łeb, a tak mu się czegoś ckliwo zrobiło na duszy, że o mały włos nie zapłakał.

— O Przenajświętsza Panienko Jasnogórska!.. Dyć ja się staję dycht taki głupi, jak ten mój śpik, Józek! Ta uwaga rozczuliła go jeszcze bardziej.

Wypadł ze stajni i ogromnymi krokami sadził do gospodyni, a młynarczycy stali z boku koło upustu i mówili między sobą:

— Ten nowy parobek musi niedobrze coś ma w głowie.

— Nie będzie wam markotno, gospodyni — rzekł Maciek—jak ja na odwieczrz puszczę się do swojej wsi? Odrobię tu, co do mnie przynależy, i polecę ino dać wiedziéć o sobie, bo tam w chałupie moja baba ma lament i desperacyą z dzieckami.

Jakoż Maryna miała w domu lament i desperacyą; nieustannie zadawała sobie w niepokoju pytanie: „Co się stało z Maćkiem?” A ileż to przykrych odpowiedzi nastreęzały jój domysły. Pragnęła ona zasięgnąć od kogoś rady, co ma począć i udała się na plebanią. Tutaj opowiedziała księdzu proboszczowi cały stan rzeczy, wyznała, że Maciek jest dobrym chłopem, na ranę go przyłożyć; ale potrzebuje dużo warzy, co nie dziwota przy bardzo ciężkiój robocie, i stąd

płyną rozmaite jego grzechy; a za grzechami idzie opinia świata.

Ksiądz wysłuchał opowiadania, rozpytał się troskliwie o różne szczegóły, popukał w palce, utarł kilka razy nos, westchnął i wreszcie tak pocieszał Opoździnę:

— Nie trap-że się, moja kobięto, mąż twój wkrótce się tu znajdzie, powróci do ciebie i do dzieci... Żeby się tylko upamiętał w łakomstwie!

Dobre słowo wlało otuchę w duszę Maryny, ucałowała więc rękę dobrodzieja i powróciła do chałupy. A Maciek jak nie wracał, tak nie wracał.

Cóż się stało na .Poturale?

Młynarka, zachwycona zręcznością i pracowitością nowego parobka, posłała po niego na łąkę, ażeby dobrze jeszcze przed wieczorem zszedł z roboty, zjadł podwieczorek, obrządził gadzinę i poszedł na noc do wsi swojej. Opozda powrócił więc z kosą do młyna, dostał tutaj od gospodyni duży kieliszek wódki, a na zakąskę postawiono przed nim wielki garnek z maślanką i położono bochen gorącego jeszcze chleba, który właśnie prosto z pieca wyjęto. Maciek się ciężko spracował i był ogromnie głodny, przeto żwawo sprzątał chleb i maślankę, zasiadłszy sobie na świeżém powietrzu przed młynem. Już się był z całym daniem załatwił, kiedy gospodyni wniosła mu jeszcze parę plastrów miodu na misce.

— Jedzcie, Macieju—rzekła — niech wam bę-

dzie na zdrowie! A jak będziecie szli do domu, dam wam dla dzieci garnuszek miodu i bułkę świeżego chleba.

— Bóg zapłać, moiściewy! — zawołał Maciek, któremu ta obietnica dodała apetytu.

Zniknęła już cała prawie bułka chleba, a i maślanki niewiele się zostało; Opozda zabrał się teraz do miodu, który bardzo lubił. Jadł słodki przysmak, nie troszcząc się bynajmniej o to, że i wosk połykał; wyobrażał sobie tylko, iż owe dobre rzeczy będą smakowały Marynie i dzieciom tak samo, jak jemu smakują. Jednakże, kiedy powstał od owój uczty, poczuł w sobie jakieś rżnięcie. Zrazu nie zwracał na to uwagi, ale wnet uczył, że się ma gorzej, — ciężki ból dolegał mu wewnątrz. Wyszedł za młyn, ażeby konie spędzić z paszy do stajni, kiedy nagle zachwiał się, stracił równowagę i upadł; ciężko jęczał z bólu, pot mu wystąpił na czoło, a gdy boleści wzmogły się nadzwyczajnie, począł wołać o ratunek. Na krzyk ów nadbiegli z młyna młynarczycy i, widząc Maćka srogo cierpiącego, badali, co mu się stało.

Słabym głosem przedstawiał Opozda swoje cierpienia i prosił, aby mu krew puszczone; ale w młynie nikt krwi puszczać nie umiał. Wijąc się w bólach, błagał, aby go wsadzono do rzeki, to woda „wysie bolenie.“ Przybyła też młynarka i postanowiono zadosyć uczynić życzeniu cierpiącego. Dwaj chłopcy młynarscy wzięli chłopca na ręce i zanieśli nad rzekę, lecz woda była głębo-

ka i rwąca, a Opozda na nogach nie zdołał się utrzymać. Starszy młynarczyk wpadł więc na taki pomysł: ukreślił więc z wikliny, przewiązał nią chłopca pod pachami i, tak podtrzymując go na wici z brzegu, wpuścił w wodę. Maciek zcierniał z bólu i zimna, lecz mu się ulżyło na razie. W kilkanaście minut wyciągnięto go z wody i ułożono na trawie; niebawem porwały Opozde straszne kureze.

Słońce już zaszło, wkoło słychać było krzyki żab,—w oddaleniu rozlegał się głos czajki, — bocian błakał się w trawach, jakby duch łąki, — derkacz rozpoczynał i urywał nagle swoją chrapliwą piosnkę,—jak długo i jak szeroko, kwiliły roje pasikoników, piewików, skoczków...

Maciek wyzionął ducha, stężał i martwy leżał na brzegu rzeki.

Najbliższej niedzieli w rodzinnej wsi Opozdy ksiądz proboszcz miał bardzo pouczające kazanie o miłości bliźniego; dowodził on i przekonywał, iż przeciwne jest zasadom religii, jeśli cała gromada prześladowuje jednego człowieka, który wprawdzie mógł mieć różne wady, ale miał jednak obok tego wartość i był potrzebny swému rodzinie.

Opozdina z oczyma opuchłemi od płaczu, klęcząc na boku, łkała okrutnie, a mały Józek, tułac się do boku matki, wtórował jej swym szlochaniem. Ludzie z litością spoglądali na tę bolesną parę.

PODWÓRZOWE DRAMATA.

PODWÓRZOWE DRAMATA.

Tą razą nie wymieniam z nazwiska miejscowości, którą opisuję.

Wyobraź sobie, czytelniku, biały, drewniany domek, o czterech frontowych oknach i o dwóch wejściach; dach na domku jest gontowy, a świecą na nim tu i owdzie białe łaty świeżo wprawionych gontów; na dachu sterczą dwa kominy, z których jeden jest jakby czynny krater wulkanu; do kominów sięga długa drabina, wsparta jednym końcem na ziemi. Na frontowej ścianie, pomiędzy oknami, spostrzegasz zawieszony na czerwonej tasiemce wieniec ziół, święconych w dzień Bożego Ciała. Jedno wejście jest bardziej, prowadzi ono do mieszkania dzierżawcy folwarku, drugie—wiedzie do kuchni. Przed domem znajdują się sztachetki, a za sztachetkami nieco kwiatków: malw, żółtych lilij, czerwonego grochu, astrów i t. d. Na tych sztachetkach, od strony wejścia kuchennego, wiszą do słońca garnki, konewki, szkopki, ścierki, powązki. Okno,

należące do kuchni, posiada jedną tylko szklaną szybę, inne szyby pozaprawiane są papierem ze starych regestrów gospodarskich, a znajduje się tu i list jakiś prywatny, pisany do pana dzierżawcy w te słowa:

„Szanowny sąsiedzie; odsyłam pożyczoną przedwczoraj grabiarkę, przy sposobności zaś całuję rączki żonki dobrodziejki. Powolny sługa i t. d.”

Przed tém kuchenném oknem stoi duże koryto dla trzody chlewnój, mniejsze—dla prosiąt, i jeszcze mniejsze—dla kaczek; prócz tego, znajduje się tu przewrócona ryneczka o trzech nogach, z której pijają wodę kurczęta, gąsięta, indycęta i t. d. Około owych koryt pełno kałuży i mnóstwo rozrzuconej siekaniny zielonego chwastu.

Na tyłach domu rośnie akacja, kilka krzaków róż, krzak bzu tureckiego i ze cztery śliwy; ale za to posadzono tu bulwy dla krów w wielkiej obfitości.

Podwórze przed domem jest to plac szeroki około czterdziestu kroków, a z pięć razy tyle długi.

Na prawo od dworku znajduje się budynek, służący na drwalnię, kurnik i chlewy dla nierogacizny; wróble, jaskółki i gołębie, korzystając z mnóstwa dziur w owym budynku, pozakładały tu sobie gniazda. Pomimo czworga drzwi, prowadzących do drwalni, kurnika i chlewów, cały ten domek przedstawia się jakoby ze wszech stron otwarty przytułek dla wszelkiego stworzenia, po-

trzebującego schronić pod dachem głowę. Powyższa budowla i do niej przylegająca wjazdowa brama stanowią bok podwórzowego prostokąta. Nikt nie pamięta, ażeby ową bramę udawało się komuś na folwarku zamknąć hermetycznie.

Inny bok czworokąta, przeciwległy z dworem, stanowią dwie piwnice, jakby kapliczki z daszkami na froncie; na daszkach rosną tu gaje ostu, pokrzyw, łopianu. W jednym z tych przybytków przechowuje się nabiał dworski, w drugim—pachtowy. Na linii prostej z piwnicami jest znowu inna brama, wiodąca do stodół, które się znajdują nieco w głębi i jakby wyrzucone poza podwórzową fortecę. Przy bramie stoi po jednej stronie topola z gniazdem bocianiem, po drugiej inna topola z uschlým wierzchołkiem; z tego znowu drzewa aż się sypie pierze i słoma gniazd wróblieb, a świegoty wróblego rodu brzmią tu latem od świtu do zmierzchu. Poza bramą z topolami spotykamy w dalszym ciągu śpichrz o drzwiach gwoździami nabitych, a zamykanych na olbrzymią kłódkę; nad wejściem po schodach widnieje tu czerwona blacha z wizerunkiem św. Floryana i napisem: „Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń”. Wielka beczka z żelaznemi obręczami, wietrząca po zjedzonej przez czeladź kiszonej kapuście, jako téż czarna baryłka ze smoły, stanowią niejako ornamentykę śpichrza. Dodajmy w samym rogu budę dla psa, Kwiatka, drzemającego tu na łańcuchu nad pustą miską.

Kwiatka wzięto na łańcuch od roku, z powodu, iż ilekroć na podwórzu spotkał pacheciarkę, pozabawiał ją zawsze spodnicy. Minawszy śpichlerz i psią budę, mamy już wysoki parkan, który się ciągnie aż do stajni i krowiarni, przeciwległych kurników, a zamykający sobą podwórzowy czworokąt. Przy parkanie widać kilka pługów, kilkanaście ściętych sosen, jakieś popsute narzędzia rolnicze, drabiny od wozów, kółka od pługów, saneczki pod brony, nieco desek, drągi o parkan oparte, i t. d.

Zaledwie o parę kroków od stajni znajduje się studnia z korbą i z długiém korytem, przy którym inwentarz dzierzawcy gasi pragnienie. Stajnia i krowiarnia pomieszczone są w jednym budynku, a mają zaszczyt być murowane; jest to w całej wsi, liczącej ze 40 dymów, jedyny gmach o niższym stopniu ogniowego niebezpieczeństwa. Jednakże bezpieczeństwo zewnętrzne i dolne zakłócone zostaje wewnątrz oraz u góry; dach bowiem sporządzono tu na wyrywki, częścią z gontów, częścią ze słomy, a wewnątrz téż całe słomą jest zawalone. Pełno tu okien, drzwi i okienek oraz dziur, pozapychanych słomianymi wiechciami. Oprócz koni, źrebiąt, fernali, krów, cieląt i pastucha, w lokalu tym zamieszkują także gołębie, wróble, jaskółki, szczury, myszy i zapewne inne jeszcze zwierzęta.

Na owém podwórzu żyło mnóstwo stworzeń,

nie licząc już więzionego w budzie psa Kwiatka i używającego swobody Satyra.

Przedewszystkiēm żyło tu dużo drobiu, a czołem inteligencyi wśród drobiu zdawał się być kogut. Ptak ten, pokryty pierzem lśniącēj słomkowej barwy, miał ogon czarny, a zresztą podobny był do innych kogutów pod względem zewnętrznym. Wątpić jednak mamy powody, czy inne, współczesne koguty wyrównywały mu na punkcie męskiej energii. Przecież on jeden stał na czele kurzej rodziny, liczącēj jakie czterdzieści sztuk małżonek, a wszędzie panowały—porządek i zadowolenie. Stąd wypływał dostatek potomstwa oraz ogromne mnóstwo macierzyńskiej rozkoszy. Czubate czy nieczubate, kuse czy z ogonami kokoszki przechadzały się spokojnie po podwórzu, a w wieku młodzieńczym będuce kogutki stawiały pierwsze kroki życia, wodząc się zawczasu za łby w rycerskich turniejach. Kwoki z pisklętami włóczyły się około domu, a powszędzy marudziły kury, brzemienne jajami przyszłości, pokrzykując sentymentalnie: „Ke ke ke kee!” Inne znowu popod parkanami, grzebiąc w pyle, powyciągały nogi, rozpostarły skrzydła i używały miłej kąpieli, utrzymującēj ciało w czystości przed pehlami. On, kogut, baczny na wszelkie wypadki, chodził poważnie, potrząsał czerwonemi bokobrodami i grzebieniem, a od czasu do czasu, gdy zauważył jakiś niezwykły fakt, bodaj przechodzień nos głośno utarł, wykrzyki-

wał. „Kto to tam? Kto to tam?” Inną razą spoglądał znowu w górę jedném okiem i wołał: „Kruuu! Kruuu!” A wtedy pod jego wodzą zmykało wszystko w pokrzywy. Czasami téż wchodził na kupę śmieci, rozgrzebywał nogą barłóg, wabiąc: „Tyk tyk tyk tyk!” Czy tam w śmieciach co było, trudno wiedzieć, jednakże kury ze wszystkich stron gnały do niego. Nieraz dojrzał gdzieś w dali wałęsającą się kurzą hurysę, wtedy dopadał do niej w pełnym biegu, wycubił ją z małżeńskim karesem; potem wyciągnął skrzydło, niby płaszcz rycerski, aż po ostrogi zwieszony, a potulna kurka nabierała niebawem tklivości i towarzyszyła małżonkowi, dopóki nie poczęła kwękać i utyskiwać, jak tu znieść jaje. Rozumie się, iż najdorodniej wyglądał wtedy, gdy stanął na płocie i zapiał donośnym głosem: „Kukuryku!” A potem rozpatrywał się wkoło, jakby chciał wiedzieć, czy głos jego zrobił wrażenie.

Wśród gromady znowu indyczek na podwórzu rej wodził inny bohater—indyk. Pomiędzy nim a kogutem wynikły jakieś spory i walka nie ustawała nigdy, ponieważ oba te ptaki pozostawały w ciągłej styczności ze sobą. Indykowi, zajętemu dziełami wojny, brakowało czasu na należyte spełnienie małżeńskich powinności; indyczki przeto, albo weale jaj nie niosły, albo znosiły takie jaja, z których ród indyczy żadną miarą nie mógł się odrodzić w potomstwie; były to tak zwane *jaja czyste*, jak zdecydowała

niejaka Klameczyna, przełożona kuchni i kurnika.

Dość długo naradzano się na folwarku nad t \acute{e} m, co zrobić z indykiem, okazującym małą dbałość na punkcie reprodukcji. Uchwalono najprzód, aby go wysłać na sprzedaż do miasta; jednakże żydzi w Chmielniku zbyt mało cenili wartość okazanego ptaka i indyk ów, znękaný przygodami przeszło milowej podróży, odbytej po strasznych wybojach, a na wozie nadzwyczajnie trzęsącym, powrócił znowu na rodzinne podwórko. Kogut i teraz nie dawał mu spokoju; krwawe sceny odgrywały się nieustannie wobec indyczej oraz kurz \acute{e} j płci nadobnej; indykowi z nosa pozostały tylko strzępy. Kogutowi wszakże wszystkie te zapasy bynajmniej nie przeszkadzały w stosunkach małżeńskich; reputacyą miał on ciągle dobrą i u żon swoich i u ludzi, podczas gdy indyka formalnie prześladowała opinia. Kiedy więc znowu u indyczek pojawiły się jaja, zwane przez Klameczynę czystemi, wtedy nikt się już nie łudził co do wartości ptaka; jednego dnia podcięto mu gardło i martwe ciało upieczono na rożnie w celach każdemu wiadomych.

Tu, zacny czytelniku, rozważ sobie skrupulatnie, jak dziwną jest logika życia. Ponieważ indykowi ktoś przeszkadzał do spełniania naturalnych funkcji życia, przeto indykowi odebrano życie.

Po zgonie indyka, nakupiono w okolicy porzą-

dnych jaj indyckich w miejscowości, gdzie indyk miał jak najlepszą renomę i jaja te podłożono pod kurę, która, dzięki energii koguta, kwokała, czując w sobie przygotowanie do stanu macierzyńskiego. W taki sposób Klameczyna chciała zupełnie zerwać z przeszłością, przygotowując na folwarku zupełnie nową generacją indyk. Małżonki upieczonego i zjedzonego indyka, kwękając a utyskując, przechadzały się teraz smutnie i robiły wrażenie separatek, czy rozwódek; jako zde-moralizowane, podpasano je, aby przy pierwszej sposobności wszystkie wyprzedać.

Spodziewała się teraz Klameczyna, że kura dobrego rodu wylegnie i wychowa indyka, któremu już ani wojna, ani żadne inne przedsięwzięcie, nie staną na drodze rozplądania wielce użytecznego dla ludzi gatunku indyckiego.

Ale kogut, pozbywszy się rywala, a będąc już zaprawionym do walki i ciągłych tryumfów, napadał z kolei rzeczy na indyczki, pozbawione wszelkiej męskiej opieki. Przycupił on raz najpotulniejszą z tych opuszczonych istot, przysiadł ją był w kącie i bez względu na jęk, wyczubił potężnie, tak, że na nagiej głowie, oraz na koralikach szyi pozostały indyce krwawe ślady jego dzioba. Nie wiemy, jakie uczucia u reszty indyczek wywołał widok krwi zranionej przez koguta towarzyszki, to pewna, iż uczucia owe dalekiemi były od tego, co ludzie nazywają litością. Spostrzegłszy towarzyszkę, podrapaną kogucim

dziobem, indyczki poczęły jój dokuczać. Ilekroć która stę zbliżyła, popatrzała na rany i nuże biédaczkę szczypać. Stąd poszło, iż indyczka ta chodziła przez czas jakiś zdaleka od stada swego; atoli, pomimo wyraźnego stronienia jój od całego towarzystwa, stał się raz wielki indyczy gwar na podwórzu. Oto wszystkie indyczki, co do jednéj, opadły owę niebogę i były nielitościwie. Widoczném było, że w tym zajadłym tłumie każda jednostka pragnie zgębnić prześladowaną.

Rył-że to szął zazdrości czy oburzenia z powodu podejrzeń o stosunki z kogutem?...

Bitą opadła z sił, legła na ziemi i z rezygnacją poddała głowę pod rązy swych oprawczyń. Srożąc się, piszcząc, z rozpostartemi skrzydły dopadały indyczki jedna przez drugą i katowały nieszczęśliwą bliźniaczkę, która niezawodnie byłaby wyzionęła ducha, gdyby jój na pomoc nie przybyła z kuchni któraś dziewczka i nie rozpędziła rozjuszonej gromady.

Kiedy przyniesiono do kuchni to poranione biédactwo, ubezwładnione, omdlałe i nieuchronnie potrzebujące leczniczej opieki w jakim szpitalu, Klameczyna obmacała chorą popod skrzydłami, około piersi i ogona, poczem rzekła:

— Trzeba ją dorznać; jest dosyć tłusta, prawie na stół, a jakby się toto zostawiło pod zamknięciem, mogłoby przychudnąć!...

Te słowa Klameczyny wzięła zaraz do serca

dziewka; porwała nóż, postrzyła go na progu; potem chwyciła indyczkę między kolana, jedną ręką wyciągnęła jej szyję ku górze, drugą zaś, uzbrojoną nożem, pociągnęła po gardle ptaka; narazie brocząca we krwi indyczkę cisnęła na ziemię pomiędzy wałęsające się gęsi, które z przerażeniem odskoczyły; ale gąsior ze sykiem i złością doskoczył, a drgające w mękach konania ciało jeszcze dotkliwie uszczypnął.

Nie jestże to dramatem?

Atoli na rok następny w gromadce niezjedzonych i na chów pozostawionych kurcząt wyrósł też młody, pełen nadziei kogutek; istny ojculek. I on miał ubarwienie lśniące, słomkowo-żółte, a ogon czarny i buńczuczną postać.

W późnej jesieni syn z ojcem spotykali się bardzo często na śmieciach przed kurnikiem, spiCHRZEM lub stajnią; bez czubienia się nie obeszło, lecz krwawe zatargi nigdy nie miały miejsca, ponieważ syn zwykle ustępował, ilekroć się zbliżył pan ojciec, a do kokoszek też przystępował zdaleka i bardzo ostrożnie. W zimie zdawało się, iż jednolita dotąd kurza rodzina dozna niezawodnego rozdwojenia. Jednakże na wiosnę sprawa się zupełnie wyjaśniła. Ta pora roku zdaje się sprzyjać wszelkim politycznym manewrom, bo za ledwie jednego pięknego dnia syn z ojcem spotkali się na śmietniku, a już wybuchnęły przez jesień oraz przez zimę tłumione niesnaski. Stary kogut był stroną zaczepiającą; ale

młody tą razą już nie uchodził, przyjął wyzwanie i stoczył jedną z najkrwawszych bitew. Stary doznał najsromotniejszej porażki: z rozkrwawionym grzebieniem i bokobrodami, z szyją prawie pozbawioną świetnego pierza, z sińcami na gardzieli, z opuszczonemi na dół skrzydłami uchodził ów niegdy bohater; on zdawał się zrzekać zaszczytnych praw swoich. Młody jednakże, jakkolwiek zziajany i uznojony w trudach walki, ścigał przeciwnika, zadając mu i w ucieczce straszliwe ciosy. Zgnębiony kogut przypadł pod parkan, z którego niegdy brzmiało jego wspaniałe pianie, i tu przycupnął, ranami okryty, krwią swoją rosząc murawę. Zwycięzca rączo przyskoczył do niego, w zboliałą głowę począł niemiłosiernie kuć twardym dziobem, pokonanego kopał nogami. Stary kogut miał już teraz zaledwie tyle siły, że się z trudem podźwignął i przecisnął głowę pomiędzy sztachety, na łup już wydając wrogowi pozostałą a mniej wrażliwą resztę swego ciała.

Odtąd zniknęła butność starego koguta, a rozpoczęły się zupełnie inne rządy między kurami.

Podczas brakowania drobiu w kurniku Klamczyna rzekła:

— To stare kogucisko bez ogona trza wywieść na targ i sprzedać; od kur już on coś stroni, a na stół się nie zda, bo musi mieć twarde mięso! Taki prawie dla żydów...

— Rzetelna prawda!—zawołała dziewczka.

Pojmano więc starego koguta, związano mu w przykry sposób skrzydła oraz nogi, zapakowano w kosz razem z kilku starami kurami, które jaj nie niosły, wywieziono na targ do Chmielnika i żydom na rzeź sprzedano.

Dłuższe lub krótsze życie zwierząt na podwórzu, ich byt oraz niebyt, zależały głównie od wyobrażeń Klameczyny. W tym stanie rzeczy, za bobon mógł być nieraz dla owych zwierząt zabienny, pozytywna prawda—zgubną.

— Mnóście się, abym was mogła dużo zabić!—było zasadą téj niewiasty.

Macierzyństwo głównie popłaca przy chowie drobiu, ojcowstwo—o tyle, o ile budzi macierzyńskie uczucia w osobnikach żeńskich. Wiele bab wiejskich obywało się w naszej wiosce bez kogutów, kaczorów i gąsiorów; chowały one tylko kury, kaczki i gęsi, a mimo to, doczekały się zawsze kurecząt, kacząt i gąsiąt. Ten system pożyczania ojców w okolicy, nawet dla zwierząt wyżej uorganizowanych, jak: konie; krowy i t. d. nie przyczynia się wcale do wykształcenia uczuć ojcowskich u zwierząt domowych.

Jako matka, sławną była na folwarku pewna dziesięcioletnia kura, która wylęgiwała i wychowywała w różnych latach z kolei stada kurecząt, kacząt, indycząt i młodych perliczek. Gdy ję się zebrało na macierzyństwo, siedziałyby nawet na orzechach lub kamieniach, a wodziłyby i szcze-

nięta, gdyby jój słuchały. Dobrze to było stworzenie owa ulubienica Klameczyny!

Pomijając nieliczne wyjątki, płeć żeńska w ogóle zawsze się do warunków przystosowuje łatwiej, niż męzka. Opisane powyżej wypadki z indykiem i kogutami nie są bynajmniej odosobnione na naszym folwarcznym podwórzu, jak świadczy następujące opowiadanie:

Dzisiaj po podwórzu, głównie w okolicy studni, łazi gromada brudnych podlotów kaczek, kłapią się one po kałużach, chlipią nieczystą wodę, — jak szarańcza dziurami wkradają się do ogrodu, robią wycieczki aż za stodołę w jęczmień, a wszystko niszczeje, znika, czego dotknie ich dziób płaski. Kaczki te co chwila są w innym miejscu, odbywają nieustanne wędrówki z piskiem i z szyjami naprzód wyciągniętymi, zawsze żądne używania.

— Czysta plaga egipska to tałałajstwo!...—mówił nieraz zgoryczony pan dzierzawca.

Ale Klameczyna dałaby się raczej ukrzyżować, niż rzec przyjemności chowania kaczek.

Owo stadko kaczek oprowadza matka kaczka, a losy ojca kaczora są nader ciekawe. Nieboszczyk kaczor posiadał właściwość, która go zaprowadziła na męczeński rożen. Był to piękny ptak. U ludzi wdzięki niewieście są pospolite, za to u ptaków głównie płeć męzka odznacza się niezmiernie powabną powierzchownością. Kaczor, aż świecił różnemi piórkami na głowie, szyi,

w skrzydłach, ogonie. Jako mąż, zadawałniał on do pewnego stopnia wyobrażenia Klameczyny. Jeszcze jakoś w marcu folwarczne kaczki poczęły nieść jaja, a w kwietniu zabrały się do mozolnych obowiązków wysiadywania jaj na gnieździe. I, aż po chwilę wylęgnięcia się kacząt, nasz kaczor był w porządku. Dopiero, gdy się posypał drobiazg, kiedy owo maleństwo mniej więcej kanarkowej barwy wyległo już przed dom, a poczęło zajadać z chciwością siekaninę jaj, twaróg, kaszę jęczmienną tajoną, zdjęła pana ojca dziwna jakaś złość. Jak to, takie pędraki, nie dokładając żadnych starań, mają jednak życie o wiele wygodniejsze, niż on stary, któremu w korytku podają tylko nieco siczki z zielonych chwastów, a resztę niezadowolnionego apetytu musi on zaspakajać własną ciężką pracą, nurkując prawie przez cały dzień po strumieniu i innych kałużach!... Te, lub do tych podobne uwagi, musiały się nastęczać kaczorowi na widok liczego potomstwa, w którym on z praktycznego punktu widzenia upatrywał jedynie nowych współzawodników w ciężkiej już i tak walce o byt. W pierwotnym urządzeniu przyrody prawa ojca są srogie; według nich, dzieci stanowią własność, z którą można zrobić, co się podoba, więc i zniszczyć.

Kiedy więc nasz kaczor spotkał po raz pierwszy swoją małżonkę, otoczoną mnóstwem piszczących i już od niemowlęctwa wszędzie wścibiają-

cych się dzieci, nie uczuwał w sobie bynajmniej rozkoszy rodzica kaczego gatunku. Był jakiś zły i markotny, a w przystępie nastroju owych uczuć uderzył dziobem potężnie w łeb małe dziecko, które się też natychmiast przewróciło, fiknęło nożynami i wyzionęło ducha. Matka poskoczyła szybko na ratunek pisklęcia, dotykała go, zaklinała je głosem, aby zmartwychwstało, — wszystko na nic się nie zdało. Możeby była nawet stoczyła walkę z dzieciobójcą a swoim mężem, ale ten odwrócił się czempredzój i, unosząc otyły organizm na krótkich nogach, a rozmawiając półgłosem jakby ze sobą samym, pospieszył na kałużę, gdzie napił się wody, plusnął nurka i zapuściwszy szyję pod wodę, począł czerpać źródła życia ze spokojnym sumieniem.

Klameczyna, spostrzegłszy martwe kaczę przed samym progiem kuchni, wzięła je do ręki i pilnie robiła obdukcję. Przed baczny okiem gospodyni nie uszło, że pisklę ma jakiś spuchnięty łebek i powieki na oczach krwią zasze; lecz cóż za przyczyna tego?... Czy aby nie zaraza jaka pada w tym roku na kaczki?... Mówią o końcu świata, o cholercie na ludzi, może się od kaczek zacznie...

Snując w umyśle swoim te poważne rozważania, Klameczyna weszła do kuchni i nieżywe kacę położyła na kominie. Przychodziły dziewczki i każda po kolei oglądała zmarłego noworodka, robiąc stosowne uwagi co do przyczyny śmierci.

Kaczor uszedł przed sprawiedliwością ludzką, jak każdy złoczyńca, który dzieła swoje umie ukrywać.

W parę dni na kałuży znowu znaleziono nieżywe kaczątko; pływało ono do góry nogami, mając rozkrzyżowane skrzydełka.

— Z czego te niebożątka tak marnieją?—mówiła Klameczyna, stojąc otoczona dziewczkami. — Musi zaraza je tknęła...

— Mógł kto urzeknąć!... Takie to milusienkie, na psa urok!—zawołała jedna z dziewczynek.

Klameczyna kręciła głową, będąc już w połowie przekonaną o istnieniu zarazy.

— Dyć nie zawadzi odezynieć kaczątom uroku.—Mówiła dziewczka.—A nie, to mogą wyzdychać co do nogi...

— Oj, nie dziwiłabym się małej jakiej dziewczynie, ale stare takie a głupie dziewczysko plecie aż strach bierze!—rzekła Klameczyna. — Nie, pedam ci wyraźnie, że zaraza!

— Cegós na mnie štunderujecie?...—odmruknęła dziewczka.—Nie mogli to oziorać? Czy to odcynienie uroku wadzi zarazie?

— Idźże suko, żebyś cię nie trzasła! — krzyknie Klameczyna, urażona opozycją.—Życie człowiekowi zmierznie z takim głupim narodem.

Znowu nazajutrz w korytku, przeznaczoném dla kaczek, znaleziono martwe kaczątko.

Klameczyna rozpatrzyła uważnie trupa, pokiwała głową, poczem zawołała psa Satyra i rzuciła mu nieżywe stworzenie pod nogi; pies powąchał

tylko zwłoki, popatrzył na gospodynię, czy ta przypadkiem nie kpi z niego i odszedł. Jak miał jeść rzecz bardzo podobną do kłaka waty?

— Pewnikiem zaraza, kiej psi nawet jeść nie chcą.—Powiedziała spokojnie gospodyni.

— Świnia toby chyciła.—Odezwała się obecna tu dziewczka.

— A nie wiesz, głupia, że od tego dostałaby węgrów na wnętrzu?...

Trzeba wiedzieć, że był na folwarku parobek Ocył, który bardzo często chorował i wtedy nie szedł do roboty, lecz się wylegiwał w stajni, albo, jeśli go zimno tłuło, zawlókł się pod kuchnię i wygrzewał się przy ścianie do słońka.

Otóż, właśnie kiedy kaczor pozbawiał życia już trzeciego z rzędu swego potomka przez uderzenie w łeb dziobem, parobek go podpatrzył. Jednakże chłop ten miał naturę milczącą i Klameczynie nie powiedział o tém ani słówka, choć widział, jak baba podniosła z ziemi kaczę, chuchała na nie, frasowała się śmiercią, nie wiedząc, czemu przypisać pomorek.

— Co mi ta po tém wtrącać się w nieswoje rzeczy. Niech sama pilnuje gadziny! — myślał Ocył.

Dopiero podczas kolacyi, na którą téż przybył i Ocył, mimo choroby, kiedy się parobcy zebrali i gdy prowadzono ogólną rozmowę o zmieraniu kacząt, milczący chłop poszepnął któremuś towa-

rzyszowi na ucho, że to kaczor zabija kaczęta a nie żadna zaraza.

— Słyszycie wy, Klameczyna,— rzecze parobek, który właśnie co tylko posiadał tajemnicę, — Ocył peda, co widział, jak kaczor zabija te młodziaki.

— No, nie mruk to, sobacza!—zawołała Klameczyna. Widział, jakom się markociła, a pyska nie rozdzawił...

— Nie wiecie to, jaki on mówny?... — rzekł z przekąsem inny fornał. — Można mu kołki na łbie ciosać, a on dechu z siebie nie puści.

— Zacieczony heciak! — mruzczała dziewczka, ze złością spoglądając na Ocyła, który już potem ani słówka nie pisnął.

Klameczyna nie mogła wytrzymać; taka ją złość porwała na kaczora, że natychmiast poszła do swojej pani i w najczarniejszych barwach przedstawiła występnego ojca. Jeszcze tego samego wieczora opiekunka drobiu własnoręcznie porwała kaczora z kurnika i własnoręcznie poderznęła mu gardło. Odtąd kaczęta rozwijały się jaknajkorzystniej.

Na nogach kabłąkowatych, jakie czasem spotkać można u kawalerzystów, przechadzało się też po folwarczném podwórzu stado gęsi. Dobre te towarzyskie stworzenia szczypały trawę, niektóre z nich przysiadły na ziemię i chowały dzioby pod skrzydła, a inne znów unosiły skrzydła, jakby z nudów. Pomiędzy gęsiami prowadził się nieustanny dyskurs, już to cichszy, pis-

kliwym głosem, już znowu donośniejszym, czemu towarzyszyło wyciąganie długich szyj i jakoby dotykanie się dziobem. Czasem pojawiał się tu rozgłośny wrzask gęsi; bo jeśli jedna się odezwała, pokrzykując chrapliwie: „Ra! ra! ra!” Inne w ślad za nią poczynwały wrzeszczeć. I robił się wtedy niezmierny zgiełk na podwórzu, gdyż do-broduszne, niebieskookie gąski umiały wybornie krzyczeć.

Z gęsią płcią męzką bywało na folwarku nie mniej kłopotów, co z taką płcią kurzą i kaczą.

Pozostawiony w jesieni na chowanie, gąsior przechował był koczowniczego ducha swoich przodków, wyprowadzał gąski w pole na oziminy, na łąki, a kiedy im po podskubaniu odrosło pierze, wówczas niejednokrotnie puszczano się na wyprawy powietrzem. Nieraz owczarz i pasterze w pogodny dzień październikowy widzieli stado gęsi, prujących z krzykiem powietrzne szlaki, i mówili między sobą:

— Ooo! Patrzenie, zwydrzyły się dworskie gęsi i latają na skraj świata, nikiiej dzikusy!

Z powodu takich latanin było parę przykrych wypadków; mianowicie też zajmowano gęsi z oziminy do dworów wsi ościennych, a raz nawet ktoś użył broni palnej i parę sztuk zabito. Wszystko to kosztowało dużo krwi Klameczyne, jednakże przeboleła ona jakoś owe straty, a dalszym awanturom zaradziła przez wyrwanie gąsiorowi lotek ze skrzydeł.

Nareszcie nadeszła zima, pora roku, z którą się ściśle liczy wszelkie żywe stworzenie. Klamczyna obliczyła już była skrupulatnie, że co najmniej jeden gąsior przypada na dziesięć co najwięcej gęsi, jeżeli rozplód ma być dobry, a próżniaków się darmo przez zimę nie karmi. Zasady więc owęj przestrzegała ona święcie. O ileby atoli gąsior oddawał gdzieś na boku u obcych ludzi usługi, o tyle, naturalnie, zmniejszyłaby się ilość dworskich jaj i następnie gąsiąt. Głównymi nieprzyjaciołmi dworu pod tym względem były różne chłopskie chaty, wychowujące gęsi a nieposiadające gąsiorów. I o tém dobrze wiedziała Klamczyna, że się gąsiora cichaczem pożyczają; ale wśród licznych zajęć domowych, gdy się ma na głowie kuchnię, kurnik i chlewy, mnóstwo bydła i ludzi, trudno wszystkiego należycie dopilnować. Różne stada gęsi schodzą się niekiedy tak, jak różne zbiorowiska ludzi — na jakimś wspólném dla wszystkich pastwisku, Jeżeli w takim razie małą jest ogólna ilość gąsiorów, wtedy gąsiory dominują i mogą one sobie wybierać takie gąski, jakie im się tylko podoba.

Powiadają, że pragnienie różnaitości wywołuje przeniewierstwo u mężów i kochanków. Jeżeli tak jest w świecie ludzi, to nie należy podobnegoż pragnienia brać za złe i gąsiorom.

Nasz gąsior dworski, ilekroć dostał się nadstrumień, lub w ogóle na jakiś plac publiczny, bardzo chętnie w pewnej porze roku przechodził do cudzego stada i nadskakiwał gęsiom, niemającym

w towarzystwie swoim gąsiora. Nie obeszło się zapewne bez tego, żeby go takie gąski nie kometowały w rozmaity sposób: wzrokiem, głosem szyjką, nóżką, kuperkiem. Każdy konkurujący, zabrawszy raz znajomość z panią swojego serca, nie opuszcza jęj odrazu; a gąsior miał nieraz pań takich kilka w cudzém stadku. Kiedy więc wszedł w stosunki z nieznanomi sobie dotychczas gęsiami, to już pod wieczór odprowadzał je zwykle do domu, jako grzeczny kawaler. Właścicielka gęsi, nietylko z uprzejmością wpuszczała takiego galanta na swoje podwórko, lecz mu nawet gościnnie udzielała noclegu pod dachem jakiego gęsięgo apartamentu. I to właśnie, według wyobrażeń Klameczyny, było „szelmostwem” ze strony takiej właścicielki gęsi bez gąsiora. Bo każdy przecież trzyma gąsiora dla własnych gęsi nie dla cudzych.

Żeby to we wsi była jedna tylko taka właścicielka! Większość ich czyhała na dworskiego gąsiora.

Wprawdzie kilka razy spostrzeżono pod wieczór, iż dworskiego gąsiora brakuje; lecz któż mógł wiedzieć, gdzie on się na nocleg zaprosił? Tam zapewne, gdzie oczekiwał przyjemności większych, niż w swoim domu. Ten gąsior formalnie odrabiał na wsi serwitut.

Zwróciła się Klameczyna jednego razu do pana dzierżawcy, nalegając nań, aby sprawę o gąsiora zaskarżył przed sądem gminnym; ale obywatel ów przedstawiał jęj, że prawodawstwo nie prze-

widziało wypadków przestępstwa tego rodzaju, jak zajście o gąsiora — że więc kompromitować się nie wypada.

O pożyczanie dworskiego gąsiora podejrzywano różne baby we wsi, lecz głównie czynną na tym punkcie miała być Stachowa Budzina. Dziewki dworskie donosiły Klameczynie, jako owa Budzina nęciła i kusiła gąsiora wszelkimi sposobami, — że mu pod sam nos prawie naganiała gęsi, rzucała dla zachęty ziarno, a nawet gwałtem wpędzała go na swoje podwórko i potem zamykała w stajence z gęsiami.

W samym końcu marca pokazało się, że ilość jaj gęsi jest na folwarku nadzwyczajnie mała, że więc i gąsiąt będzie niewiele; wtedy to rozżalona Klameczyna odgrażała się wobec kuchennej czeladzi, iż nigdy nie daruje Budzinie nikczemnego podstępu:

— Złodziejskie nasienie jedno, pożałuje ona i popamięta! Jak kajniebądź napotkam, zwołam, na czém świat stoi!

— To się jój słusznie przynależy! — podzęgały dziewczki. — Dyc trza takięj dać naukę na upamiętanie.

Klameczyna szukała spotkania i okazji z Budziną, której chałupa była bardzo blisko od dworu; ale Budzina widocznie poczuwała się do winy ilekroć ujrzała dworską gospodynię, spieszenie uchodziła do chałupy. Już w kwietniu jednego słonecznego dnia spotkały się dwa stada gęsi

nad strumieniem, na błoni: były to gąsięta Budziny i gąsięta dworskie, tym ostatnim nieodstępnie towarzyszył gąsior; przy pierwszych znajdowały się tylko matki. Jakimś przypadkiem przyszło do starcia pomiędzy matkami obu stad. Czy nasz gąsior znajdował się wtedy w drażliwym położeniu, po której stronie stanąć, tego nie wiemy; ale dosyć, że wpadł pomiędzy chłopskie gęsi, syczał w okrutnej złości, rozbijał gąsięta i rozpędzał matki w stadzie Budziny. Kobięta wybiegła z chałupy, porwała pręta, wymierzyła gąsiorowi kilka razów i przywróciła rzeczy do porządku. Dziewki niebawem dały znać Klamczynie o wszystkiem co zaszło, a Klamczyna nie omieszkała pospieszyć nad strumień. Obie baby spojrzały teraz na siebie tak, aż im się ogień z oczu posypał, a pierwsza Klamczyna otwarła usta, wołając:

— Nie potrzebujecie teraz zamykać gąsiora w chlewiku, przygnali wam go na błonie, żeby pilnował gąsiąt od wron! To wszystko jego dzieci...

— Co mi ta po dworskim gąsiorze, ja sama umiem dopilnować gęsi,—odrzekła Budzina.

— Tyło go potrzebujecie na zimę, coby swego nie żywić, a po trzech gęsiach mieć więcej przychówku, niż dwór ma po dziesięciu.

— Chce wam się, widzę, na mnie wyszecekać!—krzyknęła Budzina.—Wiem ja, wiem, o co chodzi! Nie o gąsiora, ino o chłopca! Złiście na

mnie bez to, co mój, kiej był parobkiem, zalecał się do was, tylo mu pan ojciec nie dozwolili pobrać się z takim wycieruchem.

— Jaka to dzimdzia!... A juści musieli pan ojciec kazować twojemu, coby się żenił z tobą; bobyś to bez takiego przymusu dostała chłopca! Ktoby z dobrej woli chciał sobie brać do chałupy takie popychadło? — wywoływała Klameczyna.

Atoli Budzina zapędziła czempredzėj gęsi do chaty, pozostawiając dworską gospodynię na pastwę własnych mściwych uczuć.

Przedewszystkiém Klameczyna dopadła teraz gąsiora i osmagala go potężnie prętem.

Kiedy stadko folwarcznych gęsi już podrosło, podano do wiadomości wszystkim ludziom we wsi, że we dworze jest do sprzedania gąsior. Jako kandydat do kupna zgłosił się pachciarz Mosiek, który, z powodu jakiejś religijnej uroczystości, potrzebował właśnie na stół swój gęsiego mięsa. Z zachowaniem więc wszelkich form oraz ceremonij, rzezania podług starego zakonu, odebrano życie gąsiorowi w izraelskim domu.

Ale w kilka dni potém Moškowa przybyła do kuchni z pretensyami i wyrzekała wobec Klameczyny:

— Ny, ten wasz gąsior miał być taki dobry, a on się cały dzień gotował i ciągle był surowy.

— Nie surowy, ino kwardy, bo stary!—odrzekła gospodyni —i bez to go sprzedali... Mogliście dobrze wykosierować, toby był rozmiękl.

W poligamii, podobnie jak w monogamii, miłość ostatecznie weześniej czy później przynosi zgubę. Jakimże innym kosztem możnaby było spłacić dług za krótkie chwile tak znacznych przyjemności? Przyjemność owa stanowi przynętę, bez której nie istniałyby ani poligamiczne, ani monogamiczne rodziny. Nie mieć rodziny, a używać przyjemności, jest to postępować karygodnie.

Przy bramie, wiodącej do stodół, na topoli jest gniazdo bocianie, które tu istnieje tak dawno, że i najstarsi we wsi ludzie już je pamiętają. Trzeba chyba przypuścić, iż prawo spadkowe nie jest obce bocianom i że po rodzicach dzieci biorą w posiadanie rodzinne gniazdo, z zachowaniem służebności pasania po okolicznych łąkach.

Otóż, pod koniec marca zasiadła na gnieździe para tych długonogich i długodziobych ptaków. Stanąwszy na starożytném gnieździe tradycyi, zwrócenii przodem ku sobie, posiadacze kiwali się, klekotali, rozpościerali skrzydła, słowem—odprawiali coś w rodzaju obrzędu zajęcia i poświęcenia domu; a może były to poprostu miłosne zaręczyny.

Niejeden dom swój poświęcił, a wygnano go na ulicę; niejeden się zaręczył, a musiał się rozwodzić!

W każdój miejscowości istnieje mnóstwo ludzi, obojętnych na zjawiska powszednie; ale zawsze się znajdzie w tém mnóstwie jakiś człowiek, który zjawiska podgląda i wyprowadza stąd mniej albo

więcej prawdopodobne uogólnienia. Inaczej, nigdybyśmy nie wiedzieli np., czy w takim a takim roku bociany wyrzuciły z gniazda jaja lub pisklęta, czy nie wyrzuciły. Bo gdzie tam kto ma ochotę chodzić codzień w pokrzywy i patrzeć, co się dzieje pod bocianiem gniazdem!... Ogół spogląda na takich obserwatorów z lekceważeniem i uważa ich za próżniaków. Tak było i na folwarku naszym, gdzie wysokimi zagadnieniami bytu zajmował się znany nam już parobek Ocył. Miał on talent spostrzegania różnaitości we wschodzeniu i zachodzeniu słońca, rozróżniania górnego lub niskiego lotu jaskótek, — wielkiej lub małej ilości much, białych motyli, chrabąszczów, polnych myszy, komarów, świerszczów i t. d. A z tego wszystkiego w cichości ducha budował sobie wnioski, biorąc nieraz skutek za przyczynę, czyli — błędząc. Niepoń do roboty praktycznej, był teoretycznym myślicielem. Kiedy chorował, lub odpoczywał w święto, siedział pod ścianą kuchni i wpatrywał się w bocianie gniazdo. Co on tam mógł widzieć?...

Dzięki takim obserwacyom, znamy dramat bocianiego gniazda.

Para przybyłych bocianów w jak najlepszej harmonii wyreparowała stare gniazdo, uszkodzone przez zimowe burze, poczem osobnik żeński naniósł tu jaj i rozpoczął ich wylęganie.

W r. 1886 już się zbliżała Wielkanoc, a w wyobrażeniach niektórych ludzi nadechodził koniec

świata, zapowiedziany na dzień świętego Marka, kiedy na folwark przyleciał jakiś trzeci, bardzo okazały bocian. Przez chwilę krążył on około gniazda, zajętego przez samicę, wysiadującą na jajach; potem zasiadł na śpichrzu, zaklekotał, rozejrzał się po podwórzu pełném drobiu; nareszcie porwał się na skrzydłach i napadł gniazdo. Zawrzała walka z matką jaj; szum skrzydeł, uderzenia dziobów oraz pisk świadczyły o bardzo zaciętym boju ptaków. Nietylko gniazdo było polem owéj bitwy, ale i przestwór powietrza, dach śpichrza i stodoły. Walczące na śmierć ze sobą bociany spadły nawet na ziemię i na tyłach śpichrza, w gąszczu kukurydzy, garściami darły ze siebie pierze. Tryumf był po stronie przybysza, który, pokonawszy matkę, zaleciał na gniazdo i powyrzucał stąd wszystkie jaja, podczas gdy zwyciężona bocianka stała na szczycie stodoły, nie mając widocznie chęci narażania się na ponowną walkę.

Niebawem nadleciał ojciec i dotychczasowy dziedzic gniazda; zaledwie okiem rzucił, a już ocenił zaszczytne wypadki, spostrzegł swoje wywłaszczenie. Przypadł więc do gniazda i rozpoczął walkę z roślejszym, silniejszym widocznie przywłaszczycielem. Bitwa między płcią męzką zdawała się być mniej zażartą, niż poprzednia, a rezultatem jéj było, że ojciec jaj, powyrzucanych z gniazda, ustąpił, podobnie jak przedtém ustąpiła jego małżonka; zwycięzca pozbawił go nawet już i tak krótkiego ogona.

Było to zrana, a już przed wieczorem owa zwyciężona i na łeb pobita samica, stała na gnieździe w towarzystwie zwyciężkiego przybysza: oboje wesoło klekotali, jakby zażyli przyjaciele; owdowiały zaś małżonek siedział teraz na szczycie stodoły, gdzie też samotnie noc przepędził. Musiał być smutny, bo jakby się miał weselić, straciwszy jednego dnia ogon, żonę, oraz nadzieję odrodzenia się w potomstwie.

Jeszcze w lipcu można było widzieć kusego bociana, przechadzającego się po łąkach, lub odbywającego noclegi na dachu stodoły; żona jego żyła w jak najlepszej komitywie ze szczęśliwym zwycięzcą: gniazdo co chwila brzmiało wesołością. Ale w tym roku, w bocianiém gnieździe jaj wcale nie było; niemniej nowa para małżonków widocznie okazywała sobie nawzajem nadzwyczajną tkliwość. Miałażby bezdzietność zwiększać siłę uczuć małżeńskich? Podobno tak bywa.

Zachodzi pytanie: czy prawym małżonkiem bocianki był ojciec wyrzuconych jaj, razem z nią przybyły w marcu na gniazdo? Czy też później przybyły bocian przydługo tułał się gdzieś za granicą, a niecierpliwa żonka zwabiła sobie tymczasem gacha, który w następstwie musiał ustąpić miejsca prawemu małżonkowi?

Ha, może po stronie nowo przybyłego stało jedynie prawo siły! Wszędzie na jednym końcu jest prawość, na drugim—nieprawość.

To pewna, iż odtąd prawym małżonkiem i po-

siadaczem gniazda stał się tryumfujący bocian z ogonem; bocian kusy w pewnych okolicznościach mógłby być znowu postawić swą kandydaturę na prawego dziedzica i małżonka.

Zresztą, wiemy, iż dziwne gusta miewa czasami płeć żeńska; być może, iż utrata ozdoby takiej jak ogon, wpłynęła na zdecydowanie się bocianki w wyborze małżonka.

Ten kusy bocian nie znalazł nawet współczucia; był on pośmiewiskiem ludzi; kiedy przylatywał na stodołę, wytykano go palcami, a po błoniach pasterze go prześladowali, ścigając i szczując psami.

Ciekawa rzecz, czy na rok przyszły powróci do gniazda?

Więc na tém, pozornie tak spokojném podwórzu, zapełnioném przez kury, perlice, indyki, kaczki, gęsi, gołębie, wróble, odbywały się dramata, które w świecie ludzkim zakrwawiają nieraz serce. I tutaj życie ciężkie płynęło pod sztandarem głodu oraz miłości, a w imię tych uczuć zawsze ktoś kogoś ścigał, dręczył, ograbiał, zabijał.

Podobnie jak o bocianów, mało się téż ludzie na folwarku troszczyli i o gołębie; gnieździły się one, gdzie mogły: w kurniku, w stajni, w oborze; nie miały oddzielnego lokalu, więc, jak biedni ludzie, mieszkwały u innych stworzeń na komornem i to po różnych dziurach pod strzechą, lub za stragarzami. Istoty te, będące prawie wyłącznie

na łasce Boskiej Opatrzności, rozmnożyły się tu z czasem i wielka ich ilość uwijała się po podwórzu oraz po dachach dworskich wszech zabudowań. Świegot wróbli, gdakanie kur, śpiewny krzyk perlic: „cin-ciak! cin-ciak!” wrzask gęsi, klekotanie bocianów, gruchanie gołębi i t. d., były to niezrozumiałe dla ludzi objawy życia trosk, utrapień i chwilowych zadowolnień. Trudno uchwycić harmonią téj opery, a harmonia przecież być musi.

Okazałe, garłate i brzuchate gołębie samce, kręcąc się w kółko, obchodziły wirowato dokoła szczuplejszych samiczek, jak planety obiegają wkoło słońca; szczególne są miny gołębi, podbijających serca płci żeńskiej: te ptaki stają się błaznami, popadają prawie w szaleństwo z miłości. A owe zabawne konkury nie spowszednieją żadnej, nawet sędziwej gołębiczy. Każda to lubi, każda ma w mężu swoim trubadura i baletnika. Zaloty ludzkie podobne są do gołębiich z pozoru, bo w ostatnich tkwi bez porównania więcej szczerości: te błazeństwa ptaków są naiwne, — ludzkie polegają na udawaniu.

W kurniku, gdzie częstokroć kilka kur siedziało na jajach, gdzie znowu inne kury po kątach nie sły jaja, można było słyszeć pod powałą piszczenie gołębiich dzieci, lub widzieć gołębicę naprzemian z gołębiem wylęgającą gołębięta.

Na owo to terytoryum zachodził niekiedy z nadzwyczajną ostrożnością duży czarny kot, wycho-

waniec chłopskiej chałupy. Były i we dworze dwa koty: jeden biały, drugi czarny; lecz o nich można powiedzieć, że oddawna zrzekły się zwyczajów barbarzyńskiego sposobu życia swych przodków. Te tłuste pieszczochy wysypiały się na łózkach, kanapach, krzeselkach, żyły z psami w jak najlepszych stosunkach, a u ludzi nie popadły nigdy w podejrzenie. Plondrujący zaś po kurniku i po innych budynkach kot był nawpół dziki, nieprzystępny dla idei cywilizacyjnego życia. W chałupie, gdzie się wychował, gdzie był stałym lokatorem, jeść mu nie dawano, ponieważ gospodarz jego sam jeść co nie miał. Że zaś kot w chacie owój z przyległościami wyłowił wszystkie, jakie były myszy, przeto domu mógł tylko używać o tyle, o ile mu się spać chciało. Choćby w tej chałupie było nawet co ukraść, nie opłaciłoby się, bo gospodarz i gospodyni sprawili mu kilka razy takie wwały, że sam widok jakiegóż smaczkowitój rzeczy w tém miejscu nabawiał go formalnego wstrętu. Szedł kot zatém w szeroki świat boży; a jeśli miał zamiary przywłaszczania sobie cudzych rzeczy, to gdzież iść, jak nie do dworu? We dworze i o myszy było łatwiej, gdyż miejscowym kotom przez myśl nawet nie przeszło, aby zużywać energią na takie mało produkcyjne polowanie. Zresztą, myszy z konieczności trudnią się téż złodziejstwem, a gdzież chwytac złodziei, jeśli nie w zasobnej komorze? Dwór, ten środek, pełen ruchliwego życia, nęci zarówno robotnika,

jak złodzieja i żebraka. Tutaj w stodołach, na dworskiem ziarnie, karmiły się setki młodych, jak kluski pulchnych, wróbelków, które piskiem same zdawały się dopraszać, aby je kto zabrał. Taki łowca, kot szczwany, znał na wylot wszystkie dziury; wiedział, któredy się zakraść i któredy zmykać. O zmroku można go było widzieć, jak pomykał przez drogę, czając się po wszystkich przykopach i rowach, a co chwila ciskając dokoła niespokojne oczy za każdym ruchem, bodaj chrabąszcz brzęknął lub zmierzchny motyl furknął. Idąc tak bacznie, dostawał się czarny kot w istny las bulw, rosnących za dworem, i tu przesuwiał się z całą zręcznością akrobata: żadne stworzenie nie posłyszało jego chodu. Jeżeli po drodze wypadło się zacząć i pochwycić jaką zdobycz, wykonywał on to z wielką dokładnością.

Kot wybierał się w różnych porach dnia na swoje wyprawy, a prawie zawsze go spostrzeżono; jeśli go nie zauważyli ludzie, to niezawodnie spostrzegły kury, gołębie, indyki, wróble i t. d. Sygnał niebezpieczeństwa rozchodził się wśród ptastwa i wszystko zachowywało się odpowiednio.

Raz po południu wszedł był czarny kot do kurnika, gdzie przywarował, ponieważ zdało mu się, iż mysz przebywa pod koszykiem, w którym siedziała kwoka ze swoim, dopiero co wylęglém maleństwem; istotnie, mysz tam była i od czasu do czasu wysuwała się, aby pochwycić ziarnko rozsypanej kaszy jaglanej. Kot poskoczył, lecz

mysz uciekła. Dopiero z gniazda porwała się wściekła kwoka i ze strasznym krzykiem uderzyła na kota, a była tak natarczywa, że biédak nie miał nawet czasu na ucieczkę; posypały się teraz na niego bolesne ciosy dzioba i dotkliwe uderzenia skrzydłami, co wyszło na zadawanie kułaków pod żebra i między oczy! Zgiełk walki wzruszył inne kury w kurniku i rozległo się rozgłośnie: „gda gda gda gdaa!”

Próbował walczyć, ale rozjuszona kura często wała go tak gęstym gradem pocisków, że nie mógł przyjść do siebie; zaledwie wydarł z niej nieco pierza, które mu obległo język i podniebienie.

Z biędą nareszcie wydostał się na ścianę, a i tu, gdy się wspinał, kura, podlatując w górę, jeszcze go razila. Srogo poturbowany, uszedł przez dziurę. Kot odprzysiągł się wtedy prawdopodobnie zachodzenia do kurnika, ale konieczność rządziła jego zamiarami, a nie chwilowe usposobienie woli. Przecież, oprócz awanturnicznych kwok, były także w kurniku dobroduszne gołębie, z którymi sprawa o wiele łatwiejsza; spożycie zaś tłustego gołąbka, będącego w pałkach na wylocie, warte było dla kota znacznie więcej, niż jakieś tam kilka sztuk myszy.

I nadal przeto zabiegał czarny kot do kurnika, a gdy mu się w kurniku łowy nie udały, wówczas chyłkiem wymykał się dziurami i poprzez chwasty, porastające na obu piwnicach, podążał

dalej między dworskie budynki; zatrzymywał on się pod topolą, obfitującą we wróble gniazda, posłuchał tu ptasiego świegotania, inrużąc swe oczy bursztynowej barwy i spieszył dalej. Szedł następnie, plondrując, pod przyciesi śpichrza, gdzie miewał spotkania z różnemi stworzeniami, prowadzącymi cichy żywot w ciemnościach. Zpod śpichrza przemykał znowu około parkanu, pomiędzy gospodarskimi narzędziami do stajni i obory, gdzie zwykle znajdował najlepsze ukrycie i najbezpieczniej odbywał polowanie. Jeżeli w oborze czy stajni schwytał gołębia, uchodził z nim tym samym traktem, którym tutaj przybył, to jest — pod śpichrz, w chwast na piwnicach, stąd w kurnikowe dziury, z kurnika w las bulw, a stamtąd już prosto do domowego ogniska.

Nie można powiedzieć, ażeby się w tych wędrówkach obeszło bez przygód. I najrzęczniejszy linoskok kark nieraz skręci, gdy się całe życie na szwank naraża. Nasz kot dużo przeszkód spotykał na drodze życia. Nawet we własnym domu nie był bezpieczny, bo kiedy raz powrócił z łowów, niosąc sporego gołębia, spotkała go gospodyni, łup odebrała, przyrządziła potrawę i zjadła z mężem, zostawiając zaledwie grubsze kości dla kota.

Pod śpichrzem znowu natrafił jednego dnia na gniazdo os, czy trzmielów, które go z zajadłością obsiadły; dzięki temu spotkaniu, musiał się przez kilka dni lizać, pozostając w domu na surowej dyc-

cie, ponieważ od ukąszeń tych owadów spuchł mu był łeb tak, że na oczy patrzeć nie mógł.

Inną razą zaszedł do krowiarni, gdzie mu wypadło z planu przebierać się po jakiejś źerdce, bardzo słabo przytwierdzonej do powały; ta źerdka się oberwała i kot wraz z nią spadł do cielętnika, a tu jedno z cieląt tak go kopnęło tylną racią, iż zaledwie stamtąd wyjść zdołał.

A ile on to nieraz strachu zażył wśród koni, brząkających łańcuszkami uzd przy żłobie, stukających kopytami, uzbrojonemi w podkowy i miejących ogonami! W oborze również nabawiał go ryk bydła niemalój drzączki. Cóż dopiero, gdy do takiej stajni, czy krowiarni, wchodzili różni ludzie z grubymi widocznie instynktami, miotający nieustannie przekleństwa w najokropniejszym brzmieniu słowach! Z biciem serca przesiadywał kot wtedy gdzieś w słomie, wtłoczywszy się jak można najgłębiej, aby nie być spostrzeżonym.

Atoli najgorsze były wszystkie odkryte place na podwórzu, nie dające się ominąć w przejściu z jednego budynku do drugiego; albowiem na podwórzu bardzo często wylegiwał się pies Satyr, dosyć grzeczny podobno dla kotów miejscowych, ale okrutny wróg cudzoziemców. Pies był bardzo czujny.

Z tym kondlem przyszło raz kotowi odbyć straszniejszą awanturę, o mało co nie kosztującą życia. Kiedy bowiem po daremnych poszukiwaniach powracał był czarny kot chłopski ze stajni i dla

większej ostrożności szedł poza parkanem między gęstwiną kukurydzy, dyni, słoneczników, maku i tyczkowego grochu, naraz spotkał leżącego tutaj w cieniu Satyra. Los chciał, że pies nie spał, gdyż musiał się nieustannie borykać z muchami. Satyr właśnie podniósł głowę i, ścigając okiem jakąś natrętną muchę, w strasznej złości kłapnął zębami, kiedy nasz kot cichutko wylazł zpod liści dyni i, ujrawszy niespodziewanie psa, strasznie się zmieszał... Było się czego przerazić, bo co tu zrobić? W ucieczce pies mógł z tyłu pochwycić i rozszarpać; w otwartym zaś spotkaniu, oko w oko, można było użyć pazurów i w razie konieczności dać psu nawet dobrą naukę. Satyr atoli wcale się nie zmieszał i nie namyślał, lecz raptownie poskoczył do kota, który teraz, chcąc nie chcąc, musiał stoczyć walkę. Pies z początku zdawał sobie lekceważyć pojedynek: przypadł do kota i chciał go bez ceremonii wziąć za kark. Czarny wygiął grzbiet w kabłąk i wyciął psu taki policzek, że kondel odskoczył, oblizał się tylko i łapą poskrobał po gębie, jakby chciał zerzeć przyklepionego klapsa. Skorzystał Czarnuch z owéj reiterady, w kilku susach dopadł topoli i w mgnieniu oka wdrapał się na sam prawie wierzchołek drzewa. Lecz Satyr miał w duszy zemstę, pobiegł pod topolę, usiadł tu na tyle swego ciała, a wpatrując się zjadliwie w przyczajonego między liściem kota, począł z niecierpliwością oszczekiwać.

Szło teraz o to, kto kogo przetrzyma, inaczej mówiąc — kto jest cierpliwszy.

Donośny psi głos mocno niepokoił kota; dałby on dużo za to, żeby Satyr zachowywał się spokojniej. Para rozwścieczonych oczu psa ciągle wymieniała spojrzenia z parą niepokojem błyszczących, żółtych oczu kota.

Zwinięty w kłębek i ku dołowi spoglądający, Czarnuch byłby długo może wysiadywał na topoli, atoli na szczekanie Satyra odezwał się też głośno i przywiązany w pobliżu na łańcuchu Kwiatek. Na spokojnym podwórzu zrobił się zamęt: każda sztuka drobiu zdawała się zapytywać: „Co to znaczy?“ Kury powyciągały szyje, nie wiedząc, czego oczekiwać wypada; indyki też kontemplacyjnie rozglądały się to na prawo, to na lewo; perlice znowu bez żadnego zastanowienia uchodziły co tchu w ukrycie. Właśnie z kuchni wyszła na to wszystko Klameczyna, wyniosła w fartuchu jukieś ostrużyny i rozsypała je kaczkom, nawołując: „taś taś taś!“ Szczekanie Satyra oraz rwanie się w budzie na łańcuchu Kwiatka zaniepokoiły ową niewiastę: „A może ktoś po drób się skrada!“ Z rękami przeto, założonemi na brzuchu, podeszła ku śpichrzowi i poczęła przez parkan zaglądać w kukurydzę.

Czarny kot spostrzegł niebawem, że jego położenie na topoli staje się coraz niebezpieczniejsze; na widok więc Klameczyny skoczył z topoli i, nie tracąc chwili czasu, z nadzwyczajną zręcznością

dał nura pod śpichlerz. Gdyby kot miał istotnie tehórzliwą duszę, to owo zdarzenie odczyłyoby go raz na zawsze łowów po dworskiém terytorjum. Jeżeli wszakże czyimś trybem życia jest nieustanne ryzyko, to taki musi się już ciągle narażać: Czarnuch więc polował i nadal na folwarku.

Było to w wielki piątek, roku, kiedy Wielkanoc przypadła na święty Marek, i z tego ważnego powodu na folwarku przepowiadano koniec świata.

Głównym wyznawcą oraz apostołem teoryi o tym końcu świata był nie kto inny, jeno parobek Ocył, człowiek ogromnie lekceważony przez całą inteligencyą folwarczną. Pan dzierżawca i jego polowy mawiali o Ocyłu, że jest:

-- Jucha gułaj, do niczego niezdatny!

Inni parobcy, jego koledzy, twierdzili znów, że:

— Taki się nie zda do żadnej roboty, ale potrafi śwarnie spatrzyć różne rzeczy, kieby na książce uczny.

Miał ów parobek ze trzydzieści pięć lat życia, a był taki brzydki, że wszystkie dziewczuchy we wsi brały go za przedmiot żartów, żadna zaś nigdy nie powiedziała o nim inaczej, jeno:

— Niemrawa psianoga!

Albo:

— Zatracona nijaczyna!

Wszystkie one oświadczyły wyraźnie, żeby za-

dna i za nie w świecie nie poszła za takiego chłopca, „maśkarę, byleco.“

Naprawdę nie wiadomo we wsi, jak on się rzeczywiście nazywa; sam Ocył tego nie wiedział; powiadał tylko, że kiedy za młodych lat pasał z chłopakami bydło, nazywano go wtedy Ocyłem; potem znowu zwano go od nazwiska ojca Dorobkiem, lecz to nazwisko ojca nie było też prawdziwe; nareszcie, kiedy matka wdowa wyszła powtórnie za męża, nadawano Ocyłowi nazwisko ojczyma — Zawierucha. Któż wie, które z tych nazwisk było istotnie dobrą nazwiskiem? Nazywamy go tu tak, jak go przezwali na błoniu pasterskiej — Ocyłem.

Ten Ocył zwykle przez cały dzień był nadzwyczajnie małowówny, za to w nocy przez sen ciągle rozmawiał, jak twierdzili parobcy ze stajni, — podobno bardzo „zamysłowato;“ z każdą robotą zawsze się spóźnił i nigdy nie dokładnie nie zrobił. Nietylko że nie umiał jak się należy orać, powozić, młócić; ale nie potrafił nawet koni dobrze założyć do wozu lub pługa, ani zadać w żłób obroku, czy siana za drabinę. Co więcej, Ocył nie umiał nawet jeść należycie: z łyżki połowa zawsze wylała mu się na ziemię i na kolana. W towarzystwie liczniejszym, zwłaszcza z piękną, milczał uparcie, a jeżeli już co koniecznie musiał rzec, wtedy nachylał się do ucha któregoś z towarzyszy i poszeptywał. On się jąkał i stąd może wynikała ta wstrzemięźliwość filozoficzna.

Jednakże nieraz samotwór, gdy sobie dobrał przyjaciela, rozmawiał wiele i podobno na folwarku nikt nie miał do rozmowy więcej materiału, jak Ocył.

Jakże go miały lubieć dziewczki, kiedy miał w jednej nodze wadę jakąś, utykał i nogę powlóczył za sobą, przez co częstokroć usłyszał obelgę:

— Koślawa kuśtyga!

Na twarzy był czarny, w oczach zezowaty i w dodatku miał krzywe usta, a z tych wszystkich powodów dziewczyny stosowały do niego wymyślania:

— Krzywoń zatracona!

— Zéz kuternoga!

— Cygańska morda!

Ubiór jego odpowiadał tój powierzchowności; opuszcza, czyli rondo od niegdyś białego kapełusza, zasłaniała mu oczy i twarz w połowie, pasek na kitli zawsze spadał mu daleko pod brzuch; dziur i nieporządku wszędzie było pełno.

Czytać Ocył nie umiał, ale wiedział, że są na świecie „durkowane“ książki i że w nich dużo mądrości stoja.

W koniec świata roku 1886 niby to wszyscy wierzyli, lecz nikt sobie z tój sprawy nie robił takich wielkich rzeczy, jak Ocył. Parobcy słuchali Ocyła, przepowiadającego fakt ten, wierzyli mu; ale żaden z nich nie rozmyślał o tём przez dzień cały, ani mu tész to spać nie przeszkadzało.

Co innego Ocył, on wierzył nietylko w koniec świata, lecz i w to, że wśród powszechnego zniszczenia wszystkich rzeczy, niektórzy ludzie będą się jednak mogli ocalić za sprawą miłosierdzia Bożego. „Jancychryst”, który miał przybyć na folwark w święta wielkanocne z żelaznym piecem, zabierze zapewne mnóstwo tych głupich i grzesznych ludzi—myślał Ocył—lecz ja dołożę wszelkich starań, aby się ocalić.

I przyspasabiał się parobek na ów koniec świata. Przedewszystkiēm czynił on zadosyć, aż do przesady, wszelkim wymaganiom religijnych przepisów. Od pierwszego dnia wielkiego postu głodził się więc i codziennie odmawiał wielką ilość pacierzy. Już z natury swęj wātły a słaby, doszedł chłop w wielki piątek do takiej niemocy, dzięki postom nadzwyczajnym, że go musiano zwolnić od wszelkiēj roboty. W nocy opadło go ziębienie; rano nie mógł odmówić swoich pacierzy, ponieważ zjawiała się gorączka w połączeniu z bólami głowy. Tak więc, omdlały prawie leżał w stajni na swojēm wyrku. Wyrko było urządzone w ten sposób, iż do dwóch słupów, podtrzymujących stragarze, dodano jeszcze nowe dwa słupki, i w taką klatkę, u góry niedaleko powały, wprawiono kilka desek, na których w kupie barłogu odbywali noclegi dworscy „ludzie od koni”. Pod spodem tego szczególnego aparatu znajdowały się konie oraz od koni przegrodzona stadnina. Chcąc się dostać na takie łoża,

trzeba było włożyć po słupie w górę i po słupie też stamtąd schodzić.

Tutaj to spoczywał w wielki piątek wyposzczony i chory Ocył.

Po południu zmniejszyła się nieco gorączka, a chociaż osłabienie było duże, parobek począł odmawiać pacierze z myślą o końcu świata i na intencją ocalenia się wśród powszechnej zagłady. Zastanawiał on się nad tém, że już tylko jedna wielka sobota oddziela ludzi od dnia ogromnej katastrofy; stał się więc bardzo pobożnym. Znękanym głodem organizm tego człowieka osiągnął nastrój w najwyższym stopniu idealistyczny, czemu sprzyjała lekka gorączka. Klepiąc pacierze jeden za drugim, Ocył wpatrywał się w powalę pełną dziur i gniazd gołębic poza stragarzami. Mimowoli nastęczyły mu się też myśli, jako koniec świata powinienby nastąpić raczej w wielki piątek, niż w wielką niedzielę. Następnie rozważał, czy zapowiedziany „Jancychryst” ukaże się z dołu, czy z góry; to jest, jeżeli kolej przyjdzie na stajnię i krowiarnię, jak się tu rozpocznie koniec świata: od pułapu, czy też od podłogi?... A trudno mu było rozstrzygnąć ową wątpliwość; jednakże okoliczności go wsparły.

Tuż przy jednej z dziur, będących w powale, znajdowało się gołębie gniazdo, w którym z wielką cierpliwością wysiadywał gołębek, nie rozmyślając, bynajmniej o końcu świata, jak to czynił zdolny do idei i przesądu człowiek. Kiedy Ocył spoj-

rzał we wspomnianą dziurę, ujrzał w niej parę iskrzących się oczu... Właśnie w ową chwilę czarny kot wpatrywał się był w gołębie gniazdo, postanowiwszy sobie widocznie wyprowadzić mięsną ucztę przy wielkim piątku.

Parobka przejęły dreszcze, albowiem para tak przeraźliwie świecących ślepi mogła należeć właśnie do „Jancychrysta”. Jakkolwiek chory, z wielką przezornością i w cichości począł się Ocyl przysuwać do brzegu wyrka, przymknął zaś oczy, aby nie spotkać się więcej ze strasznym spojrzeniem rzekomego sprawcy końca świata. Właśnie dotarł już był Ocyl do samego brzegu swojego łoża, lecz nie miał odwagi spuścić się po słupie, kiedy czarny kot wyskoczył z dziury na gołębicę, wylęgającą jaja; słyhać było ogromny łoskot, zgielk, rozpaczliwy pisk i szamotanie się duszonożnego ptaka ze swoim oprawcą. Przerażony parobek runął całym ciałem między wystraszone źrebięta, które z kolei znowu narobiły huk. Ocyl tymczasem darł się na całe gardło, jak szalony.

Kłameczyna oraz dziewczki, zajęte w kuchni przedświątecznymi przygotowaniami, pierwsze posłyszały jakiś gwałt w stajni, straszny krzyk ludzki i skakanie koni; wypadły więc kobiety przed dom i spostrzegły Ocyla wylęklęgo, chwiejnym krokiem uchodzącego ku dworowi. Zgielk ów posłyszał również pan dzierzawca, zabiegł parobkowi drogę, badając, co znaczy cała ta awantura,

Ale wybladły chłop, który się zawsze jąkał, teraz z przestachu mówić nie mógł, zaciął tylko usta, mrużył oczy i rękami pokazywał na stajnię; chciał wypowiedzieć wyraz „Jancychryst”, lecz się zaciął.

— Cóż to takiego?... Może złodziej?... — krzyknął pan dzierzawca, a parobek skinał głową i nateżając się zaledwie wydobył ze siebie:

— Jjjjan!... Jjjjan!... — I nie mógł żadną miarą skończyć; wykonywał zaś tak gwałtowne ruchy rękoma i ustami, że właściciel stajni osądził za właściwe na miejscu sprawdzić, co się stało.

Szedł więc pan dzierzawca, a za nim Klameczyna i dziewczki do budynku, zajmowanego przez konie oraz rogaciznę. Tu między kołmi popłoch już ustał; ale Klameczyna pierwsza rzekła z miną tajemniczą:

— Po górze hań coś chodzi, słychać chrobotanie!..

Pojawili się też niebawem parobcy, którzy pracowali w stodołach; każdy chwycił do rąk kij, widły, drąg; nawet i Satyr przybył tutaj, okazując wielkie ożywienie. Otoczono oborę i stajnię, a śmielsi poskoczyli wewnątrz. Naraz ze stajni wypadł jeden z fernali, cały uznojony od trudów poszukiwania, i oznajmił, że wielki, czarny kot z gołębiem w zębach, uwija się po górze.

— No, to i tego hunewota trzeba rozumu nauczyć! — krzyknie pan dzierzawca. — Będzie mi tu gołębie podchodził, złodziejskie nasienie!.. Dalej-

że, chłopcy, wypłoszyć go tutaj!... Satyr, huź go, huź go!...

— Zacieczona jedna w wielki piątek żre mięso bez żadnej pamięci ni na co! — powiedziała któraś z dziewczek, a słowa te zapaliły fanatyzm parobków i rzucono się namiętnie do ścigania kota, gwałciciela postu.

Jakoż po chwili ukazał się na dachu czarny kot z gołębiem w zębach. Widział on z góry, co się dzieje na dole, więc postanowił siedzieć na strzesze, dopóki tylko będzie można. Satyr aż podskoczył i zawył z nienawiści oraz niecierpliwości; być może, iż poznał znajomego, którego miał dawno na wątróbce, i chciał teraz jak najprędzej załatwić rachunek.

— Ooo! Ptaszek!...! Nie ujdiesz mi ty! — wołał dzierzawca, rzucając kijem na dach.

Kot zapędził się kilka razy do dziury, chcąc ująć znowu wewnątrz; ale wewnątrz byli strasznie hałasujący parobcy. Nie było; innej rady tylko szlachetne ryzyko. Porzucił przeto Czarnuch gołębia i, upatrzwszy sobie najbezpieczniejszy punkt, zeskoczył na ziemię; poczem z kopyta ruszył, wpadł w kukurydzę, a z kukurydzy pod śpichlerz; za nim pospieszyła gromada prześladowców, spuszczone nawet Kwiatka z łańcucha. Psy szczekały, wążąc pod przycieś, ludzie krzyczeli, sięgając do dziur długimi drągami, uderzając kijami w ściany. Kot tą razą był długo bardzo cierpliwy, co wszystkich rozjątrzyło w naj-

wyższym stopniu. Jednakże, kiedy zaciekły Satyr wtoczył się w te lochy, kiedy głos jego zabrzmiał w podziemiach, kot nie mógł wytrzymać i w ogromném przerażeniu wypadł z dziury na podwórze; przy samém wyjściu atoli otrzymał potężne uderzenie kijem i zachwiał się na nogach; w téjże chwili przyskoczył pędzący za nim Satyr, porwał go wpół i, trzymając w zębach, trząsł a trząsł, dopóki nie wytrząsł ducha; narazie rzucił o ziemię, a zziajany, z wywieszonym językiem, popatrzył przez chwilę na nieboszczyka i odszedł.

— No, co prawda, do niczego jesteś, lecz do brześ zrobił, dając do dworu znać o tym rabusiu! — rzekł zadowolniony z polowania pan dzierzawca do Ocyła, stojącego opodal i omdlałego prawie. — Idź teraz do stajni i odleż swoje; jesteś widać chory!... W wielką niedzielę na kielbasy pewno wstaniesz...

Wybladły i stęskający Ocył powrócił do swego gniazda, wlażł w nie i zasnął. Atoli w wielką sobotę nie mógł się już wcale podnieść, był bardzo chory! Inni parobcy krzatali się dnia tego od rana, znosząc do stajni siano, obrok ażeby na wielkie święto zaopatrzyć i zwierzęta w żywieniu, a nie pogwałcić przepisów, zalecających próżnowanie.

Atmosfera świąteczna zewsząd wiała, czuć ją było zarówno we dworku, jak na całym podwórzu. W kuchni bowiem dziewczki pod wodzą

Kłameczyny wykonywały mnóstwo ważnych czynności: wierciły mak, biły jaja, tłukły cukier, parzyły rodzynki i migdały, przygotowywały twaróg do kołaczy, mieszały ciasto, warzyły kielbasy, główiznę i szynki, z czego woń rozchodziła się po okolicy. Parobcy, przechodzący przez podwórze od stodół do stajni oraz krowiarni, przystawali z koszami i z wiązkami siana lub słomy, a dla każdego niepodobieństwem było, aby się wobec bijących aromatów nie obliżał z apetytem.

Przy tych zajęciach w kuchni szła też żywa pogwarka, wyzwalala się niewieścia pochopność do plotek, bajek, obmowy, przedmiotem czego był naturalnie Oeyl.

A chory parobek leżał wyciągnięty na słomie, oddychał z ciężkością i jakimiś nieruchomymi oczyma wpatrywał się w dziurę powały, gdzie wczoraj spostrzegł świecące ślepie kocie.

Przed wieczorem zaturkotała bryczka, z niej wysiadł poważny pleban, ażeby poświęcić i pobłogosławić mające nastąpić wielkanocne spożywanie mięsa. Na podwórzu pozamykano już drób, gołębie schroniły się na dachy, umilkł świegot wróbli, tylko klekot bocianów się rozlegał i w budzie skomlenie Kwiatka, co się zdał błagać o zwolnienie z łańcucha. Mnóstwo kobiet z dziećmi i z koszykami święconego oczekiwało przed dworkiem na duchowne błogosławieństwo. Poświęciwszy dworskie placki, mięsiwo oraz odkorkowane butelki z rozmaitym alkoholem, ksiądz

wyszedł przed dom i kropił święconą wodą skromne pokarmy chłopskie.

Później ucichło już wszystko, zniknęli gdzieś ludzie, pozamykali się, a zwykle pełne życia podwórze pokryły mroki nocy i zaległo uroczyste milczenie. W nocy zrobił się znowu jakiś zamęt dokoła dworu: z kuchni wychodziły dziewczki, ukazała się też i Klameczyna, godowo ubrana; otwarto stajnię i do bryczki zaprzęgano cztery konie. Na te szmery porwał się z łoża swego Ocył i jakimś ochrypłym głosem zapytał:

— Co się dzieje?...

Fornal, wyprowadzający konie do zaprzęgu, odpowiedział mu z dołu:

— Nie wiesz to?... Pan Jezus zmartwychwstał!

Chory jęknął i padł na swoje wyrko. W podwórzu znowu było cicho; gwiazdy nikły na niebie, ukazała się jutrzienka.

O wschodzie słońca, gdy ludzie powrócili z rezurekcyi, Ocył już nie żył; doczekał on się końca świata, który sobie jednemu przepowiedział.—

Ze wszystkich dramatów, dramat ludzki jest dla nas najsmutniejszy.

NA NIEBIE I NA ZIEMI.

NA NIEBIE I NA ZIEMI.

Gwiazdami roziskrzzone niebo zdało się oblicze swoje sympatycznie chylić ku ziemi, niby matka nad kolebką dziecięcia. Ziemia, oblana światłem księżyca, strojna w brylanty rosy, tu i owdzie mgłami owiana, zdała się niebo wabić ku sobie. I szły od niej w górę wonie róż, płynęły dźwięki słowiczęj liry... Blaski, pieśni, wonie, wywierają wpływ na człowieka. Lecz nie każdy poetycznie odczuwa piękno oraz miłość. Nie wszyscy zachwycają się szafirem nieba,—nie wszyscy wysyłają wzrok z myślą za drugą, dziesiątą i setną gwiazdę. Spracowane a zgnębione stworzenia, twardo przybite do padołu płaczu, mają zaledwie tyle czasu, ażeby wytchnąć na swoim krzyżu. Bo dzień kosztował dużo znoju, a noc częstokroć nie przynosi ulgi. Pracowity bocian ściga po łące żabę, równie jak on sam pracowitą. Pod starymi zwaliskami murów mysz zaskoczona piszczy i kona w szponach sowy. Koty plondrują gniazda skowronce. Lis tępi pokolenie kuropatw i upaja

się ich krwią ciepłą. Wilk filozoficznie tropi sarnę, aby ze ścisłością anatoma położyć kres jój błędnemu życiu i przeprowadzić subtelną analizę ciała. Taka to jest piękność elegiczna nocy letniej, której ludzkie wyobrażenia nie nie zdołają dodać, ani od niej odjąć!...

Było to w Koprowskim dworze. Gromadka starszych i młodszych parobków zdążała do kuchni; szli z roboty od stajni, od gumna, obory. Byli utrudzeni, głodni, śpiący; chwiali się na nogach, poziewając. Pragnienie odżywienia waleczyło u nich o lepsze z potrzebą spoczynku. Ci czarni uprawiacze ziemi, te krety i robaki spulchniające glebę, jedyna wyzwolona energia na Koprowskich niwach, wstąpili w progi brudnej, cuchnącej kuchni czeladnej.

Dzień to świętej Blandyny, — imieniny młodej a jak anioł urodziwej pani dziedziczki Koprowa. Do wieczery czeladzi należeli także stangreci, którzy przywieźli w powozach gości ze sąsiedztwa. Miejscowi parobcy spodziewali się więc dziś sutszej strawy, gdyż we dworze baczono, aby obcy ludzie nie obnieśli po okolicy, że w Koprowie karmią czeladź gorzej, niż psów gdzieindziej. Rzeczywiście, Jagata, dziewczka, sprawiająca obowiązki czeladnej kucharki, otrzymała wyjątkowym sposobem w dniu tym spory kawałek twardej skóry ze szperki i kości po szynce, która uległa zgniciu. Zgniłą szynkę wyekspensowano na śniadania dla guwernera i rządecy, pozostała

zaś kość obrócono na stół dla ludzi. Otóż, w dużym saganie warzyła się jaglana kasza, obrzednio tajona z okrasą albo omastą onój skóry ze starłej słoniny. Kasza parskaa, wydając glosy: „chlup, chlup—pyr, pyr!“ W wielkim znowu żelaznym garze o dwojgu uszu wrzała kapusta, a z niej ku górze sterczała olbrzymia kość po szynce. Zarówno do kaszy, jak do kapusty, Jagata dorzuciła po kilkanaście ziarenek pieprzu; niezwykle więc aromat rozechodził się po całym podwórzu przed kuchnią. Zapewne i ta woń płynęła ku błękitnemu niebu, a najniezawodniej podniecała ona ogromnie apetyt chłopów i psów, którzy pomieszani ze sobą roili się pode drzwiami w oczekiwaniu uczyty. Kucharka wyglądała malowniczo i po części przynajmniej strojem swoim przypominała swobodny kostyum starożytnój greczyнки; zwłaszcza téż wrażenie takie sprawiała jój różowo nakrapiana spodnica, ujęta w festony po obu stronach nóg czerwonych, rozwoju których nie krępowało żadne obuwie. Zpod spodnicy widniał mocno szary, zgrzebny odolek koszuli, podczas gdy górna część téj tuniki drapowała się powabnie na wyniosłych piersiach oraz barkach. Gdyby Jagata nie spełniała uciążliwych obowiązków czeładnej kucharki, możnaby było od niej słusznie wymagać o wiele więcej porządku i czystości. Spocona, opieczona przez płomień ogniska, z surowym wyrazem twarzy, świadczącym o przejęciu się poważnym zadaniem karmienia ludzi, bie-

gała po kuchni, dmuchała na ogień, próbowała potraw. Na rosłe wzniesienia piersi spadały jej trzy lub cztery biece paciorków,—a z tyłu trząsał się nieustannie kusy warkoczyk wypłowiałych włosów. Niecierpliwi parobcy ciągle zaglądali do kuchni; każdy wietrzył ochłapy i pożyłki jedzenia, które, dopóki więzione przez ściany garnków, pozostawało w sferach na czysto idealnej natury. Nawet na misce pokarm nie jest jeszcze naszym; niejeden człek w ustach już miał kąsek, a przecież połknąć go nie zdołał.

Olbrzymi i gburowaty fornal Onufer dogadywał Jagacie i dziesiątował, że się baby dębują z wieczera, co sumienną kucharkę doprowadzało do wściekłości; to też, nie mając na kim wyrzeć gniewu, ni stąd ni zowąd warzechą ugodziła w samą twarz pomocniczkę swoją, Rejnę, dziewczę najwyżej czternastoletnią. Rejna się rozbeczała na cały głos i energiczniej niż przedtém poczęła narączka dREW wrzucać pod sagan z kaszą, tak iż potrawa owa wypryskiwała teraz z kotła.

— Nie pedom jo ci, klempo jakaś, żebyś ogień ino rozlicila, a ty walis drwa furami! Zawrzyj drzwi ode sieni!... Spies sie moli, połubo jedna!... I tu jeszcze Jagata zaklęła od *pieronów*.

Była to walka wypowiedziana pośrednio Onufrowi, który się był rozparł we drzwiach kuchni i uporeczywie przeprowadzał krytykę czynności

Jagaty. Teraz Rejna z rozkazu wyższej władzy zatrzaskała mu drzwi przed samym nosem.

— Zabiroy ławe i pnioki, wynoś duchem pod kurnik!—wrzasnęła znowu kucharka na swą pomocnicę. Do świtania jacy zeńdzie parzyć to ziarcie w takowym rozgardyjasio!

Onufer zaklął i opuścił swoje starowisko, położył się na trawniku w pobliżu kurnika i, milcząc, obojętnie rozważał wszystko, co się dokoła niego działo. Wkrótce też wyszła z kuchni Rejna, ustawiła na trawniku niską ławę oraz parę pniaków; znowu poszła do kuchni i znowu wyniosła pęk drewnianych łyżek. Parobcy poczeli łyżki rozbiierać; jedni obsiedli dokoła pniaka, drudzy otoczyli ławę. Za dużo było obcych ludzi, więc zabrakło łyżki. Któżby w takim razie był stratny, jeśli nie najmłodszy, najslabszy? Między fernalami był właśnie taki: Kacperek poganiacz. Wprawdzie porwał on łyżkę, ale Onufer natychmiast uderzył go po łapie swoją łyżką, mówiąc:

— Cie go, jaki to rak łapecywy!... Nie bacys, sobaca, ze Matusiak jeść cym nie majom!

Kacperek zmartwiony odszedł na bok, zaczął płakać i jednocześnie odmruknął jakieś ordynarne przezwisko dla Onufra.

— Ej, bedzies ty dopiro bucał i marmotał, jak cie chłop weźnie do gorzci!—odgrażał się malcowi Onufer.

Tymczasem do pniaka przystąpił inny fernal, Matusiak, wziął pozostałą łyżkę i usiadł w po-

bliżu Onufra; a choć się jeszcze nie pojawiła mi-ska z jedzeniem, on już zawczasu zdjął z głowy kapelusz i pobożnie się przeżegnał; po chwili zaś tak mówił:

— Ślicności nocka, kieby krzesiwo! Dobrze w takim spać kady na łonce przy kuniach.

— A juści, dobrze, bele ino nie lunelo! — odrzekł Onufer. Zawdy pod niebądź jakim dachem przepiecznij!

— E co ta mo być przepieczniejszego! — powiedział Matusiak. Cus skodzi na dżdzu, kiej cłek nie z gliny? Pon Jezus sie kuzdym opieka i z tych hwiozdecek spoziro!

— We stajni okrutnie parno przy kuniach — odezwał się znowu fornal Kuba.

— Co tez, Matusioku, pedacie kuli tych gwiozd; bez co une tak błyscom; musi to znocie z wasy ksionzki, co z niom chodzita do kościoła? — zapytał Bartek wolarz.

— Na ony ksionsce to nie stoi, tamok je ino uccenie Noświentsego Sakramentu i rużne kościelne nabożeństwo; tylo razem zajsed do organistego i widoleń takie ukozanie na kolędziorku, co ci kuźda gwiozda na niebie to lebo byk, lebo drugie zywe — tłumaczył Matusiak.

— Musi organista łzy! — rzekł Onufer, wtrącając się do rozmowy o gwiazdach. Un i w karczmie rużne baje krenci... Belejaki chłop to ta uwierzy.

— Łzyć nie może, skoro skazuje na ksionsce;

a kiej od počontku świata sam Pon Jezus tak chcioł, żeby takowe zwirzenta były na niebie i stały kieby świcki, to być musom.

Onufer spojrział mimowoli na niebo, a czysty księżyc ogromną swoją tarczą błysnął mu prosto w oczy.

— Mnie się patrzy równie, ze tyn organista ni mo dobrze w głowie... Kajby zwirz ustoł tak na wietrze tyłośne lata! Gwiozda abo miesioncek—no, to ustoi. Siortka na bydłęciu połysko, ino nie błyscy...—prawił Onufer.

— Niedoczekanie twe, chłopie, abyś głupiom głowom dosięgnoł ony mondrości! — powiedział Matusiak. Jak ci taki organista zacnie kłapać, to mosz ino zawrót po głowie, ze lepi cale nie myśleć o tym...

— Kłapieć un, ta wiem, tylo cyni tak lo tego, zeby mu chłopci stawiali pukwaterki... Straśny paliwoda! Pomnicie jako godoł o Jancykryście, co mo ze zielaznym piecem jachać po ziemi i rzucać weń chłopów, nikiéj zimnioki?.. Takiemu jo ta nie wirzę!

— Kiej keesz nie wiaruj, ino gemby nie rozpuscoj!... Belekogo ci nie zrobiom organistom! Prostal taki cuz ta wie, kunie sprzengać do woza? A un ci gro na organie prześlicnie Panu Jezusowi i tamoj zańdzie, kaj chłopu nie bywać... Za samiuški wielgi ułtarz łazi, dotyka sie obrazu i przerozmańtych świentości!—gromił Onufra Matusiak.

— Ua tak!... Tylo, leśli on taki mendrala, to bez cöz ten Michałek lokajki gdowy biegoł do niego dwa roki z tablicom, a tero owcorz pedają, co nie wié, jak zawrócié na ugorze jagnienta?

— No, a bez cöz ty myślis, Onufer?... Lokajka-by chciała ucnego chłopoka, a bez głowe jój nie przesło kupić śpikowi ksionzke. Cy to organista krzyw? Cy un z prosty tablicy coniebađź chłopoka wyucy?

— Kiej wy, Matusioku, zawdy syéko przesce-kocie! Racyjo nikiedy nie zostaje za mnom — rzekł Onufer.

— Uniby byli okrutny organista!... — zawołał Kuba—nikiej naszy! I mnie sie tez wierei po łbie, co te światełka przynolezom do Boga w Trójcy Świenty jedynego, ino cheba nie som żodne zwirzenta, jacy—janieli lubo dusycki sprawiedliwie zmarłe.

— Janieli mogom być une i dusycki równo, a jak organista z koleńdziorza opeda, to som téz widno i zwirzenta: je tamoj byk, je pono panna, rak, ryba i rozmanite jense cudoki- ciągnął, wykładając Matusiak.

— Ryba to jesse prendzy, bo dyé połysko na niéj łuscka, a kiej nad wodom pluśnie, świeci se galanto, kieby gwiozdka — odparł Onufer. A cy zaś słyehane rzecy, zeby nieprzymierzający rak połyskoł?... Cemuze nie pedocie, co tamok je oficyr, lebo jakowy jednorol we złocistych guzikach

i ze ślufami, tobym ta wirzył?... Abo li téz wisom takie mentale?...

Dowodność Onufra wywarła chwilowo mocne wrażenie; nikt nie oponował, przez co zachęcony, tak dalej mówił:

— Takusieńko—pedaja—co i na miesioncu zajonek słupek stoi... Kajze sie komu zajone taki we łbie pomieści?... Cheba musiała i kapusta lubo okunicyna rosnać tamtela, coby sobie on zajonek pojadał. Aliz tygo syckiego nico nie widać; kajze je kapusta cy okunicyna na miesioncu?

— E, to ta ruźnie chodzi o tym miesioncu! — zawołał Kuba. Je i taka gadka, ize tamosicki stoja chłop z widłami i gnój nakłada, tylo co gnoju ani fury ze śkapami nikaj nie dożry... Karbownik mi znou pedali, kiejeśwa z Markocie drzewo wieźli i we zaśpie śniegu po nocy ugręźli, co tamoj nie je ani zajone, ani gnój nakładajoney, ino twarzycka Przenoświentsy Panienki...

— Ino, ino! Widno baby powymyślały one baje, abo i chłopcy, kiej się ochlały. Na co sie zda taka historyja nieprzymierzajoney, jakom Ciechońka na bez tydzień na odwiecerzu rozpedziała, co po miesioncu na nowiu ciarownicy bydłenciu cyrwia zadajom? Jo ta tymu téz nie wirze! — rzekł Onufer ze stanowczością.

— Nie wirzys nikomu, Onufer!... Tać Ciechońka twoja stryjna!...—zawołał Matusiak ze spokojnem oburzeniem. Takiego to tylo wzioné kantary

i porzomnie wyłoić bez plecy. Cys ty, cłeku, myślis, co kuzden ino cygani lebo sie omela? Mos ty we łbie rozum lubo pyrzoki, cy siano?... Na urzeki bydle zawdy zamira, bo cóz ucyni, kiej mu w październach co niebądź pod złób zakopiom, albo li téz ocyma je kto oziora?

— No wim... — odparł Onufer widocznie teraz z kolei rzeczy pokonany umysłowo, gdyż się podrapał w głowę. Po chwili jednak mówił stanowczo:

— Krowa rycy, rycy i nareście zdycha, kiej jom jakowe bolenie chyciło, nikić chłop abo baba... Po próżnicy urok odcyniać wenglami, lebo wymie pocirać osełkom cyli okadzać świenconym zielem i wionkami, co je świencom na Boze Ciało... Nie bądź wirzył takowy głupoci!.. Nie ciary ta chłopca zwalom lubo bydle, tyło cienzka robota, a chorooba téz...

— Co je za zmiarkowanie w takim belejaśnym gadaniu? — odczwał się znowu Matusiak. Znasz ty, cłeku, co na świecie znajsć sie moze?... Grzesznika ciarownik może przeminić nie tyło w kocitura, ale z przypuszcenia Bozego som takie wielgaśne ryby, co ci jak nie chłopca łyknie...

— O takim wielgorybach słychał cosik... — rzekł z pewną zarozumiałością Onufer. Matusi opedziała okumonka, ize w kałdunie u takiego wielgoryba świanty którysik przesiadywał, nikić w chałupie na komorném, i co mu ino strasnie

markotno było, że takowa ryba okrutnie ogunem merdała...

— Dyć i jo o tym słychoł, ino sie waguje, którendy un mógł z brzucha wyłazić—zagaił Kuba, podczas gdy inni parobcy kiwali głową na znak zdumienia. Do towarzystwa w roli słuchacza przystąpił nawet mały Kaeperek, zapomniawszy, iż nie posiada łyżki.

— Wielu téz łokci miała taka psia wiara?... Nie wiecie tego Matusiaku?...— odezwała się stojąca na boku dziewczka Maryna.

— Hano, mogła musi mieć ze stajanko, leśli Pan Bóg przykazał i syćcy Świenci Pańscy... — odpowiedział Matusiak, chyląc ku ziemi głowę z pobożnością.

Wtém pojawiła się Jagata, niosąc przed sobą ogromną miskę z wrzącą kaszą, szła pospiesznie, a stąpała tak jakoś dokumentnie, że aż ziemia zdała się jęczeć pod jój stopami. Przed Jagatą wyskakiwało kilku psów, których węch silnie drażniła szperką woniejąca kasza. Psy widocznie doznawały jednocześnie uczuć zachwyty i niecierpliwości. A trzeba wiedzieć, że psy w Koprowie były nadzwyczajnie zuchwałe, odznaczały się buntowniczym usposobieniem. Napadały i kaleczyły ludzi. Istniały nawet miejscowe podania o wypadkach zbrodni, popełnionych nocną porą przez owe zwierzęta. Kiedy się taki Hulaj rozłożył na środku kuchni, nikt go nie zdołał wyprosić za drzwi, a inne psy brały téż stąd zły przykład

oraz pochop do zuchwalstwa. Jagata w takich razach wysyłała do dziedzica Rejnę ze skargą na psy. Dopiero, kiedy sam pan, uzbrojony w harapnik, wchodził do kuchni, wtedy całe psiarstwo zmykało na wszystkie strony. Poważny wyraz twarzy pana i ręka, dzierzżąca batóg, razem skojarzone, usposabiają wszelkie zwierzę do posłuszeństwa.

Miska stanęła na pniaku i czeladź, tym razem od psów szczęśliwsza, rozpoczęła ostrożne wchlipywanie kaszy wrzającej jak ukrop. Nie zawieszono w zupełności rozmowy, ale prowadzono ją w dalszym ciągu z przestankami.

— Nimo ci taka wielgoryba połknąć cłeka, kiej mnijsze zwirzenta téz to ucyniom... — mówił flegmatycznie Kuba. Dyć na bezrok wiley do krzty zeziarli owcorza z Wygnanowa...

— E kto ta wie, jeśli wiley!... — rzekł Bartek, który przy tych słowach nieostrożnie wsunął w usta łyżkę z niewystudzoną jeszcze kaszą, co go naraziło na różne bolesne manipulacje wewnątrz ust. Kiedy już połknął gorący pokarm, z drugą łyżką obchodził się baczniej i tak znów prawil: „Tyn owcorz nie przymierzajoney puno sie ze złym ciarał!... Nieboscka moja baba styrała sie bez niego psiom pare... Koltunisko jój rosło a rosło... Tak ci jom połamało w kolanach i ziebrach, co nijak felcier wyprostować ni móg...”

— Kuzdy sie styro, kiej mu taki zado!... —

mruczał pod nosem Matusiak... Ta ino świentości siła tykać trzeba, co ludzie rajom na likarstwo...

— Po coby wilka sukać, abo ciarta, dyć ci zatraceni dworsecy psi puno kiejsik postyliona oprawili na gościńcu...—wtrącił Kuba, powracając do rozmowy o pożeraniu ludzi przez zwierzęta.

— A nagorsa siarcysta ten łaciasty Huloj!...— rzekł Onufer, z pogardą spoglądając na psa wielkości dwumiesięcznego cielęcia, który stał w oddaleniu kilku kroków z oczyma uważnie wlepionymi w miskę.—Nie pudzies ty stąd, posoko jedna!.. Zawyta! — krzyknął Onufer i przytém tak celnie rzucił swoją łyżką, iż psa w sam nos ugodził. Hulaj odskoczył, warcząc i mściwie błyskając straszniemi ślepiami.

Tymczasem Jagata przyniosła z kuchni drugą miskę kaszy, którą ustawiła na niziutkiej ławie, a dokoła zasiadła tu znowu reszta parobków, stangretów i dziewczek. Chociaż w misce, na pniaku stojącej, kasza nie ostygła jeszcze wcale, jednakże biesiadnicy przerwali rozmowę. Onufer podniósł z ziemi swoją łyżkę i począł nią wyławiać kawałki szperki. Matusiak dmuchał znowu nieustannie i jadł kaszę z całą godnością człowieka doświadczonego. Słychać było tylko chlipanie, syczenie i stuk drewnianych łyżek o miskę. Onufer, bobrując po kaszy swoją łyżką, wyciągnął duży ochlap szperki; chciał on to odkrycie utaić przed zazdrośnemi oczyma współtowarzyszy,

przeto szeroko otwarł usta i, nie bacząc na skutki, umieścił to wszystko poza zębami...

Nagle w górnych sferach powietrza rozległ się huk przeciągły, słychać było jakiś szum nieokreślony, niby grzmot spotęgowany, a niezwykła jasność zalała niebo oraz ziemię¹⁾.

Onufer z wrzącą kaszą i szperką w ustach znajdował się w arcyniemilém położeniu. Ból z poparzenia sobie ust kaszą, huk nadpowietrzny i jasność uzwiązkował on mimowoli z poprzednią rozmową o kwestyach nadprzyrodzonych, a doznane osobiście wrażenia wydały mu się być niejako karą za brak wiary w to wszystko, w co szczerze wierzył Matusiak.

Inni téż chłopci z łyżkami w ręku, pełni niemego przerażenia, nasłuchiwali, co to być może.

— Kandyś gore!..—odezwał się pierwszy Kuba, przerywając grobowe milczenie.

Jagata również zdumiona, stała przed drzwiami kuchni z otwartymi usty, trzymając warzechę w ręku, którą właśnie mieszała kapustę, wystawioną w wielkim garnku celem ostudzenia.

Onufer połknął już był kaszę oraz szperkę i, ochłonawszy nieco z pierwszego wrażenia, zrobił uwagę:

— Kaj ma goreć!.. To musi kady niebądź strasena wojna!

¹⁾ Cały fakt ten opisany z osobistych spostrzeżeń podczas spadania ostatniego wielkiego meteoru w okolicach Pułtuska i Ostrołeki.

— Co za belejaki gadanie! — rzekł poważnie Matusiak. Wojnaby tak dudniła... Coś się hajnok popsuło! I ręką podniesioną ukazał na niebo.

Zimny dreszcz przejął wszystkich na myśl, iż zepsucie w niebie może się ziemi dać uczuć.

Hulaj, przysiadłszy na tyle ciała, wyciągnął głowę do góry i począł wyć żałośnie a przeraźliwie, co zwiększyło trwogę ludzi.

— Pies przewoncha... odcuwa syćko... — zawołał Bartek.

— Pewnikiem przyńdzie pomorek na bydło, albo na naród—rzekł znowu Matusiak.

Wszyscy ujrzeli teraz na niebie dwie wielkie a świetne gwiazdy, które nieustannie staczały się ku zachodowi widnokregu. Zerwali się tedy parobcy i dziewczki — wszyscy pobiegli na poblizki wzgórek.

Nareszcie świetne gwiazdy zniknęły i znowu stary błękit nieba chylił się ku ziemi, a ziemia, światłem księżycyca zalana, zdała się z niebem zaślubiać. Chłopi z łyżkami w ręku wracali do swych misek, gwarząc po drodze.

— Równo gdzieś się planeta rozpękała, oberwała się i zleciała na ziemię...—rzecze Matusiak.

— Planeta, pedocie—kiej jak planeta, to i dysce leje, i zlatują ludy takie z postronkami, co na nich ponoś planety one u nieba wisom...—powiedział Onufer, myśląc w głębi duszy o kaszy.

— Nie wiarujes, jak zwirzenta rużne stoją dycht na wietrze, a godos o planetnikach... Ja-

kiesz u ciebie zastanowienie, Onufer? Kiej ci planetnik ustoi, to źwierz téz: lebo byk, lebo wielgoryb...—wykładał Matusiak. Tać sie uny planetnicy dobrze musom zeprzéc nogami, nikiem chłop, kiele fure ze sianem podpiro!

— A noprzdziwiéj to je takowe urzecenie, co przed świentym Jonem ciarownice na polach wyprawujom, zebych psenica nie urosła... Dyć juz kwitnienie wiśni i śliw spoliło tygo lata... Bez prózna złyby psoty wyprawowoł?

— Kiejby a to gospodarze raniusko ponieśli na mse do jegomości, mozeby zaraili syćkim wciurnościom—rzekł Matusiak.

— Jak juz spolone, to cus zarajom?.. — powiedział od niechcenia Onufer. Drugi raz sie nie urodzi.

— A no, jak sie psenica nie urodzi, to Pon Jezus może dać urodzaj na zimnioki lubo kapuste, cy bober, co lepiej jesce lubuje lo narodu... Dyć z psienicy ślachta ino żre kukiołki i chleb biały—odrzekł stanowczo Matusiak.

Jakież było zdziwienie całego towarzystwa, kiedy po przybyciu na miejsce wieczornéj uczty, przerwanej przez zjawisko spadającego meteoru, ujrzano wywrócony pniak, stłuczoną miskę i ani znaku z kaszy. To samo miało miejsce i z drugą miską, ustawioną na ławie. Jagata pospieszyła czempredzój przed drzwi kuchni, gdzie z przerażeniem spostrzegła przewrócony garnek i brak kapusty oraz gnata z szynki.

Poczęła tedy dziewczka w niebogłosy lamentować a przeklinać:

— To te zatracone psie wiary sićko wyziarły i ziemie do cysta wylizały!.. Jakże sie téz sprawie przed siafarkom, Noświentso Panno!.. Tylo głodnego luda... A bodajeście sobace popenkały!..

Ponure milczenie panowało przez chwilę w gromadzie parobków i dziewczek; tylko po krzaskach dokoła podwórza dały się słyszeć jakieś niewyraźne kasłania i krztuszenia psów, zapewne z powodu spożytéj na gorąco kaszy oraz kapusty, Onufer począł się krzątać; nie mówiąc, wyłamał z płotu kolek i, rozpatrując się uważnie, poszukiwał zjadaczów wieczery. Jakoż zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy ujrzał Hulaja spoczywającego na pagórku w przepyszném księżycowem oświetleniu; pies leżał z dumą na swojej podstawie, oblizywał się, a kontury jego kształtów widniały z odległości, jakby narysowane na tle ciemnego błękitu nieba. Był to niby pies niebieski, gwiazdami okolony.

Onufer podszedł do stóp pagórka, zmierzył się kolkiem i cisnął prosto w Hulaja, snadź uczucie zemsty silnie parobkiem wstrząsało, bo chybił. Pies zerwał się na pagórku i—zamiast uciekać—poskoczył do swego napastnika, wzniosł się na tylnych łapach, przednie oparł chłopu na pierśsiach i szczechnął mu zjadliwie parę razy w same usta. Onufer padł wznak jak długi, Hulaj

zaś opuścił swą ofiarę, znowu pospieszył na wzgórek i tam oddał się wypoczynkowi.

W tym czasie Jagata przyzywała szafarkę i opowiedziała jej ze wzruszeniem o zaszyłych wypadkach. Klucznica Koprowskiego dworu bacznie wysłuchiwała wszystkiego, potem silnie wyłajała kucharkę za to, iż się odważyła opuścić swoje stanowisko dla jakichś tam głupstw. Wkrótce potem wyznaczono dla obcych stangretów po kieliszku wódki i po kawałku chleba ze sérem, miejscowym zaś parobkom kazano poczekać, zanim się ugotuje nowa kasza.

— To ci pierońska sprawiedliwość!...—zawolał Onufer, spluwając przed siebie z goryczą i nasuwając na bakier magierkę. Naharował się ętek kieby wół, to mu do punoeka kazujom cekać na juzyne, a próżniaki we dworze żrom miso!.. Psu lepiej na świecie niżli ęteku.

— Ej, Onufer!.. To cie na inny roz Pon Jezęs pociesy!..—rzecze Matusiak.

— Myślicie cheba, co mi jutro dwie juzyny dadzom!.. Juści, dadzom! — odrzekł z ironią Onufer.

— Nie to pedom, ale mozes zazyc scenścia na tamtym świecie.

— No musi tak!.. Tyla co my krzywi, jeśli psi juzyne zjedli?

Całe zgromadzenie wolnym krokiem opuszczało terytoryum czeladnej kuchni, zdążając do forna-

skiej stajni. Szedł téż i mały Kacperek, który po drodze zbliżył się do Onufra, pytając:

— Onufer! Zbiliście te zacieconom posoke, Hulaja?

— Miołem zbić, kiej mie jucha o kes nie uziar w samom gembe?

— Sobaca jedna! Jam sie téż napróžno o łyżkę mazał, kiej wy z łyżkom głodniście takusieńko... Jesce was psi nagryźli.

— Ty, psia cie nogo! Bedzies mi tu jesce dojadła... Chces ty, raku, bym cie zeproł?..—wołał Onufer zły i rozżalony; poczém dodał: „Bodajecie syćcy co do jednego skapieli..“

Klnąc tak, Onufer wszedł do stajni, zalazł pomiędzy konie, jednego kopnął w brzuch, aż szkapka podskoczyła, drugiego pięścią po łbie poczęstował; potem rzucił się w garść barłogu, zasnął snem twardym i pozyskał pociechę zapomnienia wszelkich bólów życia. W jego sąsiedztwie leżał Matusiak, który, nim zasnął, długo jeszcze bił się w piersi i wymrukiwał pacierze.

ZŁODZIĘJ LEŚNY.

ZŁODZIÉJ LEŚNY.

Franek Dętka posiadał własność, złożoną z dwóch mórg gruntu oraz trzech sztuk inwentarza: świnki, krowy i konia. Skromny to majątek, jeżeli zważymy, iż z tego musiał wyżyć sam gospodarz, jego żona i aż siedmioro drobiazgu, po roku jedno od drugiego starsze.

Każdy nieuprzedzony przyzna, iż, przy znacznym nawet współudziale błogosławieństwa bożego, spełnienie zadania bytu ciężkiem było dla Franka Dętki.

Ratował się chłop jak mógł, pracował dużo, oszczędzał ogromnie; lecz i tak brak go trapił, zwłaszcza iż kobiecie jego corocznie robiły się jakieś bolaki na nogach i z tego powodu musiała przeleżeć wiosnę oraz większą część lata, a więc najlepsze do zarobku pory roku.

Świnia i krowa w tém gospodarstwie były to stworzenia nie osobliwszego, przybiedzone, pochuchrane, zwyczajnie jak gadzina biednego chłopca. Za to koń, Siwek, poczciwości bydlę,

czysty przyjaciel, a mądry jakby nie zwierzę. Takich koni mało jest na świecie. Za Frankiem laził on jak pies w pole; dosyć było, żeby gospodarz ustami nań emoknęła, a Siwek natychmiast przystawał, choćby w największym pędzie. Kiedy zaś chłop świsnął, koń wtedy cwałem ruszał. Siwkowi można było położyć na grzbiecie sukmanę, przytroczyć wiązkę drzewa lub zajdy chwastu; on to wszystko niósł spokojnie bez żadnej opozycji, nie będąc wcale prowadzonym na uździe. Nosił też za gospodynią, czy za gospodarzem zawieszony na szyi koszyk, motykę, rydel lub inny jaki sprzęt gospodarski. Bardzo mądrą była owa szkapa.

Rzec można, Siwek należał do rodziny Dętków; wlaził do izby, a dzieci, wszystko maleństwo, rzucały się ku niemu; każde z nich chciało choćby dotknąć ukochanego Siwusia. Jedno chwyciło go za ogon, drugie za łeb, inne za grzywę, za nogi; on zaś stał cierpliwie i z pobłażliwością niejako szlachetnego człowieka znosił naprzykrzanie się częstokroć bardzo natrętnych malców.

W chłopskim bycie o pieśczoży trudno, nawet tkliwsza miłość wyraża się tu często grubém słowem, albo i przez uderzenie w kark lub uszczygnięcie; Siwka jednakże wszyscy jakoś pieścili. „Mój Siwusiu,“ wołał ten i ów dzieciak, przytulając do końskiego ciała swoją białą główkę o lniałych włosach, a Siwuś stał w izbie, przebierał nogami, powiewał ogonem, parskał, obwąchiwał

dzieci po kolei, przyglądał im się, zachodził nawet do najmniejszego chłopaka w kołysce. I to bobo także uśmiechało się do konika, wyciągało ku niemu pulchne a oślinione rączęta.

Sama Frankowa téż niezmiernie lubiła Siwka i, niejednokrotnie z uszczerbkiem dla krowy oraz świnki, podsuwała mu rozmaite przysmaki, spadłe z ludzkiego stołu. A jakże nie miała tego czynić, kiedy lube zwierzę zastępowało jęj nieraz na podwórku drogę i laziło za nią zupełnie jak dziecko.

— Od drugiego człowieka taka gadzina je mędrsza—mawiała gospodyni.

Chodził sobie Siwek samopas po świecie, a przecież nigdy go ze szkody nie zajęto, jakkolwiek lubił owies, koniczynę i tym podobne końskie smakołyki. Nie bez tego było, że od czasu do czasu zalazło to uczciwe bydłę i na cudze pole, ażeby tutaj użyć darów bożych. Wszakże zwierzę może być szlachetne, a nie mieć wyobrażenia o tém, co to jest tabela prestacyjna, jako téż kopce, przez jeometrę ustanowione. Kiedy sobie więc Siwek nieraz pozwolił bobrować po cudzej niwie lub łące, właściciele paszy, zagrabianej przez zwierzę, zarządzali obławę, aby zająć szkodnego konia. Atoli koń zawsze w sam raz zważał piśmo nosem i wtedy zadzierał do góry swój ogon z dobrą odsadą, kładł uszy po szyi, a zmykał zawsze takim krokiem, jaki odpowiadał stopniowi niebezpieczeństwa. Najwyżej jeśli od kogo oberwał

w takim razie uderzenie bryłą w grzbiet, co go też jedynie do rozkosznego brykania usposabiało.

Wyobraźcie sobie, że ta szkapa nigdy przez swego pana nie była pobudzana ani biczem, ani prętem; głos ludzki rozumiał koń jak człowiek; pod wierzchem i w zaprzęgu żadne chłopskie bydlę mu nie wyrównało: miał gęstą minę, łeb zadzierał do góry, spoglądał buńczucznie, a nogami przebierał jakby zręczny parobek w tańcu.

Przychodziły ciężkie chwile na rodzinę Dętaków; poprostu gęby czém zatkać nie było; wówczas to pochudli—chłop, jego kobieta, dzieci, no i Siwkowi także boki zapadły.

Konie płaciły dobrze i Franek mógłby się wydobyć z biedy, gdyby sprzedał Siwka. Ale jak tu sprzedać takiego przyjaciela?... Z głodem nie ma żartów!

Z bólem serca, a oplakanego łzami całej rodziny, poprowadził więc Dętka Siwka na jarmark do Kiele. Chłop był smutny, koń też stracił zwykłą sobie ochotę.

Na jarmarku wszyscy chwalili „śwarną” szkapę; Franek postawił wysoką cenę. Był taki, co się poznał na enocie konia i na cenę przystał. Już, już Dętka miał odebrać pieniądze i iść z kupcem, aby wypić litkup, kiedy naraz spojrzy, a tu Siwek odwrócił ku niemu głowę, nastawił uszy i bystro oraz wymownie spojrzął w oczy swemu gospodarzowi. Takie spojrzenie końskie było już nad siły chłopca; o włos nie ry-

knął z żalości; pieniędzy nie przyjął od kupca i sam głodny powrócił ze Siwkem do chałupy pomiędzy mrące głód dzieci.

Myślał sobie Franek, że już chyba do śmierci nie rozstanie się z owym konikiem. Tymczasem jednę noc Siwek zniknął mu jak kamień w wodzie, bez śladu. Taki koń—rzecz łakoma—więc go oczywiście ukradli. Dopieroż było utrapienie, Frankowa wtedy szeroko rozwarła gębę na męża, że nie ma należytego zamykadła przy stajence, że nie trzyma psa przy chacie; chłop skłopotany o mało się w żalości nie wkopał pod ziemię; sponiewniał, łeb na dół opuścił, nie miał nawet tyle siły, żeby się babie odszczeknąć.

Tak było od czwartku do niedzieli, gdyż ze środy na czwartek Siwek przepadł. Biegał był Franek na okolicę a wywiadywał się, czy też kto nie widział złodzieja ze siwym koniem. Kto tam miał widzieć!

I cóż tu począć? Zły i smutny powrócił chłop do domu, a baba wciąż mu dogadywała. Pozostała jedyna deska zbawienia—iść do księdza na jedną i na drugą parafią, a prosić, żeby z ambony ogłoszono o zgubie i zalecono ludziom zmówić po kazaniu Ojciec nasz oraz Zdrowaś Marya na intencją odnalezienia Siwka.

Zabrał się przeto Dętka najprzód do parafii w Gnojnie, ażeby ze strasznym frasunkiem opowiedzieć wszystko jegomości. Idzie on sobie rano po szosie, która prowadzi od Chmielnika do

Staszowa, spojrzy, a tu drogą pędzi dobrego kłusa siwy koń, zaprzągnięty do krakowskiego wózka; na koźle nie widać żadnego furmana, tylko bicz zatknięty powiewa, a lejce do kozła też przytwierdzone. Przyłożył Franek rękę do czoła, wpatruje się w on zaprząg, konik zaś pędzi ku niemu coraz żwawiej, dobiegł i serdecznie jakoś od samych wnętrzności zarżał.

— A bodajże cię, psianogo!— krzyknie Dętka, przyskoczywszy do konia z ogromną radością. — Dyc to ty, sobako jedna, Siwek!... Jużem się miał pokłonić jegomości, żeby go z ambony wywołał, a on beskurcyca przyleciał!... No, widzicie ludzie, jakie to zmysne a mądre!... Jeszcze mi oto przywłókł za sobą taki paradny wózek.

Takie było powitanie chłopca z koniem, poczem Franek wskoczył na wózek, jakby na swój własny, świsnął, i Siwek począł biedz rażno; ale konisko widać było bardzo zdrożone, bo ciągle zwalniał biegu, robił silnie bokami, wreszcie ustał.

— Musiałeś ty, nieboraku, dobrze téj nocy smarować!— rzekł chłop do konia—i czempredźej zeskoczył z wózka, w którym znalazł jakieś żydowskie hałaty, a nadto worek pełen owsa i parę wiązek siana. Franek zjechał teraz na bok z szosy, wyjął koniowi z ust wędzidło, oklepał go po bokach, nakrył spoconego żydowskim kubrakiem, dał mu przetrącić siana, napoił należycie, potem podstawił pod gębę worek z owsem. Kiedy tego dopełnił, obejrzał raz jeszcze Siwka na wszystkie

strony, począwszy od nóg i ogona, aż do głowy; następnie wydobył z kieszeni fajczynę, której ze zmartwienia już od trzech dni nie tknął, zapalił i począł pykać, czując w głębi duszy ogromne zadowolenie.

Ludzie walili gościńcem na nabożeństwo i każdy się przyglądał chłopu, butnie rozpartemu wpoprzek na paradnym wózku, oraz koniowi, zajądającemu owies z wielkim apetytem. Siwek jadł chciwie, potrząsał łbem z fantazyą, rozrzucając wspaniałomyślnie dokoła ziarno, co niebawem przywabiło gromadkę wróbli i śmieciuszek.

Słowem w ową chwilę zdało się być dużo szczęścia w stworzeniu ziemskim na staszowskiej szosie.

Franek, kurząc fajkę, podparł głowę na łokciach, a łokcie na kolanach i czekał, dopóki sobie Siwek dobrze nie podje, a nie wytchnie.

Po niejakiem czasie ujrzał chłop na szosie żwawo toczącą się brykę w parę koni; na bryce owój siedziało trzech żydów. Niewiele to obchodziło właściciela Siwka, więc nawet się nie przyglądał przejezdny. Jednakże żydzi podjechali ku niemu i poczęli między sobą szwargotać, a Dętka, niby też to nie zwracając uwagi, spostrzegł, że sobie oczyma dawali jakieś znaki; wtedy przyszło mu na myśl, iż mogą to być złodzieje, którzy skradli byli Siwka: koń im uciekł i oni go oto ścigają. Dwaj izraelici zleźli teraz z bryki, podeszli do Franka, pytając:

— Dokąd jedziecie gospodarzu?

— A wam co do tego!—odparł Franek.

— Ny — rzecze jeden z nich — jabym z wami pojechał, skupuję w tych stronach po wsiach owies.

— To możecie sobie polecieć piechotą, bo ja nie zabiorę nikogo!

Obaj żydzi przystąpili zblizka do wózka Frankowego, chłop się jednak nie ruszył. Na szosie było pusto, bo kto miał iść do kościoła, ten już przeszedł. Żydzi starali się z chłopem szukać zaczepki, zapewne w wyższości sił swoich mając zaufanie.

— A skąd wy macie ten wózek? — zapyta znowu jeden z żydów.

— Skąd? A ukradłem go ano złodziejom—odparł szyderczo Dętka, nie przestając pykać swój fajeczyny.

— No, no, wyście naprawdę okradli żydka; skąd wy macie ten żydowski surdut, co leży na wózku i ten lejebik na koniu?... Wyście może zabili żydka, zabrali mu wózek, konia i pieniądze!... Tak być nie może, pojedziecie z nami do sądu!

— Idź-że ty parchu zatracony! Wara ci od mojego wózka i konia! — powiedział Franek bardzo stanowczym głosem.

— Parchu, parchu!—wrzasną żydzi.—A ty chanie jakiś!—I z temi słowy rzucili się z zaciekłością do chłopca, podczas gdy trzeci żyd zachodził już Siwkowi od przodu i chciał go ująć za uzdę. Franek nie stracił przytomności w groźnym polo-

zeniu, wypuścił z ust fajkę i po swojemu świsnął na Siwka; koń z kopyta ruszył cwałem, przewrócił żyda, zabiegającego mu drogę, i gnał prosto przed siebie. Siwek zrzucił z siebie lejebik, którym był nakryty, a chłop też wyrzucił z wózka na drogę hałat.

W niedługim czasie Franek z fantazyą zjechał krakowskim wózkiem przed swoją chałupę.

Niema tu potrzeby opisywać uciechy, jakiej doznała Frankowa i jej dzieci na widok odzyskanego Siwka.

Koń znowu chodził po świecie swobodnie, znowu odwiedzał gospodarską izbę, gdzie się z nim bawiły dzieci; ale gospodarz zamykał go już teraz na noc bardzo starannie.

Atoli nędzy Frankowej nie było końca, laźła ona do chaty przez drzwi, przez okna i przez wszystkie dziury w ścianach oraz w strzesze. Przyszedł rok ciężkiego nieurodzenia—nastąpiła głodna zima—niech Bóg broni. Bogaci ludzie nigdy wprost nie kradną, biedni częstokroć muszą. Dokoła wsi, w której mieszkał Franek Dętka, szumiały piękne skarbowe lasy, a wszyscy mieszkańcy owiej wsi wyznawali etykę, że co Pan Bóg stworzył i rozsiał, to należy do wszystkich ludzi.

Pod wpływem gniołającej nędzy powoli Franek również stał się wyznawcą owiej zasady, mianowicie też gdy ujrzał, iż pracą nie poradzi. Sąsiedzi jego, nawet mniej potrzebujący, odda-

wna pomagali sobie za pomocą kradzieży drzewa. On nie kradł jeszcze dotychczas.

Zaszedł był raz w święto do karczmy; napić się nie miał za co, ale przysła mu chętka pogwarzyć z ludźmi. W karczmie przesiadywali po największej części złodzieje leśni i rozmowa szła tu zwykle na temat różnych przygód, jakich doświadcza człowiek oddany fachowi leśnego złodzieja.

Rozmawiano więc o strażnikach, o podleśnych, nadleśnych, o trudach i niebezpieczeństwach nocnej kradzieży drzewa, o zyskach stąd osiąganym, o karach, jakie dotyczą przestępców i t. d.

Opowiadania tego rodzaju oddziaływały silnie na fantazyę takich nowicyuszów, jakim był Franek Dętka.

Franek zajął się mocno opowiadaniem o kradzieży drzewa, która oprócz zarobku obiecywała jeszcze pewną ilość przygód umysłowi chłopu, z natury swój wrażliwemu.

To też Dętka w jakiś czas potem zaprzął Siwka do wózka i nocą najechał las skarbowy. Chłop naciął drobniejszej dębiny, nałożył ją na wóz i prosto z lasu pojechał do Kiele, gdzie niebawem spieniężył drzewo. Z miasta przywiózł Franek dzieciom po kukiałce, a do domu kupił kaszy i parę funtów omasty; w kieszeni i tak mu jeszcze pieniądz pozostał.

Na drugą noc znowu pojechał do lasu, a poszło mu jeszcze lepiej. Wnet się wdroył.

Atoli Frankową strasznie to korciło, że mąż nocami z domu wyjeżdża, że niewiadomo skąd bierze pieniądze; więc się téż raz przyczaiła za drzwiami chałupy i kiedy Franek wyruszał na wyprawę, ona stanęła na progu, wołając:

— Ej, Franek, ty musi być kradniesz w lesie! Pamiętaj, że jak cię chyca, srogo przypieczętujesz!

— Co ci się ta wtrącać w nieswoje rzeczy! Żle ci, głupia, że masz co dzieckowinom do gęby włożyć?

— I to prawda, ino dotela nie byłś złodziejem!.

Dętka spojrział na babę ze złością, aż w nim coś zakipiało, bo mu ten wyraz „złodziój” padł na samo dno serca.

— W chałupie bywało teraz pod dostatkiem warzy i wszystkiego; dzieci wyglądały tłusto, gdyż Dętka nie przepijał pieniędzy i dbał o dom należycie. Wyprawił nawet babę na jarmark, dał jój pieniądze, ażeby nakupiła płótna na obleczenie, bo dzieci miały po jednej tylko koszulinie, a on téż z żoną, oboje byli obdarci. Znalazł się wtedy w chacie sam jeden z dziećmi, huśtał je, piastował, ucierał im nosy nadołkiem swój koszuli; potem się porządnie wyspał i znowu zamysłał o nocnej wycieczce, zwłaszcza iż było słotno, a przeto od strażników leśnych tém bezpieczniej. Mężowie z klasy inteligentnej, uciekający z domu w nocy na karty, zostają pod wpływem na-

miętności dosyć podobnej do téj, jaka owładnęła mózgiem Dętki.

Kobięta powróciła z jarmarku, nakupiła za bezcen płótna i jeszcze jej pieniędzy zostało na czapkę dla męża oraz dla najstarszego chłopca Jaśka. Wszystkie dzieci dostały gościniec. Radość było huk w téj chałupie, bo pani matka przyniosła w tobołku na plecach duży wieniec białych obwarzanków, a dzieciśka nigdy w życiu nie widziały jeszcze takich rzeczy.

Nadeszła niebawem noc i Franek znalazł się w lesie. Zrąbał grubego dębeczaka, rozpiłował go na trzy części i postanowił te trzy sztuki zawieść kolejno do chałupy, aby je ukryć w kupie gnoju. Zdjął z wozu koła po jednej stronie, wyczył kłoc drzewa, przymocował wiciami, koła nałożył na osi i nie wsiadając na wóz, począł kierować Siwkim. Już był wyjechał na równą drogę, kiedy z boku wypadł nagle strażnik Wojna, wołając:

— Stój, stój!... Franek Dętka, dawno poluję na ciebie! Siuda zeznał, co ty kradniesz głównie.

Ale Franek świsnął i Siwek pomknął jak szalony, już nie do chałupy, ale prosto do Kielec.

Złodzieja leśnego podaje się urzędowi podleśnemu, podleśny przedstawia go nadleśnemu, a nadleśny urzędowi gubernialnemu; stąd wyrok administracyjny przychodzi do powiatu w celu egzekwowania; powiat zaś deleguje sekwestratora, który robi na ruchomościach zajęcie, jeżeli

winny nie chce lub nie może zapłacić wymierzonej kary.

Otóż, na liście złodziei, przybyłej do biura naczelnika powiatu kieleckiego, stało jak wół nazwisko Franciszka Dętki, a obok nazwiska stała w rublach srebrem cyfra kary za ścięcie dębeżaka. Naczelnik powiatu ściągnął za pomocą wójta gminy wiadomość o stanie majątkowym Dętki i przekonał się, że chłop ten jest bardzo biedny. Tym razem nie egzekwowano jakoś kary; miano może wzgląd na ubóstwo i na pierwszą winę. Tymczasem Franek sobie myślał:

— Mam wisieć za jedną nogę, niech wiszę za obie!

Teraz dopiero z całą skrupulatnością oddawał on się zawodowi złodzieja leśnego. Przyłapano go znowu, lecz on kradł dalej; wnet przeszedł złodziei, jacy byli w okolicy. Na liście złodziei leśnych w biurze powiatu figurował nieustannie Franciszek Dętka, ilość zaś kary rosła a rosła.

Franek sprzedał nawet krowę i świnkę, ażeby na wypadek przybycia sekwestratora nie znalazło się w chałupie nic do zafantowania; Siwka też mało kiedy trzymał w domu, lecz się z nim tułał poza chałtą. Strażnicy leśni czatowali teraz na niego ze wszystkich stron, albowiem powszechnie wiedziano, że Dętka regularnie co noc bobruje gdzieś po lasach. Gdzież tam takiego ma kto upilnować! Na jakie dziesięć razy zaledwie raz zdołano się przekonać, że tu i owdzie drzewo kradł, a za-

wsze zręcznie umiał się wymknąć. Siwek też tak się zaprawił do owych kradzieży, iż gdy noc nadeszła, koń formalnie uczuwał żądzę odwiedzenia lasu. Wpadali oni w bory ze wszystkich stron, a najczęściej byli tam, gdzieby się ich najmniej można było spodziewać. Dodać należy, że inni złodzieje leśni, mianowicie też Wicek Siuda, pałali czegoś nienawiścią do Dętki, szpiegowali go i donosili leśnym urzędnikom. Koń i jego gospodarz zdzielili zupełnie, do domu zaś przybywali tylko ukradkiem.

Frankowa przewidywała jakieś nieznanie sobie nieszczęście; modliła się ona, żeby Najświętsza Paniienka dała upamiętanie i lepszy rozum jęj chłopu, swarzyła często na męża i nieraz omało do bijatyki nie przyszło pomiędzy nimi. Wszystko się na nie nie zdało.

Kiedy ktoś zapytał sfrasowanęj kobieciny o męża, otarła oczy zapaską i rzekła:

— Cy ja to wiem, kaj go biesi noszą? Zwydrzył się oto i zwłókl jak wileczysko. Co z takim poradzi?

Aż tu jednego dnia przyszło do gminy pismo z powiatu wzywające, aby Franek Dętka stawił się osobiście u pana naczelnika. Sam wójt, pisarz gminny i sołtys ciągle zachodzili do chałupy Franka, chcąc mu dać wiedzieć o tem wezwaniu. Cóż kiedy interesanta nigdy zastać w domu nie mogli. Zadziesiątowali więc groźnie

Frankowój, ażeby z tém żartu nie było, żeby mężowi powiedziała, o co chodzi.

— O, już on się widno tera nie wymiga, chudziatko!... — jęczała baba.—Jak nie wpakują go do kryminału!...

— Do kryminału pewnikiem go nie wsadzą—mówił sołtys —widać niema ta nijakiego wyroku jeszcze, boby go przez ziandarów chycili. Musi ino nacelnik da im upominek, coby się Franek jakoniebądź ustatkowali; dyć skarbowe drzewo kradną bez wszelakiego pomiarkowania, tyło gminny ma o nich ciągiem okrutne tarapaty.

Pod wieczór dnia tego pojawił się Dętka w chałupie i zażądał, aby mu żona dała warzonój strawy, bo mu się widziało, że „ino samem powietrzem żyje.” Kobiéta była rozsierzdzona, lecz się udobruchała, kiedy jój Franek dał pieniędzy i już mu z całą łagodnością udzieliła wiadomości o wezwaniu do powiatu. Poczém dała chłopu na miejsce gorących kartofli ze szperką.

— A bom ja to głupi włazić im w ręce, oddać się na umęczenie!—rzekł Franek, zabierając się do jedzenia.

— Głupi nie głupi!—odpowiedziała Maryna.— Lepiej pono iść ci samemu, niż cię mają ciupa sem dostawić, bez co sromoty we wsi bedzie pełno i tobie i mnie i onym niewinnym sierroteckom, co są jakoby niemający ojca... Oj, nawarzyłeś ty sobie biędzy!

Przytém baba strasznie sapała i rękawem od koszuli ocierała sobie wilgotne oczy.

— Maryna, słyszysz, nie markoćże, nie czyń a to smętku i żalości! Ja już taki; jak idzie na uwziątkę, to robię swoje, choćbym miał zginać a duszę zaprzepaścić...

— Dobrze tobie pedać — zginać... A ten drobiazg co pocznie? Dyć to to poginie, nikiem kurcząteczka bez kwoki, jeśli ciebie nie stanie... Cóż ta mój babski rozum wart, jak mi w chałupie zbraknie kawałka chłopa?...

— No, mojaś ty, powiedzże, cóżem ja krzyw temu, że mi Pan Jezus nasypał jak ziarna tych dziecek?... Cy ja téż to byłem cheiwy takiego drobiazgu?...

— A możeś ta i nie był, cy ja wiem... Ino po co ty, człeku, zadzieras z onym skarbem, jako gminny powiadają?... Tyś biédny chłop, a to straszne państwo; jak nie cię zmogą... Dyć się na ciebie uwzienni nietylko wójt z pisarzem, ale ponoś i podleśny, nadleśny, powiat i Bóg wiecej co, a ten psia wiara, Siuda, na ciebie im dowodzi... Oj, dowojujesz się ty, Franek, dowojujesz!... Jak się zastanowie, to mię ciarki przechodzą!...

Mowa żony wzruszyła Franka, lecz miał nieco junackiego ducha w sobie i przynajmniej wobec kobiety chciał jak zuch wystąpić, rzekł przeto:

— To i co?... Ja się ta bardzo nie stracham,

głowy mi chyba nie urzezają. Pan Jezus więcćj ucierpiał od tych zatraconych żydzisków...

— Słyszysz, Franek, a żebyś ty tak jutro przeleciał na Siwku do powiatu i pokłonił się nisko temu naczelnikowi, co tam rządzi. Może z niego uczeiwiy szlachcie, toby ci zabaczyli one-go złodziejstwa i rozmaitéj psoty po lesie.

— No, a jak mi nie odpuszczą, to tyła na darmośa będę im się kłaniał i skamlał!

— Idź, Franek, idź! Ino niziośko za nogi molestuj, to się zruszą... Powiedz, jako masz chorzusięnką babę i jako te drobniüşkie mako-lągwy nie wyżyją bez ciebie... Dyć sprawiedliwie ci pedam, co ten mały bąk Jasiek w ogień-by skoczył za tobą; ciągle ino do mnie gaworzy, a nawołuje: tatuś, tatus! Ha, no i za tym Siwkiem beskurcyja aże drży... Idź, Franek, idź! Tać koźden krześcijanin ma serce i litosierdzie dla takich małych pisklaczków... Ino kiej ci już dadzą jakowe pomilowanie, to pomnijże zaniechać hańtego złodziejstwa w lesie.

Dętka usłuchał żony i nazajutrz podążył do powiatu. Co on tam rozmawiał z powiatowym dygnitarzem, trudno wiedzieć, ale kiedy już powrócił z Kiele do chałupy, w ten sposób rozmawiał z żoną:

— Sprawiedliwie mówiłaś, Maryna, zruszyli się i sytko obiecali mi przepuścić. Aż mi lżej na duszy teraz, kiej się całkiem oczyściłem.

— Jakżeś ty z nimi mówił? — pytała Frankowa.

— A no, szukałem ci powiatu z kwandrac. Kiejem się dostał do tego urzędu, fertał się tam jakiś ze złotymi guzikami, więc go zacząłem, jako chcę rozmowy z samym naczelnikiem; on mi na to rzekł ino: „Czekać! Naczelnik o dwunastój przyjmuje!” Takem sobie usiadł na podwórzu pod murem i do słonka rozpatrywałem, jak oni żyją. Byli téż tam i chłopci z papierami od różnych gminnych, tośmy gwarzyli... Dopiero dycht w południe zaprowadzili mię do naczelnika. Oj, kobiéto! Co téż tam papierów; gdzie nasza gmina! A ze trzydziestu pismaków gwazdało tak, co im pióra jeno w łapach piszczały.

— A cóż ci pedział naczelnik?

— Naczelnik ci je figura setna; ażem struchlał, kiej na mnie spożrał tak jakoś dokumentnie i spytał: „Jak się nazywasz?” Ja mu mówię: Franek Dętka, a on skrzywił gębę i rzecze: „Toś ty, bratku, ten sławny złodziój, co kradnie drzewo w lasach skarbowych?” Dopiero jak mu się téż nie rzucę do kolan, jak pocznę załamywać ręce, a prosić, a lamentować, jakom człowiek biédny, ile że na cztyrech morgach, na małuśkim kawałku ziemi, przy nieurodzaju trza wyżyć ze siedmiorgiem dzieci, z babą, a no i z tym moim spychaczem Siwkim, poczeiwości szkapa, ino źértą okrutnie psianogą... Jak mu zacząłem te moje marności okazywać, a zwać go

jaśnie wielmożnym panem, tak się do gruntu zruszył i przyobiecał, że nie przyzwoli, aby mi krzywdę jakąwą zrobiono, tylo żebym się odprzysiął od lasu...

Franek zaprzestał teraz nocnych odwiedzin w skarbowych lasach; przesiadywał w chałupie i, nie mając innego zajęcia, niańczył dzieci. Jednakże nałóg kradzieży częstokroć się w nim odzywał. Nieraz wychodził rankiem na wieś i upatrywał po chłopskich podwórkach, czyjego też wozu krakuje przed chałupą, co świadczyło, że taki a taki chłop kradł w nocy drzewo, a rano sprzedaje je w mieście. Szczególniej lubił Franek przystawać przed chałupą Siudy. Owe obserwacye sprawiały mu zadowolenie i poniekąd wynagradzały zamiłowanie do rozlicznych przygód, nieodłącznych od najeżdżania nocą skarbowych lasów.

Czasem też nocą wychodził przed chałupę, popatrzył na niebo, poziewał, zajrzał do Siwka, pogadał z nim trochę i powracał do izby, chociaż pokusa ciągnęła go wieczorem do lasu.

Jednego dnia przed samym południem, stojąc przy kołowrocie, ujrzał kuma swego, Walka Mierzwę, powracającego z miasta. Ten kum od czasu do czasu puszczał się też na ryzykowny nocny zarobek w lesie.

— Witajcie, kumie! — rzekł Mierzwa, zatrzymując swoje hetki przed chałupą Frankową.

— Bóg zapłać za witaczkę! — odpowiedział Dętka.

— Nie bywacie tera pono zrana w mieście? — mówił znowu Mierzwa.

— A co mam bywać — rzecze Franek, drapiąc się w głowę. P ilnuję ano chałupy, bo mi kobięte bolaki obsiadły, a rolę też chwasty zapaprały, to ją trzeba pod siewy doczyścić!

— Wiecie wy, że Wojna zmarł? — spytał Walek.

— Skąd ja mam wiedzieć? — odpowiedział Dętka.

— Wyszła mu bokiem ludzka krzywda! Ponoś i was, Franku, kilka razy do urzędu donosił.

— Niech mu ta Bóg tego nie pamięta.

— I ja też tak pedam; ino teraz nasi dopiero się obłowią. Gąsior i Siuda pono dwa razy wczora obrócili do Kiele z drzewem.

— Widzicie wy!

— Ostajcie z Panem Jezusem! — rzekł Walek i, zaciąwszy biczem konie, odjechał.

A Franek pozostał sam, myśląc sobie;

— Wszyscy kradną i dobrze im się wiedzie, ja tylko głupi zdaleka się przypatruję... I Wojna oto zmarł, niktby mnie nie przyłapał w lesie.

Przez cały dzień Franek nie odezwał się do Maryny. Kiedy się zaś ściemniło, nasunął na oczy czapkę, wyszedł z chałupy i począł zaprzę-

gać Siwka do wózka. Kobięta wybiegła na próg a trzymając jedno dziecko na prawej, drugie na lewej ręce, mówiła:

— Syćko mi się widzi, co cię złe podleciało i kusi... Dyć ty bez chyby zamysłasz do boru!

Atoli Franek ani słowa nie pisnął, wsiadł na wózek, świsnął, a Siwek popędził klusem.

Trzeba było takiego nieszczęścia, że na miejsce zmarłego Wojny zarząd leśny przyjął nowego strażnika, który, chcąc dać dowód swjej gorliwości, schwycił téj nocy na gorącym uczynku aż pięciu złodziei i pomiędzy nimi Franka Dętkę.

Znowu tedy wyszło na to, że kiedy się ma wisieć za jedną nogę, to lepiej wisieć za obie, i Franek począł na dobre kraść drzewo w lesie. Owładnęła nim dawna gorączka i dawny niepokój, a na liście leśnych złodziei, przedstawionej powiatowi do egzekwowania kary, figurował jak dawniej Franciszek Dętka.

Ważne morłane zmiany zaszły obecnie w duszy chłopca; recydywa jest zawsze niebezpieczniejszą niż pierwotna choroba; zniknęła jego pogoda oraz przywiązanie do dzieci, stał się jakiś ponury; ludzie mówili, że mu źle z oczu patrzy, że wygląda jak „zbój świętokrzyski”.

Pomiędzy małżonkami Dętkami przychodziło do scen nieustannych a wielce przykrych; chora baba kwękała na swoje bolaki, chłop kłął, a dzieci beczwały chórem, widząc rozzłoszczonego tatusia oraz chorą matusię.

W takięj to złości i w. rozgoryczeniu Franek kopnął raz nogą bałykującego po ziemi malca, tak mu już wszystko zawadzało teraz w chałupie; dziecko rozwrzeszczało się w niebogłosy, a wtedy Maryna porwała leżące pod ręką wrzciono i uderzyła niém Franka w głowę. On znowu w strasznęj złości cisnął łupką drzewa i zranił ją tak, że się caia krwią załała. Dzieci rzuciły się do matki, poczęły jęczeć, płakać, a wszystko to na tatusia spoglądało ze strachem i nienawiścią.

Chłop wściekły prawie wypadł z izby i poszedł prosto do karczmy; tutaj zastał on kilku leśnych złodziei, którzy byli dobrze już pijani; Franek wypił półkwaterek, a po chwili znowu wypił drugi, pił *dalej i upił się okrutnie. Do chałupy wrócił już po północy i chciał pogadać z Maryną, bo czuł, że jęj wielką krzywdę wyrządził, ale baba go odepchnęła i zwymyślała. Nazajutrz Franek był od samego rana pokorny a ułożył sobie, że w nocy pojedzie do lasu. Atoli, zaraz jakoś po południu zajechała przed urząd gminny bryczka, z której wysiadł pan sekwestrator; ten zabrał do asystencyi wójta gminy oraz sołtysa i wszysecy trzej udali się do Frankowęj chaty.

Zaledwie się chłop zmiarkował, a już mu Siwka wyprowadzono ze stajni; wybiegł on z chałupy, spojrział co się dzieje, załamał ręce i w rozpacz padł na kolana przed sekwestratorem, bła-

gajac o litość. Tymczasem konia trzymał za uzdę sołtys. Siwek kręcił się pełen niepokoju, widząc pana swego w poniżającym położeniu. Maryna także zwlokła się z łóżka, wyszła na próg chaty, skąd strasznie lamentowała, przeklinając to męża, to obecnych na gruncie urzędników; zewnątrz zaś izby rozlegał się bek i wrzask siedmiorga dzieci. Co sobie myśleli sekwestrator, wójt gminy i sołtys, nie wiemy; to pewna, iż cała powyższa scena była bardzo przykra.

Franek musiał dobrze czuć ciężar swoich win i oceniać surowość nieubłaganego prawa, bo niedługo pozostawał on na klęczkach; naraz porwał się z ziemi, z której podniósł gruby patyk, a zanim się urzędnicy spostrzegli, przyskoczył do Siwka i począł go z całej siły kijem okładać. Koń, nigdy dotychczas przez nikogo nie tknięty kijem ani batem, poskoczył jak oparzony, wierzgnął, wspiął się w górę, szarpnął silnie, przewrócił sołtysa na ziemię i, zadarłszy ogona a parskając nozdrzami, począł rwać w pole. Franek znowu, nie tracąc chwili czasu, co temu popędził za Siwką. Kiedy się już znalazł daleko od chałupy, emoknął ustami, a mądry koń przystanął. Wówczas chłop wsiadł na szkapę i w mgnieniu oka zniknął z przed oczu zdumionych urzędników.

Przez kilka dni nikt nie wiedział we wsi, co się dzieje z Dętką; opowiadano dziwa o jego zajściu z urzędnikami; byli tacy, którzy to po-

stępowanie surowo ganili, inni je pochwalali; ale w ogóle przewidywano złe skutki, jeżeli Franek do wsi powróci.

Jakoż jednego dnia późnym wieczorem Franek wszedł do chaty, a był tak strasznie zmizerywany, że go żona ledwie poznała; wyjął on z zadrapa paczkę banknotów i oddał je Marynie, mówiąc:

— Weź te pieniądze dla dzieci; sprzedałem Siwka, ale tego chyba nie przeżyję...

Baba przyjęła pieniądze, lecz jój się markotno zrobiło na takie gadanie Franka; chciała żeby się posilił, ale on jeść nic nie chciał i był jak struty, chociaż mały Jasiak koniecznie mu się na kolana gramolił.

— A i bez jednego konia życie sobie byś zmarnował, człowieku; miejże téż zastanowienie!— wołała Maryna.—Choćby cię téż nawet i do kryminału zamknęli, to odsiedzisz, a nie sterasz siebie i syckiego!

Pod wpływem kobiety niby się to na razie uspokoiła burzliwa natura chłopca; słowa Maryny zawsze mu jakoś trafiały do przekonania, ilekroć go pocieszała. Lecz kiedy wyszedł przed chałupę, gdy sobie przypomniął, że Siwka już nie ma w stajni, to się o kęs pod ziemię nie schował.

Zabrał się na całą noc i poszedł do karczmy, mówiąc żonie, że się boi, ażeby go nie zaaresztowano.

— Dyc tobie w chałupie przepieczniój, niż

w karczynie... Pożałuje taki, co się przy mnie śmie tknąć,—powiedziała rozżalona baba.

Mimo to Franek poszedł do karczmy, coś go wypędzało na świat z domu.

W karczynie pił na swoje strapienie, a gdy sobie podpił, strapienie go jakoś ominęło; ale za to poczuł w sobie żal i złość względem złodziei leśnych. Tym, którzy byli w karczynie obecni, wymyślał od ostatnich, groził, że ich powydaje, ponieważ wie, gdzie mają pozakopywane dębowe kloce. Ze starym Siudą wyraźnie szukał zaczepki, obrażał go, przeklinał, że z jego to winy popadł w wielkie nieszczęście, że nigdy nic nie kradł, dopóki nie posłyszał przekonywającój namowy starego złodzieja. Franek nietylko lżył Siudę, lecz rzucał mu się do gardła, ale obecni powstrzymywali owę zawziętość, a na ucho kładli Dętec:

— Ej, Franku, nie zadzierajcie z takim; on okrutnie mściwy i tego wam nie puści.

— Niech ino spróbuje, ten stary złodziej, kłaka mu na łbie nie ostawię, kości pogruchocę!...

Wszystko to wykrzykiwał głośno, a ludzie się dziwili, skąd mu przyszedł ten jankur, i szeptali między sobą, że go chyba wściekły pies pokąsał.

Dętka upił się wtedy ogromnie, karczmy nie chciał opuścić, aż go musiano przemocą późno w noc wyprosić. Wracając do domu, mówił po drodze o Siwku, o dzieciach i przeklinał Siudę na czém świat stoi. Pomimo stanu opilego, wie-

dział jednak, iż będąc pijanym nie powinien wracać do chałupy, bo mu Maryna zrobi przykre wymówki; minął więc swoją chatę i szedł dalej przez wieś. Zatrzymał się nareszcie przed ostatnią chatą, poczuł wewnątrz siebie ogromne palenie i pragnął się napić wody, więc podszedł do studni ze żórawiem, która stała przy drodze; spuścił wiadro i ciągnął wodę...

Nazajutrz ze studni téj wyciągnięto topielca; był nim Franek Dętka.

Opinia powszechna twierdzi, że Franek zginął skutkiem mściwości Siudy.

DEMON.

DEMON.

Wsiadłem do wagonu. Lokomotywa, jakby jakiś potworny odyniec, poczęła sapać i fukać: „uf, uf, uf!“ Odezwała się świstawka: „fiur lu lu!“ Pociąg ruszył.

Usiadłem przy jedném oknie, przy drugiem już siedział jakiś człowiek wysoki, blady, brunet, z czarnymi przenikliwemi oczyma, wąsaty i brodaty.

Było to na schyłku Sierpnia. Woń pól i lasów wpadała z wietrzykiem do wagonu. Przed okiem obrazy szybko migały. Puchy okwitłych ostów bujały w powietrzu i lśniły się w promieniach południowego słońca. Jałowcowe krzewiny migały mi w oczach, jak pielgrzymy piaszczystych pól, a czasem przemknęła karłowata sośninka, lub młody świerczek, strzelający wierzchołkiem w górę. Wiedły już w skwarze lata paprocie po karczowiskach, a gdzie niedzie jeszcze zieleń ich odbijała od czerwonej barwy gleby tych okolic.

Pociąg zdążał od Kiele do Olkusza.

Tu i owdzie łąn zółcił się kwiatem łubinu, wszędy dokoła widniały płowe rżyska, a w dali odbijała się niekiedy fioletowa barwa liści kapusty. I znowu znikał ten obraz, a nastawał inny. Niby mileżące cmentarzyska, miałeś przed sobą obszary lasów wyciętych, o czarnych pniakach, wśród których młoda brzezinka wiązała się w gałązki i jeżynowe krzaki wraz z paprocią wznosiły obficie na tych mogiłach wytępionych dzieci boru. Czasami spostrzegałeś potworny pniak po olbrzymim snadź dębie, woda wypłukała jego korzeniska i smutno ci w duszy było, że tak krzepko przyrósł dąb do ziemi, a wypaść z niej musiał... Niekiedy znowu wzrok zatrzymał się na płaczącej brzozie, strojnie otulonej w rańtuch zielonych liści. I to także znikało. Znowu miałeś przed sobą wytrzeszczone żółte oczy rumianów, trawy, wyżarte niejako przez spieki słońca, piaskowe zaspę, węży powyrywane przez wodę. Kraj coraz biędniejszy, smutny, pełen przyschłych kartoflanych badyli, lub zrzadka porosły czerwonawą hreczką. Zanim staniesz w Ojcowie, to ziemia wokoło Olkusza zdaje ci się być wydzieczoną, obdartą.

Po pustych polach błędziły tylko chude krowy, a między niemi gromadki opalonych od słońca i w zgrzebne koszuliny marnie przyodzianych dzieci.

Mój towarzysz zdał się téż uważnie rozglądać po okolicy.

Zmiana szybko następujących widoków utrudza, odsunąłem się więc od okna, siadłem i oparłem głowę o ścianę wagonu. Mój towarzysz wytrwał dłużej przy swoim oknie, ale po jakimś czasie i on spoczął. Mimowoli przyjrzałem mu się lepiej i dostrzegłem, że człowiek ten miał na ustach uśmiech lekceważenia, a cała twarz zdradzała pewien przywyk do wyrażania uczuć wzgardy. Uderzyło mnie to, więc częściej już zwracałem oczy w kierunku przeciwnego okna.

— „Z czego on może drwić?“ — myślałem sobie.

Tymczasem nieznajomy wydobyl pudełko z cygarami, wybrał jedną sztukę, obejrzał, starannie obciął wierzchołek gilotynką, zawieszoną przy dewizce od zegarka, rozpalil stearynową zapalką i wnet poczułem miły dymek wybornych hawańskich liści.

Przypomniałem ja sobie, że mam w kieszeni paczkę papierosów Patkanowa z napisem „Dubec moyen,“ ale jakiś fałszywy wstyd mówił mi, że nie wypada ćmić plebejskiego papierosa wobec takiej dystynkcyi dymu jak najlepiej urodzonego cygara. Że atoli jestem nałogowym palaczem, ostatecznie nałóg wziął górę. W kącie wydobyłem z kieszeni jednego Patkanowa, wyjąłem też wielkie pudełko zapalek Hessego z bajkami Kryłowa i począłem się narkotyzować. Wypuściłem z ust kłęb dymu, kiedy właśnie pociąg stanął na stacyi. Powietrze było ciche, spokojne, nie miał miejsca przeciąg, więc szary obłok papierosowego

dymu spotkał się z błękitną falą dymu cygara i znikł w niej zupełnie; czułem i widziałem tylko dym hawańskiego cygara. „Może Patkanow ilością zwycięży“ — pomyślałem i począłem kurzyć z całej siły. Masy dymu szły z ust moich, umieszczały się pod spodem kłębow dymu cygara i jakoś wsiąkały w te ostatnie.

Nieznajomy współtowarzysz uśmiechnął się, jak gdyby czytał moje myśli. Skończył właśnie cygaro, zdala od siebie rzucił miękki kapelusz, wydobyl z kieszeni jedwabną czapeczkę, nałożył ją na głowę, a przymrużywszy oczy, wyciągnął nogi przed siebie.

Pociąg ruszył, wiatr wionął i wszystek dym uderzył na mnie, szczypiąc mię w oczy, dławiąc w gardle.

Począłem dokładnie przyglądać się nieznajomemu. W porzuconym kapeluszu dojrzałem napis złotymi literami: „Berlin.“ Rzuciłem okiem w górę i spostrzegłem na walizce przyklepione snadź w hotelach marki z Drezna, Frankfurtu nad Menem, Kolonii. Tuż obok niego leżał numer „Kladeradacza,“ przyłożony z wierzchu przewodnikiem Bedekera.

Kiedym się tak rozpatrywał, naraz spostrzegłem, że mój towarzysz przez nawpół przymrużone oczy wyraźnie patrzy i mnie obserwuje. Byłem z tego niezadowolniony, a w duszy złoroczyłem swemu popędowi ciekawości. Nieznajomy, niby przez sen, uśmiechał się bardzo złośliwie.

Teraz rzuciłem się w kąt wagonu, oparłem głowę, zamrużyłem oczy, usiłując zasnąć. Daremny to był wysiłek. Oryginalna, cudzoziemska fizyognomia nieznanego wświdrowała mi się głęboko w umysł i spać było niepodobieństwem. Otworzyłem znowu oczy, a zaraz mię coś ciągnęło, aby spojrzeć w stronę przeciwległego okna. Mój towarzysz, lekko odwrócony odemnie, i tą razą uśmiechnął się szyderezco.

Dojeżdżaliśmy do Wolbroma, miasteczka, które właśnie niedawno przedtém stało się pastwą płomieni. Widok oplakanych zgliszcz siedzib ludzkich nader żywo mówi do duszy.

Smutno pomyśleć, że i to także pomnożyło wielką niedolę naszą. Chcąc nie chcąc, snuły się myśli moje na temat, jak też to ów Wolbrom powstał. Wyobrażałem sobie, że kiedyś tam musieli go zbudować robotnicy niemieccy. Przecież oni byli założycielami miast i miasteczek naszych!.. Od Wolbroma przeniosłem się myślą do pobliskiej Pilicy, wspomniałem wielkie fabryki, które tam Niemiec założył. Nasunęły mi się na myśl Zawiercie i Dąbrowa, gdzie niedawno spotkałem tyłu Niemców... A Łódź, a Zgierz, Tomaszów!..

— Czyśmy też kiedy istotnie walczyli z Niemcami? z tą falą potężniejszą, niż powódź oceanu, niż płomień ognia?—pytałem sam siebie.

— Walczyliśmy tylko orężem—brzmiała odpowiedź—a zwycięstwa oręża są bardzo nietrwale,

stają się nawet w przyszłości częstokroć klęską zwycięzców.

— Małą pociechę miał stary Pryam, że był spadkobiercą sławy swoich ojców, skoro gród jego rozsypał się w gruzach... Tylko poeta zapłakał, mówiąc: *Si mens non levis fuisset, stares nunc Troja Priamique arx alta maneres.*

Znowu spojrziałem na mego współtowarzysza podróży, a on miał w tej chwili twarz rozjaśnioną takim uśmiechem, jaki u człowieka tylko uczucie tryumfu wywołać może.

— Byłżeby to śmiech z mojego smutku?.. Ten człowiek zda się być niemcem... Może on czyta na dnie duszy mojej?... Więc nawet z boleścią ukryć się nie można, ażeby za nią nie otrzymać obelgi, miasto współczucia?

Stanęliśmy nareszcie w Olkuszu, gdzie się najmuje furmankę do Ojcowa.

Jakbym się sparzył ukropem, wyskoczyłem z wagonu, rad, że się uwolnię od towarzysza, którego fizygnomia wstrętem mię przejmowała.

Cztery furmanki oczekiwały na stacyi, a kiedy przybyłem na plac za dworcem kolei żelaznej, dwie już najęto; byli tacy, co mię zdołali uprzędzić. Pozostawały jeszcze dwa wózki.

Właścicielem jednego był żyd,—drugiego chłop. Pierwszy żyd sam mi się nastęczył, a spytany przezemnie o cenę, postawił nazbyt wygórowaną. Podszedłem więc do chłopca, który, zdjawszy czapkę i drapiąc się w głowę, nie wyrażał stanowczo

swój decyzji. Jednym rzutem oka zauważyłem, iż żyd z oddalenia pięścią wygraża chłopu, ażeby przypadkiem nie zgodził się na cenę mniejszą od proponowanej mi przed chwilą. W chłopie widocznie walczyło poczucie sprawiedliwości z uczuciem furmańskiej solidarności, stąd i pochodził brak decyzji.

— Chwałaż Bogu!—pomyślałem.—Niechże choć na jednym punkcie zapanuje solidarność! Solidarność ta oto jest wprawdzie lichego gatunku, ale niechby się i taka ustaliła, to z czasem możeby się dała zastosować do spraw dobrych i moralnych.

Postanowiłem chłopą przetrzymać, będąc pewnym, że się wkrótce zdecyduje i przyjmie ofiarowaną sobie przezemnie cenę. Żyd tymczasem znalazł sobie kilku pasażerów starozakonnych i pojechał z nimi za tę właśnie cenę, jaką ja proponowałem niezdecydowanemu chłopu.

Niebawem pociąg opuścił Olkusz. Zdawało mi się, że jestem jednym jedynym kupcem na rynku furmańskim, że więc chłop ostatecznie dla własnego interesu zmuszony zostanie przyjąć moją cenę i odwiezie mię do Ojcowa. W takim mniemaniu udałem się do bufetu, aby wypić kieliszek wódki. Kiedym znowu wyszedł na plac, spostrzegłem ze zdziwieniem, że wózek chłopą zajęty już jest przez kogoś; leżały tu różne rzeczy: skórzana poduszka wraz z pledem ściśnięta paskami i znana

mi walizka z napisami: „Hamburg,” „Frankfurt a. M.” i t. d.

— Jakto, więc wynajęto wasz wózek? — pytałem z tajoną żalością i widoczną złością.

— A bez cóż pan nie chciał dać tyle, siła przynależy?... Faktor za to przyprowadził drugiego pana, musi miemca, i powiozę go.

— Dokądże wy z nim pojedziecie?

— Do Olkusza, a potem do Ojcowa i mamy się jeszcze po drodze zatrzymać w Przegini.

— Ileż wam zapłacił?

— Dał rubla więcej, niż żądałem od pana...

Wtém we drzwiach dworca kolei żelaznej ukazał się właśnie mój współtowarzysz z wagonu; szydreczy uśmiech i teraz wiał się około ust jego; zaledwem go ujrzał, odwróciłem głowę i poszedłem drogą prosto do karczmy, stojącej zdala na wzgórzu. Niebawem rażno przejechała furmanka, która miała mnie powieźć do Ojcowa; chłop, przejeżdżając, ukłonił mi się czapką; ja też uchyliłem kapelusz i spostrzegłem, że mój eks-towarzysz także mi się skłonił.

— Bodajeś nieszczęście miał w drodze! — myślałem w duszy.

Wszedłem teraz do karczmy, gdzie znalazłem liczną gromadę jakichś obdartych nędzarzy. Słuchałem, o czém ci ludzie rozmawiają i z treści ich rozmów doszedłem do wniosku, że są to mieszczanie z Wolbroma, pogorzelcy. Jedni z nich przybyli do powiatu z prośbami o pozwolenie od-

budowania spalonych domów, drudzy przyszli tu ze skargami na straszną biędę. Wszysey byli pijani, a przytém zrospaczeni; niektórzy z nich miotali przekleństwa, inni znowu ściskali się między sobą, wykrzykując chrapliwym głosem: „Bóg dał, Bóg wziął!” — Żyd szynkarz w długim hałacie i w trzewikach, pełen uroczystego nastroju, nalewał im czystą wódkę. W tłumie owym było téż trzech wynędzniałych izraelitów, także pogrzelców; ci wszakże byli trzeźwi i z pijanymi chrześcianami prowadzili nieustannie jakieś rozmowy na ucho. Strażnik ziemski, raczony obficie przez tych biédaków, kiwał głową, rozkładał ręce, dowodził jakichś rzeczy trudnych do zrozumienia; widocznie uważał on sobie za obowiązek krzepić upadłych na duchu.

Tego i owego zaczępiłem, wypytyjąc o radę, jakby można zdobyć furmankę do Ojcowa; wytrzeszczali na mnie oczy, uśmiechali się głupowato, pokręcali głową, wzruszali ramionami.

Uciekłem z karczmy, myśląc:

— Po co ja wyjechałem z Warszawy? Po co mam zamiar jechać do Ojcowa?.. Wypocząć?..

— Może lepiej powrócić?.. Ej, nie,—pojadę!

Jeszcze ze dwie godziny potém włączyłem się po okolicy, nagabując różnych ludzi, aby mię chcieli odwieźć do Ojcowa. Daremnie! Chciałem iść do Olkusza i w ostateczności najać pocztę; ale zrobiono mi uwagę, że koni nie dostanę, bo pan pocztmajster na łeb na szyję zwozi dzisiaj

z pola swój jęczmień i owies; zalecano mi, że najlepiej czekać na dworcu, to wcześniej czy później furmanka sama się nadarzy. Jednakże jakoś niechęć znalazłem się na drodze, wiodącej ku Olkuszowi. Ujrzałem zdaleka obłok pyłu i miałem nadzieję, że nareszcie ktoś przybywa; może mię ze sobą zabierze, a może jaki próżny ekwipaż... Wpatrzyłem się całą energią wzroku i spostrzegłem, że to właśnie mój towarzysz z wagonu powraca już od Olkusza.

Postanowiłem zejść na bok, aby uniknąć spotkania, kiedy furman wstrzymał pędzące konie, wołając:

— Może się panoszek przysiadzie tera z nami do Ojcowa?... Ten pan, co jedzie, zgadza się na zabranie, a ja dostanę choć z dziesięć złotych.

Wahałem się przez chwilę, atoli chłop nalegał:

— I dla pana wyniesie tanięj, i dla mnie też lepięj; zawdy od dwóch szlachciców zarobię więcéj, niż od jednego.

— Istotnie, czemużby on nie miał zarobić, zwłaszcza że i ja zyskuje?—pomyślałem. — Przecież politycznym absurdem jest ginąć czysto z powodu wstępu do Niemców.

Chłop zajechał przed dworzec kolei żelaznej, skąd zabrałem swoje manatki; poczem ruszyliśmy w drogę. I znowu jak w wagonie utworzyliśmy dartego orła; mileząc, spoglądałem w jedną stronę, mój towarzysz w drugą. Od czasu do czasu Niemiec wydobywał lunetę i obserwował okolice.

Gdyśmy dojechali do Przegini, mój towarzysz trącił furmana palcem, ukazał mu jakąś chatę na wzgórzu; furman podjechał i stanął. Na progu owéj chaty stał chłop w zgrzebnej koszuli i w zgrzebnych pantalionach, w ręku trzymał maleńkie dziecko i huśtał je, sam dyrdając. Nieznajomy zszedł z wózka, zbliżył się do chaty i zapytał po polsku:

— Czy to wy Józef Rogosz?

— Bestya widocznie lepiej mówi po polsku, niż ja po niemiecku—rzekłem sam do siebie.

Na zadane sobie pytanie chłop piastujący dziecię począł się śmiać serdecznie.

— Dlaczego wy się śmiejecie? — pytał mój towarzysz poważnie.

Jednakże chłop nie odpowiadał, tylko przyzywał do siebie babę:

— Franka, słysys—pójdźno Franka!

A kiedy wezwana Franka ukazała się na progu, chłop rzekł do niéj:

— Dzis ty, ja się tak śmieję, bo uni mię nazywają Rogos!...

Baba poczęła się śmiać także; nie wiedząc, dlaczego—śmiałem się i ja również, śmiał się téż furman; sam niemiec miał fizyognomią bardzo poważną.

— Dyc ja nie żaden Rogos, ino Maciek Maślanka!—zawołał chłop. — Rogosem to ta tylo ludzie przezwali mego śwaka; ale i on téż nie Rogos, ino Matus Kotula...

— Powiedzcie mi, gdzie tu u was we wsi znaleziono takie oto kamienie? — badał nieznajomy i z temi słowy wy dobył z torby podróżnej jakąś bryłę.

Chłop otwarł usta, podrapał się w głowę i spoglądał to na kamień, to na swą żonę.

— Franka, widzisz ty, to psecie na Bartkowym gruncie wykopali na bez rok jakieś dziwne bryliska...

— A juści, juści!... Mieli ci je wykopać na Bartkowym gruncie, kiej wykopali w Musiałowych kartoflach—odrzekła Franka, krytykując męża.

— Zaprowadźcie mię w to miejsce, a dobrze was wynagrodzę!—mówił znowu nieznajomy, którego twarz rozjaśniła się teraz niezwykle.

— Co ta panu przyjdzie z takiej bryły!—rzekł Maślanka.—Frygnąć ino na drogę i kuniec.

— Co mi z tego przyjdzie, to rzecz moja; wam zapłacę za czas stracony i za grzeczność—powiedział Niemiec.

— A skądże pany jadą?... — pytał niezdecydowany Maślanka.

Niemiec zastanowił się przez chwilę, mimowoli rzucił okiem na mnie, potem rzekł:

— Zdaleka, mój człowieku... z Berlina!...

— To już nikię za Polską musi kraj takowy leży... Po chwili zaś dodał:—Siłaż dadzą za tę oprowadzkę po polu?

— Dostaniecie teraz rubla, a jeśli się tam po-

każą takie kamienie, położę wam na rękę zaraz pięć rubli.

— Franka mrugnęła jakoś znacząco na Maćka i odebrała od niego dziecko.

Niebawem mój nieznajomy towarzysz i chłop, uzbrojony w motykę, ruszyli gdzieś w pole.

— Przygotowuje się widocznie nowy jakiś germański tryumf! Niemcy wygrają z nami bitwę pod Przeginią—pomyślałem.—Dziwny to los nasz; oto syn ziemi prowadzi swego wroga do jój bogactw! I za jaką cenę?

— Proszę pana, to musi być jaki nizinier, bo i w Olkusu ino latał po polach, a ciągiem zbierał jakieś bryły... Cego on może szukać?—pytał mię furman, od którego się już dowiedziałem, że się nazywa Seweryn i pochodzi z Czajowic.

— Moi kochani, on szuka skarbów!—zawołałem z goryczą. Jeżeli je w ziemi znajdzie, będzie wielkim panem, a ci, którzy te skarby mieli w rękach, pozostaną i nadal nędzarzami.

— A juści, juści, nie skarb to, jakby w ziemi było żelazo, lebo jenszy krusiec! — mówił Seweryn.—Ludzie pedają, co między takimi niemcami łatwo o carownika.

— Taki cudzoziemiec stokroć gorszy, niż czarownik!... Sprowadzi tu może ze sobą gromadę niemców i oni będą rządili, a wy będziecie się im wysługiwali.

— Tać wiem, co my chłopcy głupie... Aie cóż, panie, za rada na to? Od wieka ponoś byliśwa

tacy! Zlepszyło się co nieco w urodzaju na zboże, to znowu jest inny jaki frasunek...

— Jakiż to frasunek macie?

— Czy to pan nie wie?... Dyć człek dawniej skórą za syćko płacił, a tera to ino pieniądze a pieniądze!... Nienastarezone rzeczy.

— Bicie w skórę upadła człowieka, mój Sewerynie, lecz jesteście obywatelami kraju, ludźmi, których każdy szanuje.

— Kaździusieńki pan, co z Warsiawy jedzie, rychtyk to samo gada... Ino ja nigdy temu nie wierzę.

Spojrzałem przed siebie i spostrzegłem Niemca z chłopem wałęsających się wdali po polu; przystawali, schylali się ku ziemi, rozmawiali widocznie żywo, bo Maślanka rozkładał ręce, jakby czego dowodził.

— Nie mogą widać znaleźć tego, czego szukają—mówiłem półgłosem.

— E, Maślanka go ta do nijakich skarbów nie doprowadzą!—rzekł furman, machnąwszy ręką.— Cheą a to wyłgać jeszcze co niebądź od Niemca i tak go tumani.

— Jak to tumani?

— A no wodzi po próznicy kajniebądź... Cóż ma lada przybłędzie sytko pokazować?

— Więc on temu Niemcowi nie pokaże miejsca, skąd wydobyto owe kamienie?

— Co zaś ma pokazać!.. Położą oto za onego rubla i kuniec!

— Wy to na pewno wiecie?

— A ino; zarazik sobie skarkulowałem, że się Maślanka z babą swoją zmówił na niemca.

Teraz myślałem sobie:

— Rozumiem, że i ciemnota może być nieraz pancierzem narodowego samozachowania, jeśli brak lepszej tarczy...

Widziałem zdaleka, jak Maślanka przywoływał różnych chłopów i baby od pracy w polu; wszystko to kłaniało się nieznajomemu, który może i obdarowywał przyzwanych jakimiś datkami. Jednakże, kiedy w parę godzin powrócił mój towarzysz podróży do wózka, miał fizygnomią człowieka zawiedzionego; chłopci zaś, przywoływani z pola, zebrali się w sporęj gromadce na wzgórzu i żywo między sobą o czémś rajcowali. Z szacunkiem uchyliłem przed nimi kapelusz na pożegnanie. Niemiec zapisywał sobie coś w notatniku, rozpatrzył jeszcze okolicę przez lunetę, wsiadł na furmankę i ruszyliśmy.

Byłem jakiś zadowolniony, niemiec mniej mnie już gniewał, a natomiast wzrosło we mnie uczucie ciekawości.

— Zamyśla pan widocznie zbadać te strony?—
odezwałem się pierwszy.

Nieznajomy spojrział mi bystro w oczy, jakbym go niespodziewanie wyrwał z toku jakichś myśli i przybierając fizygnomią zdziwionego, rzekł:

— Jeżeli się coś poznać daje, czemuż tego nie uczynić?

— Myślę, że z ludem naszym trudno jednak dojść do ładu—mówilem, aby zaciągnąć rozmowę.

— Lud ten jest dosyć głupi; ale nie jest zły ani nieszczęśliwy.

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że lud polski ma dużo własnej samoistności, i nie jest zbyt podatnym dla celów bieżącej cywilizacji... Brak taki może wszakże być środkiem przechowania oryginalnych cech swojskości.

Cudzoziemiec wstrząsnął głową, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Jedni tylko polacy uciekają się do rozumowania tego rodzaju. Na zachodzie niedorzecznością jest twierdzić, że ciemnota cośbądź zbawiać może... Prawda, że narodowość słaba i zrozpaczona musi nienormalnie rozumować.

— Panie—rzekłem—są istoty, które zostają sobą dopóty tylko, dopóki przebywają w ciemności... Jest gatunek światła, który je zabija.

— Comparaison n'est pas raison! Człowiek na całej ziemi stworzony jest do cywilizacji i tylko pod warunkiem, że jest cywilizowany, może mieć widoki powodzenia w walce o istnienie. Kto nie wie, ile warte świeże powietrze i światło, ten w brudnej a ciemnej atmosferze musi się z czasem udusić.

— To także porównanie tylko! Co pan nazywał światłem i świeżym powietrzem, może to być zdrowe dla jednych, podczas gdy inni w tych warunkach ulegają rozkładowi.

-- Daleko słynie szeroko zakreślony i uparty polski konserwatyzm; w ostatnich czasach przedstawiono go nawet patryotyzmowi niemieckiemu, jako miecz Damoklesa w celach, mających chwilowe polityczne znaczenie... Lecz czyż można sądzić, że marzenia na temat historii i rozprawianie o moralnych prawach do bytu mają znaczenie w samym bycie?

— Ho, ho!... Zdajesz się pan mniemać, że żywe uczucie patryotyczne, w jakiegokolwiek formie się ono przejawia, jest urojeniem... Inaczéj mówiąc, sądzisz pan, że narody bogate, szczęśliwe, wykształcone, posiadają jedynie dobry patryotyzm,—że zaś biedni i nieszczęśliwi mają patryotyzm zły.

— Nie! Nie mówię o dobrym ani o złym patryotyzmie; zaznaczam tylko użyteczność i nieużyteczność tych uczuć, gdy chodzi o dobrobyt społeczeństw; twierdzę, że pretensye, choćby najsprawiedliwsze, nie mają w polityce głosu, jeżeli są gołosłownie przez uczucia stawiane. Bo czyż polacy mogą się spodziewać, ażeby im inne narody byt przygotowały? Jeżeli obcy cokolwiek-bądź dla nich zrobią, uchylą za to i o tyle właśnie ich pretensye... Kto u was zakłada fabryki, lub wykonywa jakieś przedsiębiorstwa, nie czyni tego dla was; on za was tylko odrabia pracę, za co należy mu się wynagrodzenie.

— Ciekawi, doprawdy, są nieproszeni dobroczyńcy!—zawołałem—wychodzi to na takie mniéj

więcej położenie rzeczy: Jeżeli mię ktoś w czasie burzy okrył swoim parasolem, może mi z nastaniem pogody zabrać buty, surdut i czapkę. Za to, że niemcy uczą pracować nas nieumiejętnych, nie pozwalają nam pracować u siebie, a z drugiej strony zakładają u nas niemieckie kolonie... Panie, gdzież tu ekonomiczna wymiana usług, nie mówiąc już o uczuciach moralnych?

— Niemców obowiązuje cywilizacya; oni muszą ją krzewić wszędzie, gdzie jej niema,—nietylko w Europie lecz i w innych częściach świata. Przychodzimy do Polski, bo to jest nasze święte posłannictwo; przychodzimy do was nauczać, przyносimy tu skarb cnót niemieckich, rozum i kapitał. Przyznaj pan, że tego wszystkiego wam brakuje.

— Przyznaję, lecz zrobię tutaj maleńką poprawkę. Falszywą była religia wasza, gdyście, niosąc ją, tępili słowiańszczyznę; fałszywa jest wasza cywilizacya—cnota i rozum, którymi nas tak wspaniałomyślnie darzycie.

— Frazesami o tém, co jest fałszywe, nieszlachetne i t. d., nie zdołasz pan powstrzymać ani jednego niemca od celów, jakie mu wytknął temperament jego rasy w ciągu dziejowego rozwoju. Decyzya o tém, co jest moralne, tak dobrze pochodzi od niemca, jak i pojęcia o naszym posłannictwie na całej ziemi... Moralność, jaką pan głosisz, przybyła do ciebie od niemców, bo stamtąd wszystko idzie. Ale jest to już „längst überwun-

dener Standpunkt.” Było to dobre, póki nam było potrzebne, dopóki nas nie doprowadziło do punktu, w którym dziś właśnie stoimy... A wy to jeszcze powtarzacie, jak Ojciec nasz za panią matką!... I szyderczy jego uśmiech zmienił się nagle, a cała twarz przybrała wyraz dzikiéj srogości, okrucieństwa.

Teraz uczułem w sobie, że nie miłość, nie sprawiedliwość, nie uznanie stanowią potęgę w człowieku; ale nienawiść, która wstrząsa całym jestestwem,—wstręt, który przejmuje każdy atom organizmu.

— Rozumiem!—zawołałem—pojąłem tę cywilizacyą, która rodzaj ludzki po długich a długich wiekach pracy doprowadziła nareszcie do takiego momentu, kiedy on rozpoczął swoje niemowlęce kroki na polu uspołecznienia... I słyszę, mój panie, zgrzytanie zębów jakichś troglodytów, słyszę charkanie wzajemnego duszenia się: trzeszczą czaszki, mózgi się rozpryskują i ciepła krew płynie... Co za rozkosz tych zwierząt!

Niemiec przez chwilę na mnie popatrzył, na usta znowu mu powrócił spokojny, szyderczy uśmiech i rzekł:

— Cóż to wszystko polakom pomoże?... Jeżeli w walce troglodytów zwycięży typ niemiecki, zasilili on się typem pokonanym i będzie silniejszy po zwycięztwie, niż przed zwycięztwem... Czy analogie pańskie odnoszą się do małp, czy do mikrobów, mnie jest wszystko jedno, ponieważ

pan nie zdołasz wzruszyć nieodwołalnego faktu... Ja jedną analogią mam na ustach: Oto, wydajesz mi się pan być suchotnikiem, któremu na ziemi niewiele godzin życia pozostaje, a jednocześnie wierzysz w konieczność życia bardziej, aniżeli cała ludzkość.

— Za proroctwo winienem panu również proroctwo i tój samój wartości! Gdybym miał dar widzenia przyszłości, to wskazałbym panu może miejsce na miłe dla mnie *rendez-vous*... Boć wszystko na świecie ma swój koniec. Wyobrazić sobie oblężenie Berlina jest zupełnie prawdopodobnym. No, a potem następuje kapitulacya, traktaty, upadek polityki, wpływu i t. d. *Paulatim summa petuntur*...

— Od tój chwili, jak począłem książki czytać, dowiedziałem się, że gdzieś tam na świecie rośnie jakiś słowiański Herman, który kiedyś rozbije armią niemiecką, podobnie jak staro-germański Herman rozbił legiony cezara Augusta w lasach Hereyńskich... I o tём to zapewne mówisz pan w tój chwili. Jednakże brednie tego rodzaju spotykają się zaledwie w arcystarożytnych mitologiach. Znającym historiją wystarcza uwaga, iż zwycięzcy starego Rzymu byli od niego niezależni, podczas gdy słowianie są w naszych rękach. My ich wychowujemy, ażebyśmy własnych celów dopiąć mogli; oni powinni być zadowolnieni, iż do dzieła tego przyłożyli rękę, ponieważ nasze cele — to cele ludzkości...

Przestaliśmy rozmawiać, gdyż wózek nasz, podskakując, szybko staczał się w Ojcowską dolinę. Mój towarzysz dobył lunetę i czekał, aż wózek pędzić przestanie, ażeby mógł rozpatrzeć okolicę. Co do mnie, byłem zły i rozdrażniony.

Wnet zajechaliśmy przed hotel pod „Łokietkiem.” Tutaj, już przy samém wejściu usłyszałem, jak miejscowy restaurator rozmawiał ze swoją żoną po niemiecku.

— Czy są niezajęte mieszkania?—spytałem.

— Znajdą się, ale w tamtym oto nowym hotelu!—Odrzekł zapytany i palcem ukazał mi w polowie jeszcze niewykończony, długi budynek, dokąd się też niebawem udałem. Dokoła tego nowego hotelu uwijali się mularze i cieśle; słyszałem wyraźnie, że rozmawiają ze sobą także po niemiecku.

— Przekłęte moje nieszczęście!—myślałem, nastawiając uszy, czy się przypadkiem nie mylę... Nie! ci ludzie jak najwyraźniej mówili po niemiecku. Pomimo rozdrażnienia, pod wpływem Łokietka i Niemców, przypomniałem sobie Alberta, wójta krakowskiego, jako dramat.

Hotelowy służący prowadził mię po niewykończonych jeszcze schodach na pierwsze piętro. Na schodach tych rozciągnięty, z heblem w ręku, pracował człowiek w niebieskim kaftanie.

— Proszę mię przepuścić!...—powiedziałem.

— Bitte, bitte!..—zawołał rzemieślnik, usuwając się na bok z uprzejmością.

Tego było już za dużo... W Ojcowie sami Niemcy! Gdzież tu są Polacy? Polacy, to zapewne goście, z których Niemcy ciągną zyski. Polacy to także robotnicy, zwożący kamienie, wodę, piasek i usługujący niemieckim majstrom. Kiedy służący kluczem otwierał drzwi przeznaczonego dla mnie numeru, wtedy właśnie mój towarzysz przebiegł schody, na których z heblem w ręku pracował niemiecki rzemieślnik. I słyszałem wyraźnie, jak Niemiec Niemca pozdrawiał stereotypowo:

— Morjen!

Strząsnąwszy ze siebie cokolwiek pyłu podróży, poszedłem do restauracyi, ażeby się pokrzepić posiłkiem. W samym kącie sali siedziało dwóch ludzi, spijając powoli piwo z wysokich kufli. Wnet po mojem przybyciu wszedł też do restauracyi i Niemiec, z którym tu od Kiele przybyłem. Niedbale skłonił mi się głową, a podszedłszy do pijących piwo, jednemu z nich podał poufale rękę, rozmawiając po niemiecku.

Przyzwałem do siebie kelnera i spytałem go, ktoby był człowiek witający się z moim towarzyszem podróży.

— Jest to pełnomocnik pana hrabiego! — odrzekł służący poważnie:

— A czy ten wasz pan hrabia jest także Niemcem?

Służący roześmiał się naiwnie i rzekł:

— Chce się panu ze mnie łaskawie żartować!

Gdzież znowu nasz pan hrabia ma być niemcem?..

Wielki pan!

— Cóż tu takie mnóstwo niemców?..

— Ha, tak się to jakoś pozłaziło, proszę pana.

Nazajutrz rano, około godziny dziewiątej zbudziła mię ze snu głośna rozprawa na korytarzu:

— Czy pan Schmit śpi jeszcze?

— Oho, już przeszło dwie godziny, jak wyszedł!

— Gdy powróci, proszę mu oddać mój bilet i powiedzieć, że tu będę jutro o dziewiątej rano. Rozumiecie?

— Dobrze, bardzo dobrze!—odparł numerowy.

Zerwałem się z łóżka, sam nie wiem dlaczego z wielkim pośpiechem; może mię nazwisko Schmit zelektryzowało. Zadzwoiłem. Wszedł numerowy i począł zabierać moją garderobę.

— Z kim to rozmawialiście tak głośno przed chwilą?—zapytałem.

— To był dziedzic z Pokrzyweca.

— Jakże on się nazywa?

— Nazywa się... A bodajże cię! Tak jakoś opacznie, że zapomniałem; ale w restauracyi będą wiedzieli, to się pan dowie.

— Czy ten dziedzic Pokrzyweca jest polakiem?

— Gdzie znowu ma być polakiem! Zwyczajnie, niemiec!

— A jaki to pan Schmit mieszka tu w hotelu?

— Czy to pan nie wie? Ten sam, co wczoraj przyjechał z panem od Warszawy.

— Hm! Ten sam, co ze mną wczoraj przyjechał... Więc ten mój demon nazywa się Schmit...

*

*

*

Poszedłem w dolinę Sąspowską, a takie mnie więcej myśli oblegały mię jeszcze na temat wczorajszej rozmowy z niemcem:

— Prawa życia społeczeństw są nieubłagane. Jeżeli jest przyczyna, musi być i jej skutek. Ale czyż rozumowania ludzkie o przyczynach i skutkach są prawdziwe?... Czy żyjący i działający człowiek tylko rozumuje? Wszakże zupełnie nieświadomie tkwi w nim uczucie samozachowania, które się kształci, rozwija, kieruje rozumem i do celów go swoich stosuje. Wszystkie uczucia w danym razie składają się na to jedno uczucie, a kiedy się jest zgnębnym, ono nabiera siły. Miłość kawałka ziemi, miłość gatunku własnego przeżyje pod różnemi postaciami; ona przetrwa, byleby tylko była. Stanie się ona czią ostatnią i jedyną, cichą modlitwą do wielkiego Ormuzda. Nawet rozpacz jest bytu jej dowodem...

Z temi myślami pozdrowiłem wspaniałą krainę. Ujrzałem przed sobą skałę, jak niebotyczny ołtarz, w wieńcu jodeł i świerków, w girlandach głogów i bluszczów—rzetelny pomnik wiekuistej przyrody. U stóp jej wyrastał buk rozłożysty, a przez ciemne jego liście lały się promienie jasnego słońca. W szczelinach skały ujrzałem ga-

iki drobnych krzewin, a w gaikach brzmiała elegijna piosnka ptaszęcia. Gaik taki maleńki, piosnka taka smutna i przeto słuchaczowi smutno na ziemi. Przyrodo, jakże ci łatwo kształcić ludzkie uczucia!

U spodu skały, pod olbrzymiemi masami jej złomów widniały czarne jaskinie z wejściem mchem obrosłym, gdzie pajak spokojnie rozsnawał swą siatkę, a wkoło wątle kwiaty dzwonek i wątlejszych jeszcze bodziszków rosły tu wspólnie z paprocią, jeżyną i poziomką. Mniemałem, że mówią do mnie pieśni wieków, zaczerpnięte w jaskiniach; brzmiały jakoby w zefirowym ruchu powietrza, drgały na kwiatach, na siatce pajaka, tkwiły w owój skale. Więc przestałem być smutnym; uczułem w sobie szczęście, że mi pieśni takięj słuchać wolno.

Święta uroczystość panowała w tój wspaniałej dolinie; fale strumyka dzwoniły po kamieniach, niby bardy skał, co zasiadły między łąk zielonymi brzegami, i śpiewały, wtórując ptaszynie... Modra niezapominajka zdała mi się być słuchaczem.

Nie jest że to jedna ze świątyni ziemi naszej? Biegłem po gruzie kamiennym, który stopy me powstrzymywał; przechodziłem jakieś wązkie, tajemnicze ścieżki, suchemi igłami jodeł usłane; zdało mi się, że oddycham inaczej, niż zwykle, że wiodę tu życie niczém złem niesplamione.

Patrząc w dal, widzę poprzez wierzchy drzew

tam oto—świeci, jakby miasto skał, niby kraina wież i zwałonych zameczysk. Na tych szczytach dziwne postaci siedzą; widzę coś jak głowy, niegdyś pełne życia, a dzisiaj w śnie śmierci zakrzepłe. Czupryny traw porastają na tych martwych czaszkach; spłowiałe delie mechów aksamitnych staczają się około piersi; z ramion, jak skrzydła archaniołów, sterczą ku niebu konary ciemnych jodeł i jasno zielonej grabiny; na kolanach owych olbrzymów kwitną gromady macierzanek i rojników, a wśród nich motyl z pszczołką spokojnie pracują... Istny gród ojców, ementarz wielki! Korzę się przed siłą, którą myśl moja podpatrzyła w skale.

Widziałem dalej górę spadzistą, której murawą szczyty drzew były, a na owej murawie słoneczne światło w przedziwne cienie się wzorowało. Z murawy takiej tu i owdzie cypl w górę strzelał, rysował się jak krzyż na błękitach, a wkoło jasne smugi drgały falami eteru. Ciągnie cię urok w tę stronę, podchodzisz zbliżka i widzisz ścianę drzew, mury jakiejś warowni, gdzie—kto wie—czy się wielka tajemnica nie zaparła.

Lecz oto mam przed sobą znowu szeregi skał porozdzielanych, co się ścianami płaskimi dźwigają w górę... Osobliwe baszty, strażnice! Pomędzy sobą tworzą szerokie bramy, a w bramach na straży wystają czarne jodły, strojne w szyszkowe hełmy, białe płaczące brzozy i w płowe wieńce nasienników ubrane graby.

Co mówić o tym uroczystym pochodzie sosen i świerków, które się zdają wspinać na górę, ażeby stamtąd lepiej spojrzwały w niebiosy, a może, może... aby zapłakać nad ziemskimi grobami?... Jakże smutnym jest wszelkie zjawisko śmierci!... Brr! Burze tak szaleją nad szczytami drzew, jak i nad głowami ludzi. Wichrem oto wyrwana ze skalistych posad, leży na pochyłości góry zwalona sosna; uszło z niej życie i wewnątrz trupa toczą robaki. Tam znowu świerk dokonał życia; rósł i, stojąc na swym posterunku, ducha wyzionął—niepowalony. Liście jego powiędły, uschły, niektóre już opadły, a on stoi jeszcze taki martwy, mając u stóp swych roje młodego potomstwa.

Opuściłem las, ażeby przejść w nową krainę. Drzew tutaj niema, jest tylko nieco karlich krzewów. Wielkie masy skał w słońcu się tu kąpią, deszcze je myją, owiewają fale powietrza. Na tych masach spostrzegłem wyraźnie pisane jakieś hieroglify. Właśnie krzak rumianej kaliny z przypalonym liściem ze szczeliny się wychyla i zwieszony sam jeden otula ów skalisty pomnik; w dole zaś świerszcze dzwonią a dzwonią... Dziwne pismo tego monumentu, opłukanego w deszczach, wyprażonego na słonecznym żarze, wydmuchanego przez burze! Dziwne ryłce kręśliły latopis faktów! Czy tu przyroda chciała wyrazić jakie myśli lub uczucia?... Któż wie? Twarde, niby skórzane, mchy wpiły się w rysy owych liter i czarno je wyznaczyły... Pismo jest czytelne,

opiewa klęski. Tu jest kraj olbrzymów, ginących na ziemi pod naporem sił, gwałtownie gniojących ich nieugięte karki. One się już ocalić nie zdołają; wałą się w gruzy, zostaje tylko tu i owdzie kronika, a i tój wrogie siły także nie szczędzą. Skały, wasze istnienie podobne jest do ludzkiego życia!... U stóp waszych oto tułają się kawałki, oderwane od macierzystej masy, niespojone i bez żadnej nadziei połączenia. Tam głowa, piorunem strzaskana, już się w połowie stoczyła, lada dzień w przepaść runąć musi; ona się zdaje oczekiwać na burzę, na swój cios ostatni, a wtedy padnie ten kolos i zmiążdży nadto małe skały, co się u stóp wodza swego w gromadce skupiły. Światu za chwilę przybędzie nowa ruina i postać jego się odmieni. Jest wielka myśl w skale, ginącej na samotni, odsuniętej od wszelkiego związku, mającej tylko wązki kawałek ziemi za podstawę i resztki sił w skolataném cieple! Ona dziś jeszcze mniejsze skały sobą zasłania; ale skoro runie, zginie ich pancierz, za który się schroniły. Ni ją ziemia rodzajną warstwą pokryła, ni jej ściana drzew zasłony używa... Skała ginie!

Obszedłem tę skałę dokoła, a kiedym się w nią uważnie wpatrywał, ujrzałem w górze człowieka, siedzącego z młotkiem i w jedném miejscu grzbiet jej rozbijającego. Był to niemiec, mój współtowarzysz podróży.

— Więc i ta źmija należy do wrogów potrząskanej skały!—zawołałem w uniesieniu.

Na głos mój niemiec zwrócił ku mnie oczy; na ustach miał dobrze mi już znany szyderczy uśmiech, z którym mię powitał, kiwnąwszy głową.

— Dlaczego pan niszcysz skałę?—krzyknąłem ku niemu z dołu.

A on wziął w rękę jakąś skamieniałość i, pokazując mi ją, rzekł:

— Przepyszny okaz tutaj znalazłem!

— Wszędzie szuka, zakupuje, kradnie! — rzekłem ze złością.—Taki musi być silnym.—Odszedłem, a stuk wydające uderzenia młotka zdawały się pierś mi rozbijać.

— Niemiecka nauka!...—myślałem.—Powiadają, że ta nauka jest własnością i błogosławieństwem wszystkich narodów. Czy wszystkich? A jeśli kto z nauki nie umie korzystać i inni zwracają przeciw niemu naukę? Nie jestże ona wtedy przekleństwem dla słabych?

Poszedłem prosto przed siebie doliną, otoczoną zewsząd lasami i skałami,—doliną zieloną, barwną od złota jaskrów, od błękitu dzwonków i niezapominajek, od rumieńców konieczyń, od bieli stokrotek. Jakaś rozkoszna miękkość téj doliny zdała się koić mą duszę. Ponad brzegami strumienia, w promieniach słonecznych wiklina połyskiwała, woń wydając; w jój cieniu kwiliły ptaszki i roje ziół się płodziły; motyle odbywały wyścigi po kwiatach, a pliszka spłoszona podzwaniała, górą przelatując; miły łagodny wietrzyk falował między trawami i kwiecistém zieleń,

figlarnie odginał spód liści wierzbowych. Widocznie szczęście życiowe jest tam, gdzie jest dużo bezpieczeństwa.

Zdązałem dalej z biegiem wartkiego potoku. Jakiś łeb skały, strzaskany i przewiercony na wylot, tarzał się w strumieniu, napoprzek ległszy; wilgotna zieleń go pokryła i ślimak z żabą tu osiadł. Woda o twarde łeb ten biła zawzięcie, a pieniać się i pryskając, w słońcu jaśniała tęczą...

Wielbiąc w duszy te cuda, opuściłem Saspowską dolinę, minąłem willę Gordona, przeszedłem koło hotelu pod „Łokietkiem” i szedłem w kierunku Pieskowej skały. Z rozgłośnym krzykiem porywał się przedemną nieustannie zimorodek i zdał się być moim przewodnikiem.

Jestem może i ograniczonym człowiekiem, gdy mi jest markotno, że ludzie zbyt energicznie tną toporem drzewa, — gdy rośnie dęby, buki, jodły i sosny pod ciosami siekiery wałą się na ziemię. Wszakże to ludzie pracują, przetwarzają fizyognomią powierzchni ziemi!

Po drodze wstąpiłem do nader czysto utrzymanego tartaku. Sędziwy właściciel tego zakładu, chłop sprawiający wrażenie patriarchy Piasta, powitał mię z niezwykłą godnością.

— Ojcie—spytałem go—czyście wy się urodzili w Ojcowie?

— A jakże, w Ojcowie się urodziłem i tutaj już chyba umrę.

— Czyż wam nie żal tych pięknych lasów,

wśród których wzrosliście, a które oto znikają i część ich idzie pod piłę waszą, jak widzę?

— O panie, bardzo żałuję tych lasów! Smuce się nieraz, kiedy krzepką choicę siekierą zwała, a ja ją potem na tarcice piłować muszę?... Myślałem sobie wtedy, że drzewa, niż ja starsze, do grobu wtrącam. Lecz cóżem ja temu winien? Jestem traczem, z tego żyję sam i moja rodzina... Gdybym to ja posiadał takie lasy i gdybym je niszczył, wtedy moglibyście mię winić.

— Któż sprawił tyle spustoszenia w Ojcowskich lasach?

— Kto?...—tracz machnął ręką koło głowy.— Mój panie, co tu był za huk, jaki łomot, kiedy topory poczęły dzwonić po naszych skałach; niech ręka Boska broni!...

— Powiedzcież mi wyraźnie, kto tutaj sprawił tyle spustoszenia?

— No niemcy, niemcy! Któżby inny?

Mimowoli przyszedł mi teraz na myśl mój towarzysz podróży. Chłop tak dalej mówił:

— Toć oni, oni! — I z temi słowy białowłosy starzec podniósł do góry swą żylastą, spracowaną rękę, twarz jego przybrała dziwnie surowy wyraz i, jakby natchniony, zawołał uroczyście:

— Żeby im Bóg Najwyższy poskapił drzewa na trumny za to nasze zniszczenie!

Nie zdołałem się oprzeć wzruszeniu; odwróciłem głowę, bo czułem, że gorzka łza toczy się z oka po twarzy. Kiedym znowu spojrział na

starca, spostrzegłem jakiś ogień zapału w jego jasno-niebieskich oczach.

Uścisnęliśmy sobie ręce, ale żaden z nas nie już nie mówił. Starzec zwiesił głowę, ja przyglądałem się najbliższej górze, ogołoconej z lasu i na wierzchołku jój spostrzegłem człowieka, który przez lunetę rozpatrywał okolicę. Nie miałem żadnej wątpliwości, kim była owa postać.

— Robi rekonesans, ile jeszcze pozostało niewyciętych lasów! Oblicza niemieckie zyski na polskiej ziemi, zaznacza przyszłe germańskie tryumfy—szepnąłem.—Wszędzie mię ściga ten demon.

* * *

Jakoś w połowie Sierpnia przypada odpust w Grodzisku, miejscowości odległej od Ojcowa o pół godziny pieszej drogi. Gwaro tu było i ludno wtedy na owej skale ze starym kościołkiem i pustelnią św. Salomei. Zewsząd się cisnął lud okoliczny. Upał był nieznośny. Spoceni księża w konfesyonałach, rozstawionych na murawie, przyjmowali do uszu wyznanie win ciężko spracowanego zniwami narodu. Szepty modlitw dawały się słyszeć, jakby szum jodeł w boru, lub plusk Prądnika w dolinie. Z świątyni grzmiał głos kaznodziei, a przez otwarte drzwi wionęło niekiedy parne powietrze gorących modlitw. Trudno się tu cisnąć przez zbite gromady, bo każdy pragnie być bliżej ołtarzy. Lecz oto słyhać rozgłośne wykrzyki; poszedłem więc w kierunku tych

głosów i wnet ujrzałem szpaler siedzących na trawie żebraków. Jeden z nich właśnie wystawił przed siebie okaleczone nogi, wyciągnął połamaną i pokaleczoną rękę, a ochryplym głosem nawoływał pobożnych do miłosierdzia w imię potęg nadprzyrodzonych.

— Zdaje się, że to jest jeden z elementarzy ćwiczeń w miłości bliźniego!—pomyślałem.

Każdy żebrak miał tu swój własny, oryginalny sposób rozczulenia serc chłopskich. Ów wrzeszczał, opiewał swe ciężkie kalectwo, zaklinał na boskość i świętość, miotał się, jakby w konwulsjach; inny wywracał białka oczu, pomroka wiecznej nocy zaćmionych i cicho, tkliwie błagał przechodnia o wsparcie; tamten znowu śpiewał pieśń o jakimś cudownym świętym, który szczęście ludziom daje... Jeszcze inny poważnie, grubym głosem, wymrukiwał modlitwę do Matki Boskiej, zaklinał Pana Boga, ażeby się zlitował nad duszami rozmaitych, dawno pomarłych ludzi... Brzęk zdawkowej monety, rzucanej na jałmużnę, przypominał ci smutne panowanie czei złotego cielea na ziemi.

Do żebraka przystąpiła jakaś młoda dziewczyna z płowym warkoczem, wyjęła ze supelka chustki parę groszy i coś na ucho szepnęła ślepcowi, a dziad wnet potem otworzył usta, wołając:

— Miłosierny Panie, Przenajświętsza Panienko, zlitujcie się nad duszami Kazimierza i Jagaty,

a pokój wieczny niechaj im świeci na wieki wieków—amen!

Dziewczyna posłuchała, odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Od kościoła schodzi się na dół do kapliczki. I tu także było dużo natłoku, bo pobożni ludzie na każdym schodzie winni odmówić pewną ilość pacierzy, jeśli mają dostąpić zupełnego odpustu; więc fala powracających scierała się nieustannie z falą przybywających. Tutaj również zasiedli na ziemi dziady i baby żebrzące, a w krzakach na boku rozlegał się śmiech podrostków, swawolących bez względu na pobożny nastrój starszych.

Udałem się teraz w tę stronę, gdzie przekupnie sprzedają błyskotki i ludowe łakocie. Na długich ławach porozkładano tu kramy z obrazkami świętych, szkaplerzami, medalikami, paciorkami, wstążkami, kozikami, gwizdkami itd. Na innych znowu ławach leżały bułki, kołaczyki ze serem, piernikowe wizerunki różnych zwierząt i bochenki tatarzanego chleba. Tu i owdzie stała beczka z kiszonymi ogórkami, faska z niedojrzałymi śliwkami lub przetak pełen gruszek. Lud roił się wszędzie; czerwonym sukniem lamowane sukmany, czapki z pawimi piórami, kapelusze szychem przybrane, tureckie chustki na głowach niewiast, kraśne gorsety obok pęków wstążek i sznurów korałi przesuwały się przed okiem widza, jakby w kalejdoskopie. Całą drożynę zapchały wozy, wypełnione słomianym barłogiem,

a do wozów zaprzężone konie obojętnie gryzły siano, chłoszcząc się po biodrach ogonami i naszyjnikami szeleszcząc.

Kiedym się wałęsał wśród kramów, posłyszałem następującą rozmowę, prowadzoną po niemiecku:

— Mało tu sprzedają naszych wyrobów! Przywiozłem ze sobą trochę próbek i poczyniłem oferty kramarzom w różnych miasteczkach... Konkurencyja wydaje mi się niezmiernie łatwą; bo przecież nasze nożyki naprzykład są znacznie tańsze, a pod względem ozdobności nie można ich porównywać z tymi oto barbarzyńskimi kozikami...

— Myślałem i ja o tém — mówił drugi Niemiec. — Ale nie sprawdziłem jeszcze kosztów cła oraz transportu; kto wie, czyby się interes opłacił.

— Ja bo obliczyłem to właśnie i jestem pewny, że nawet odstępując kramarzom pięćdziesiąty procent, można jeszcze zyskać na czysto blisko trzydzieści na sto, zwłaszcza na obrazkach świętych, medalikach, paciorkach, nożykach... Przecież pieniądze nasze mają kurs wyborny.

Obszedłem dokoła rozmawiających Niemców, aby im zajrzeć w oczy, i przekonałem się, iż propozycya importowania do nas niemieckiej kramarszczyzny wyszła z ust mego towarzysza podróży, pana Szmita. Za ledwie mię teraz spostrzegł, natychmiast przerwał rozmowę, a wziął-

szy swego towarzysza pod rękę, zniknął razem z nim w tłumie.

To spotkanie zatrulo mi resztę pobytu na odpuszcie w Grodzisku. Wyobrażałem sobie, że cały ów tłum pobożnego ludu ciężko pracuje dla niemieckiej sprawy, że niemcy go ssą, obdzierają, że rozpostarli wielką sieć na wszystkich punktach, i każdy polak, chcąc nie chcąc, w matnię ich wpaść musi. Czułem teraz wyraźnie, że się wlokę po świecie z jakimś niezmiernym ciężarem, który mię dolegliwie ugniata.

— Przemysł, handel, postęp cywilizacyi — myślałem — są to przecież wrota, przez które w serce ziemi wciskają się te mikroby naszej nędzy, a może i śmierci.

Takie psychiczne uczucie słabości zgnębiło mię bardzo i fizycznie. Uciekałem zdala od odpustowej wrzawy, usunąłem się na bok od składania czei wyższym potęgom; wszedłem w samotny, cichy, bezdrożny wąwóz, w którym leniwie sączył się nawpół już wyschły strumień. Ściany skał nie przemawiały do mnie wcale tym razem. Zniknęła mi z duszy nawet wszelka troska, ogarnęło mię jeno jakieś bezgraniczne zwątpienie. Ale i zwątpienie mię opuściło; byłem na wszystko obojętny; szedłem jakby bezmyślna machina. I to przeszło, a duch mój wkroczył w krainę bezbrzeżnej nicości.

Spojrzałem w niebo i błękit jego wydał mi się złudną zasłoną, poza którą panuje ocean nicości.

Rozejrzałem się po ziemi, a twory jój sprawiały na mnie wrażenie znikomych mar, które powstają i giną. Czémże ja jestem w téj przyrodzie, wśród ludzi? Nie czuję sił swoich, nie pojmuję celu bezpłodnego życia; dążności moje kruszą się o straszne przeszkody, cele nikną... Umrzeć czy żyć—wszystko jedno, kiedy człowiek dźwiga ze sobą świadomość bezsilności, gdy nieustannie doświadcza, że jest igraszką swój doli.

Spocząłem i zdało mi się, że mię powietrze w siebie chłonie, że zanikam swoim jestestwem w olbrzymich przestworzach świata, że już na ziemi nie mam punktu oparcia. I przesuwały się przedemną jakieś dawne wspomnienia, jakieś miłości, a ja niczego już nie pożądałem...

Kiedym powrócił do Ojcowa, postanowiłem stąd o świecie wyjechać.

Nocą ponad doliną wiła się mgły opona, a nad mgłą w górze pełna księżycowa tarcza błyszczała jasno, srebrząc wyniosłe skał urwiska. Kilka chmur pływało po niebie, jak okręty; jeden z tych obłoków zasłonił sobą pół księżyca, który przez szparę chmury spojrział teraz na ziemię... Chmura przeleciała szybko. Cisza zaległa Ojcowską dolinę; odległe naszczekiwanie psa, szum strumienia, lekkie kołysanie się drzew na górach — są to głosy, które niekażdy słyszy. Bujną trawę pokryła obfita rosa, a świat niebieski w niej się odbijał i w małej kropelce ziemskiego potu

mogłeś spostrzedz świetny promień polarnéj gwiazdy. W chatach pogasły już światelka.

Zbliżyłem się do stóp zamku, patrzałem na jego wieżyczki, co się z zarośli drzew wynurzają, i w owych gruzach, w pustkach, świecących zniszczeniem, spoczywałem myślą swoją.

Wtém do uszu moich doleciały jakieś głosy, głosy, które zdały mi się wypadać z wielkiego ludzkiego gwaru, a ponieważ brzmiały donośniej, więc sięgały w górę wyżéj, niż inne.

Naprzeciwko Ojcowskiego zamku stoi pod skałą karczma; stamtąd pochodziły owe głosy. Nie jest to już żaden hotel, ale szynk ludowy. Kiedy w dolinie wszyscy zasypiali, gdy w zamku przeszłość grobowo milezała, w karczmie około północy terażniejszość dawała jeszcze znaki życia. Zbiegłem z zamkowej góry, przeszedłem po moście, aby się spotkać z owém zjawiskiem życia, czuwającego w nocy.

Przy drodze, pod samą ścianą skały, gdzie się bieli jakaś święta figura, stało parę chłopskich wozów, a zaprzęgnięte konie uprzykrzyły sobie widać długie nocne wystawanie, bo niektóre z nich legły na ziemi. Biały świątek otoczony był zewsząd przez wozy i konie. Zaledwie tutaj przybyłem, pojawił się jakiś niski człowieczek, który chromał na nogę, a mnie się podejrzliwie przyglądał.

— Któż wy jesteście? — spytałem.

— Tutejszy człowiek, Krawczyk, brat tego Krawczyka, co ma chałupę i konie—była odpowiedź.

— Cóż to tak utykacie na nogę? — rzekłem znowu.

— Nie mam utykać, kiedy mnie ano żydówka psiakość przysiadła.

— Co za żydówka?

— A krosta taka, co się żydówka zowie, bo-lak okrutny.

— Więc czemuż chodzicie po zimnej nocy? Trzeba się położyć do łóżka.

— Ba! Ja się też położę, tylko—widzi pan — kolejka nocnej stróży dziś na mnie przypadła...— mówił chłop, tajemniczo głos zniżając.—Więc tu czatuję, aż strażnik z karczmy pójdzie do domu, to i ja kajbądź przycupnę bez pytania.

— Czy to w karczmie jest dużo ludzi?

— Oho!... Aże czarno! Różni tam są: Miemcy, strażniki, chłopci... Piją a to, bo mają za co! Dał Pan Jezus w tym roku urodzaj na zboże i na gości.

— Gości będą miewali Ojcowianie co rok więcej, bo wspaniała miejscowość każdego przyciąga. W całym kraju niema tak pięknego położenia.

— Ha, kto ta ma pełną stodołę i komorę, to juści mu zawdy pięknie.

— Ależ ja mówię o pięknych widokach, o skałach, lasach, dolinach!

— Co to, panie, komu z tego przyńdzie? Czy się to na skale co godnego urodzi?... Zwyczajnie próżniaki to się i wałęsają kajbądź; ino, kto ma robotę, taki doma siedzi.

Ubodła mnie ta słuszna przymówka; ale nie tracąc miny, spytałem:

— A któż tu u was najbogatszy?

— Są tu i bogatsi od Seweryna z Czajowic, tylo nikto nie je taki rezolutny, jak oni.

— Seweryn z Czajowic, furman?...

— Juści furmani on; ale i roli téż ma setny kęs. Gospodarz z nich, daj Panie Boże zdrowie!.. Pije oto i dzisiaj w karczmy, pije równo codzień, a na sytko mu starczy, nie tak jak innym, nie przymierzając matce Paździora, co się jój na bez rok z głodu zmarło.

Nagle krzyk przeraźliwy rozdarł powietrze. Z trzaskiem otwarły się drzwi karczmy i wypadło wielu ludzi, wrzeszcząc w zamieszaniu.

— Widzi pan—rzekł stróż nocny—to Seweryn tak paruje niemców!... Nabije on ich, nabije na kwaśne jabłko...

Istotnie, poznałem furmana, Seweryna z Czajowic.

Chłop ten wypadł z karczmy, jak oparzony, oburącz wstrząsnął silnie poblizkim płotem, aż trzask się rozległ, a przy blasku księżycowego światła ujrzałem długą żerdź w ręku Seweryna. Z karczmy wywalila się téż gromada niemców, ubranych w krótkie kurtki popielate i zielono

lamowane; za nimi nareszcie wybiegli dwaj strażnicy i żandarm. Niemcy oraz chłop krzyczeli okrutnie, zionęli przekleństwami, które, wygłoszane w dwóch językach, zdały się brać za czuby w powietrzu.

Seweryn stanął na obszernym placu pomiędzy skałami, które jakby podziwiała wychowanka swego; wstrząsnął on swoim strasznym orężem i zuchwale wyzywał Niemców do walki:

— Pójdźcie, zbóje, luterskie dusze, psy śwabskie!... Nie waży się żaden, bo wieta, że łeb rozwałę, na miejscu uśmiercę!...

— No, Seweryn, uspokój się, uspokój!—napominał zdala strażnik ziemski.

— Hunewot, pyjak, bidło, szwynia!—wołał teraz po polsku ogromny drab Niemiec, majster mularski.

— Podejdz, kiejeś taki chwat, podejdz mi do garzei jucho! Stąpory ci pokruszę; ziober się nie dorachujesz; zębów nie pozbierasz; łeb ci, jak garnek, rozwałę; gryźć będziesz ziemię, nie mający duszy!... Podejdz, podejdz, zacieczony odmieńcze!

— Uspokój się, Seweryn, uspokój! A to do kozy będą aresztował—napominał znowu strażnik ziemski.

— Co się mom uspakajać, hareštu się boję, koza mi nie pierwsze; Pan Jezus na mnie z góry patrzy, jakom człek sprawiedliwy... Ja tym sobakom nie daruję, jakom żyw nie zabacę.

— Pijanica, lajdak, złodziej!—krzyknął znowu jakiś Niemiec.

Wtedy Seweryn zrobił drągiem młynka i natarł na gromadę Niemców, którzy rozpadli się w mgnieniu oka, uchodząc na prawo i na lewo.

— A kto was, psy jakieś, sprowadził do naszej Polski?... Pan hrabia was sprowadził, zatracone dusze! Hrabia sprowadził, żeby chłopom odebrać zarobek; ale chłop was wygoni, jak Bóg na niebie! Ktoście wy przybłądy?... Ja co innego, ja jestem chłop z chłopą, ja—z Czajowic, tu tejszy, a wy kto?

Spostrzegłem teraz, że Niemcy rozpierzchnięci zbierają po ziemi kamienie i chowają je w kieszenie swych surdutów. Dotknęło mnie to, gdyż mogli Seweryna poranić; więc szedłem ku niemu z ostrzeżeniem; on jednak, widząc postać człowieka w surducie, nie dowierzał widocznie, mienił mnie być swoim nieprzyjacielem i zérdź skierował w moją stronę. Nie było żartów, zreiterowałem na most, wołając zdaleka:

— Strzeżcie się, Sewerynie, strzeżcie! Niemcy kamienie zbierają!

— Czy ja się to boję kamieni? Czy się boję Niemców? Niech mnie tknie który, a światła już w życiu nie ujrzy!

To powiedziawszy, szedł teraz Seweryn z Czajowic do swego wozu, nieustraszony, prawie majestatyczny w gniewie; wyglądał jak Achilles, wyzywający wrogów na rękę. Na wysokości jego

postaci powiewały poły białej sukmany, a wysoki czarny kapelusz przekreślił się nieco na tył głowy. Cień chłopca rozlał się w długim kształcie po ziemi, jakby cień rosnącego dębu. W tej postawie wydawał mi się niby któryś z mitycznych bohaterów, istotnych ojców ludu.

Klnąc groźnie, silną dłonią jał kielznać konie, porządkował wóz i przygotowywał go do jazdy, jak Ardzuna, gdy się wybierał w podróż do nieba.

Podszedłem wtedy do niego i rzekłem:

— Nie poznaliście mnie, Sewerynie, jestem swojak, przyjechałem tu przecież z wami od Olkusza, a jeżeliby przyszło do bitwy, stanę po waszej stronie... Potroszę umiem bić także.

— Bóg zapłać za dobre słowo! ino żaden pan nie poradzi z takimi!... Bo tu trzeba bić dobrze, kości gruchotać i słuchać, rychło dusza w ciele piszczeć przestanie... A tak bić chłop ino umieć.

— O cóżeście wy się tak powadzili z tymi niemcami?—pytałem.

— O chléb, mój panie, o chléb, co go psie dusze mało mającym ludziom zabierają!.. To sytko jedno złodziejskie plemię!

Potém Seweryn wsiadł na wóz, drząc cały z gniewu, a para jego małych koników rączo ruszyła z miejsca.

Spostrzegłem, że niemcy całą gromadą poszli do lasu w kierunku drogi, wiodącej ku Czajowicom; obawiałem się przeto, czy znienacka nie na-

padną Seweryna i poszedłem również w tamtą stronę. Jednakże chłop widocznie sam się miał na baczości, bo nie porzucił on swego oręża, lecz go ułożył przed sobą wpoprzek wozu.

Po drodze, przepełnionej wielkimi bryłami kamieni, podążał chłopski wóz, stukając rozgłośnie, a straszny drąg, niby pawęż boga wojny, drgał i, podskakując, grozić albo przeklinać się zdawał podczas tej jazdy. Nareszcie w cieniach lasu zniknął mi zprzed oczu Seweryn i tylko długo jeszcze słyszałem turkot wozu. Trzeba było wracać do hotelu.

Kiedym już z lasu wychodził, dojrzałem na samym skraju lasu niemców, zbitych w gromadę i widocznie żwawo wiodących między sobą jakąś rozmowę; w samym środku stał człowiek, który zdawał im się coś poważnie wykladać. Księżyc malowniczo oświecał tę grupę ludzi, zebranych pod lasem, a ja przy blasku jego poznałem tu niebawem mego demona, pana Schmita. I on mnie poznał, bo grzecznie uchylił kapelusza, opuścił swoje towarzystwo, jakby chciał ze mną o czémś pomówić.

— Może pan byłś świadkiem zatargu pomiędzy chłopem i niemieckimi rzemieślnikami?—spytałem pierwszy.

— Tak jest, widziałem tę awanturę i właśnie oto doradzałem ziomkom moim, aby zaniechali bijatyk z barbarzyńskim i ciemnym chłopstwem.

— Po cóż się bić mają, kiedy i bez tego są

panami sytuacyi, o którą przed chwilą wybuchła walka? — rzekłem.—Toż mają suty zarobek, na czém zbywa krajowcom w tój miejscowości.

— Mój panie, bo téż ci niemcy są przede-wszystkiém dzielnymi pracownikami, których fizyczną i umysłową energią musi ocenić każdy, komu na sercu leżą dzieła cywilizacyi. Wszakżeż, dzięki wartości pracy niemieckiego rzemieślnika, polacy mogą jako tako podążać na tyłach zachodniej kultury! Bez niemców, czemżebyście wy byli?...

— Ja tylko jedno wiem z pewnością i nie waham się twierdzić, że polacy na niemcach źle wychodzą!—zawołałem z goryczą.

— Ha, w takim razie Polacy trują się cywilizacyą, jak czerwonoskórcy lub maorowie—odpowiedział Schmit ironicznie. Jeżeli klęski polskie tkwią w tém źródle, to jakąż zasadę mają utyskiwania wasze i skargi, które się tak rozchodzą po świecie, obwiniając przeróżnych winowajców o zadawanie wam ran przerozmaitych?

— Spodziewam się jednak, że wszystkie niemieckie trucizny nie zdołają zatruć całego naszego społecznego organizmu. Trujecie wy głównie tych, którzy otruliby się może i czém inném, gdyby dziś na świecie nie grasowała w różnych postaciach najśroźsza z chorób, epidemia niemiec-ka... Ale pozostaną jeszcze ludzie zdrowi i ci przetrwają niezłomnie wszystkie fazy niemieckie-

go posłannictwa. Od nich może się lepsza przyszłość zacząć.

— Spodziewam się, że w tej chwili, kiedy pan podnosisz nadzieję do godności polityki na tle ludowém, różni inni polacy wytwarzają równie zasadne systematy, opierając się już to szlachcie, już na szczepowej jedności, na przyszłych federacyach, na zewnętrznej pomocy, ogólnej europejskiej wojnie, ba nawet na przypadku z nieba spadłym... Lecz co to wszystko warto?.. Jakież to naprzykład chłop wasz ma zadatki przyszłego swego społecznienia?

— Chłop kocha ziemię i nienawidzi Niemców!— rzekłem z przyciskiem.

— Jednakże nie stanowi to prawidła, o czém politycy wasi nie powinni zapominać! Po przykład nie pójdę daleko, gdyż oto tu, w Ojcowie, chłop właśnie sprzedał Niemcowi za pięćdziesiąt rubli kawałek ziemi z grotą... No, a ten sam Seweryn z Czajowie, który przed chwilą wygrał z Niemcami bitwę pod Ojcowem, pozbył się pięknej łąki w Saspowskiej dolinie. O przywiązaniu ludu do ziemi należy też mówić z pewnym rozumieniem rzeczy.

Udaliśmy się oba na spoczynek.

Nazajutrz rano o szóstej wraz z innymi firmami przybył także i Seweryn, którego ugodziłem i opuściłem Ojców.

Więc znowu ujrzałem przed sobą rozrzucone po piaskach jałoweowe krzaki, znowu pnie po

wyciętych lasach; przesuwały mi się przed oczyma liche płoty, okalające stajanka lichój tatarki, osty przy drogach. Na tle pochmurnego nieba szybowały jaskółki; ciche strumienie sączyły się wśród olszyn i kruchój wierzbiny poprzez torfiaste łąki; zdala chłop na jednokonnej furce przewoził od lasu gałęzie. Po ścierniskach białą stada gęsi; oracz podążał za plugiem, a za oraczem zapadały na roli stada wron i kruków. Przy drodze stały nędzne chaty, dokoła obłożone zeschniętą choiną, a tuż za drogą, w bruździe na polu spokojnie przycupnął skowronek. Gdzieś tam daleko na skrajach widnokregu we mgłach bory błękitnieją, jak wstęgi; po miedzach szafranem żółcieją kwiatowe kiści dziurawca. I szybko mijaliśmy Chrystusowe krzyże z kogutem na wierzchu oraz z narzędziami męki Pańskiej. Furman Seweryn zdejmował nieustannie z głowy kapelusz i zcicha szeptał:

— Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Przybyłem do Warszawy i postanowiłem przede wszystkim we śnie szukać zapomnienia przykrych wrażeń. Lecz demon nie dał mi nawet i śpiącemu spokoju.

Wszelkie widziadło senne pochodzi od Zeusa, powiada Homer; ale jeżeli demon w nas żyje, jak chce Sokrates, to ludzkie sny są dziełem ludzkich demonów, podobnie jak życiowa działalność. Sen mi przedstawił taki obraz:

Mój demon szedł na czele dziwnych hufców. były to pułki bardzo szczególnie uzbrojone, podczas bowiem gdy jedne miały za oręż igły, szpilki, nici, mnóstwo drobnych błyskotek i zabawek, inne znowu opehane były w paki bawełnianych i wełnianych wyrobów. Za tymi szedł legion, niby artylerya, prowadzący potwornie wielkie i małe maszyny o warczących oraz skrzypiących przeraźliwie kołach i kółkach. Dalej znowu postępowały szeregi ludzi, dźwigających olbrzymie stosy ksiąg, a poza nimi rozlegał się dźwięk katarynek i uroczyście toczył się tabor wozów, wyładowanych beczkami piwa. Tą rzeszą ludzi dowodził Schmit, uważnie kroczył naprzód z cyrklem w ręku, z lunetą pod pachą, ze świdrem i latarnią górniką, z młotkiem geologa, z torbą komiwojażera. Szedł z armią swoją prosto na mnie, a ja cofałem się nieustannie przed tą istną lawą ludzi, zdążających od zachodu. Oni nastawali coraz bardziej, natarczywość ich zdawała się wzrastać. Uchodziłem ciągle, aż mnie nareszcie przyparli do jakiegóś bardzo twardej, jak żelazo, skały, tak, że już dalej ruszyć nie mogłem. Stałem więc oko w oko naprost mego demona; on milczał, uśmiechał się złośliwie i szedł niepowstrzymany *nach Osten*. Już się oparłem teraz o skałę; a skała była straszliwie zimna, okrutnie nieugięta; poczułem wnet swoim ciałem ostre jej kanty. Niemcy szli dalej, parli mię już przygniecionego do skalistej ściany. „Zgniota

mię” — pomyślałem. Srogo ranilem się o skałę i krew płynąć ze mnie poczęła; ciało rozdzierało się dokuczliwie. Oni cisnęli jeszcze potężniej. Cierpiałem, cierpiałem okrutnie w niemocy swój. Naraz poczułem się być lekkim: ani bólu, ani troski, ani obawy, ani myśli nie było już we mnie. Doznawałem jakiegoś szczególnego uczucia szkieletu, pozostała mi jedyna świadomość, że jestem szkieletem. Sam siebie wyraźnie we śnie owym oglądałem, byłem odarty z ciała, miałem wyszarpane nerwy i tylko, tylko mogłem trzymać ciągle wyszczerzone zęby kościotrupa.

— Ausrotten! — brzmiało dokoła mnie — ausrotten!

Przerażony zerwałem się ze snu i poznałem, że już przespałem pół doby. Wspomniałem na owe mary senne i pytałem sam siebie:

— Jestże snem życie całe? Czy rzeczywistość nie jest przypadkiem niezem innem, jeno widziałem sennem? Może to wszystko, co ja odczuwam dokoła, pochodzi ze snu i z demona, którego mam w sobie?

*Nowelę „Demon” ofiaruję
p. Amelii Rzeszotarskiej.*

SPIS NOWELEK.



Jazda ze ziurdanką	3
Na zwłokach zwierzęcia	33
Żérty chłop	75
Podwórzowe dramata	113
Na niebie i na ziemi	163
Złodziej leśny	185
Demon	213



Biblioteka WSP Kielce



0286210

299548